

Iwona Słabuszewska
- Krauze

Ostatnie fado

Mojemu mężowi i mojemu synkowi. Bez nich słowa
byłyby inne

ROZDZIAŁ 1

Niektóre historie, które przeżyliśmy albo które przeżywamy, giną w zakamarkach naszej pamięci unieważnione przez to, co dzieje się teraz, dzisiaj, albo przez to, co wydarzy się za chwilę. Inne trwają wiecznie.

Chcę, aby moja historia nie została zapomniana i abym ja sama jej nie zapomniała. Kłopoty z pamięcią to nasza rodzinna skaza. Dlatego boję się, że przeznaczenie mnie też naznaczy tym piętnem i prędzej, niż się spodziewam, nadejdzie czas, że nie będę już niczego pamiętać.

Siostrze mojej babci przytrafiło się to, gdy skończyła osiemdziesiąt lat. Zaczęła zapominać, gdzie odłożyła grabie, którymi dopiero co wygrabiła liście. Zapominała, że mieliśmy przyjść na pierogi albo że znała ludzi, którzy mówili jej na ulicy „dzień dobry”. Potem zaczęła opowiadać zmyślane historie z młodości. Zmyślane - bo znaliśmy wcześniejsze, prawdziwe naszym zdaniem, fakty z jej życia i tych opowieści, które nagle zaczęła snuć, zwyczajnie nie mogliśmy znieść. Stosunkowo szybko, bo w ciągu kolejnych kilku lat, moja szalona w młodości cioteczna babcia zapominała coraz więcej, aż w końcu zapomniała, że człowiek żyje tylko wtedy, kiedy oddycha, i któregoś dnia już się po prostu nie obudziła.

Następnym „wybrańcem losu” był jej syn, mój kuzyn Dominik. Postawny i osmagany wiatrem podróżnik o czerstwej twarzy, który w swoim życiu nie przepracował uczciwie ani jednego dnia. Nie miał na to po prostu czasu, gnany potrzebą przygody i adrenaliny. Był jedną z tych osób, którym wszystko się udaje.

Wiele zmieniło się w dniu, w którym stojąc w urzędzie pocztowym w kolejce po znaczek na list, zapomniał, kim jest osoba, do której ów list wysyłał. Było to tym bardziej niepokojące, że - jak się okazało po otwarciu koperty - list skierowany był do bliskiej Dominikowi osoby. Były tam takie

sploty słowne, jak: „tęsknię za tobą”, „rozpalone usta”, „wybaczam”, oraz najbardziej znamienne „zbieram pieniądze na bilet”. Kuzyn nie pamiętał, a może nie chciał pamiętać, że to list do jednej z jego licznych przyjaciółek o wilgotnych oczach, kobiet rozrzuconych po świecie, tęskniących, wyczekujących i bladych z miłości, której on nigdy nie odwzajemnił.

Dominik nigdy więcej już nigdzie nie pojechał, bał się, że pomiędzy jedną a drugą namiętnością mógłby zginać w otchłani własnej niepamięci. Przez prawie pięć kolejnych lat odwiedzałam go w przestronnym mieszkaniu, do którego powrócił na stałe po śmierci swojej matki, a mojej ciotecznej babci. Całe życie nazywałam ją ciocią - babcia, była mi bowiem znacznie bliższa niż zwykła ciocia i bliższa niż moja prawdziwa babcia. Prawdziwa babcia, rodzona siostra cioci - babci, miała na imię Aniela i mieszkała w odległości dwustu pięćdziesięciu kilometrów ode mnie. Widywałam ją raz, może dwa razy w roku i nigdy nie były to długie spotkania. Ciocia - babcia mieszkała w Warszawie z mężem i Dominikiem - ich jedynym, wyczekanym synem - który urodził się, gdy oboje mieli dobrze po trzydziestce. Świetnie się z Dominikiem dogadywałam mimo dzielącej nas różnicy wieku, a kiedy on dorósł, a ja wyrosłam z pieluch, poczułam, że zajmuje w moim sercu szczególne miejsce. Był mi bliski jak brat i jednocześnie jak ojciec, którego nie znałam.

Od tamtego dnia na poczcie Dominik zaczął uprawiać wędrówki wyłącznie fikcyjne. Wymalowane niegdyś w kwiecisty wzorek ściany obkleił mapami wszystkich kontynentów. Wpinał czerwone chorągiewki w miejscach, które odwiedził, zielone tam, gdzie być może nadal czekały na niego ukochane, a żółte w miejscach, do których niegdyś planował pojechać, a o których teraz mógł tylko pomarzyć. Oczywiście nie mogłam stwierdzić, czy te mapy z

chorągiewkami, będące tak naprawdę mapą jego życia, pokrywały się z faktycznie odbytymi podróżami. Chociaż zawsze dużo opowiadał, nigdy nie byłam pewna, czy mówi o przeżyciach z ostatniej wyprawy, czy może jakiejś wcześniejszej, którą akurat wydobył z pamięci. Mieszał daty, wtrącał dygresje, żonglował anegdotami. Może dlatego jego opowieści miały tyle uroku. Były jak baśnie z odległych krajów opowiadane przez wilka morskiego, który przemierzył wiele mórz i lądów.

Pewnymi „dowodami rzeczowymi” tych podróży były pudła slajdów oraz sterty zdjęć, które Dominik zgromadził przez lata swojej włóczędzy, jednak odbitki nie zostały opisane w jakiś sensowny sposób ani ponumerowane. Opisywanie zdjęć było czynnością wymagającą skrupulatności i pewnej systematyczności - cech obcych charakterowi Dominika. Nie wykazywał ich przez całe życie i nie mogłam wymagać, aby nagle zaczął. Zwłaszcza dla osiągnięcia mojego egoistycznego celu, jakim była chęć dowiedzenia się, gdzie podziewał się przez te wszystkie lata - gdzie był, gdy nie było go na rodzinnych ślubach, chrztach czy pogrzebach. Ja też zresztą w którymś momencie przestałam się na nich pojawiać, było to jednak dużo później i nie wywołało wśród ciotek, wujków i kuzynów takiego oburzenia jak nieuzasadniona nieobecność Dominika.

Dominik nie pojawiał się na uroczystościach rodzinnych, ale za to materializował się w najmniej oczekiwanych momentach mojego życia, często bardzo istotnych. Przyjechał zaraz po tym, jak dostałam swój pierwszy, błękitny składak. Już dzień później pędziliśmy razem na rowerach ubitą leśną drogą, prześcigając się w wymyślaniu niestworzonych historii. To on pozwolił mi pierwszy raz zaciągnąć się papierosem. Krztusząc się i łzawiąc, postanowiłam nigdy więcej nie brać tego świństwa do ust. Tylko Dominik traktował mnie w tak

partnerski i opiekuńczy zarazem sposób. I to on sprawił, że pokochałam książki. Nie było to proste. Jako dziecko nie znosiłam czytać, przerzucać zadrukowanych stron, ale Dominik znalazł na mnie sposób: podsunął mi pod nos komiksy. Przeczytałam wszystkie „Tytusy”, zachwycając się barwnymi przygodami bohaterów, i potem poszło już z górki - książki zaczęły mnie fascynować.

Dominik był jedyną wyrazistą postacią z mglistego okresu mojego dzieciństwa. Chwaliłam się nim przed koleżankami i kolegami z podwórka, powtarzałam zasłyszane od niego opowieści o kolorowych krajach, bananowcach i lazurowych wodach dalekich mórz. Wszyscy wokół słuchali, składając w jeden obraz to, co ja malowałam przed ich oczami, a ja przez tę chwilę czułam się po części tak wyjątkowa, jak wyjątkowy był Dominik.

Miał niezwykłą zdolność przyswajania sobie języków obcych, znał ich chyba kilkanaście. Po każdym pobycie w swojej ukochanej Brazylii męczył mnie słówkami i zwrotami, aż w końcu portugalski stał mi się bliski. Podobnie było z hiszpańskim. W dziecięcej naiwności sądziłam, że Dominik zabierze mnie kiedyś w jedną ze swych dalekich podróży, że będziemy razem odkrywać egzotyczne miejsca i poznawać fascynujących ludzi i dlatego te słówka są mi tak potrzebne. Nigdy te podróżnicze rojenia się nie ziściły, ale chęć do nauki języków została. Nie przypuszczałam tylko, jak bardzo znajomość portugalskiego przyda mi się w przyszłości.

Podobno ten, kto chce przewodzić ludziom, nie powinien gnać ich przed sobą, tylko sprawić, by podążali za nim. Z mojego punktu widzenia Dominik realizował tę zasadę w stu procentach. W tamtym okresie byłam pierwszą osobą gotową podążyć ścieżkami jego myśli i dążeń, choć przecież tak naprawdę ich nie znałam.

Pamiętam, jak po jednej z długich nieobecności wrócił do domu.

- Przyjechałem na chwilę - oznajmił wtedy, tak jak zwykle oznajmiał przy pierwszym spotkaniu z rodziną.

- Dominik! Jak ty wyglądasz!?! - wykrzyknęła wtedy ciocia - babcia. - Gdzie masz bagaż? Jesteś głodny? Co robiłeś? - zasypała go gradem pytań.

- Opowiem, wszystko opowiem, ale teraz muszę się wyspać - powiedział Dominik, po czym zamknął się na dwadzieścia cztery godziny w pokoju z widokiem na żoliborskie kasztany.

Podczas kiedy on we śnie przypominał sobie smak głowy baraniej zjedzonej w Kazachstanie, moja ciocia - babcia tłukła schabowego, szukała jabłek na szarlotkę i obdzwaniała resztę rodziny, ciesząc się, że syn marnotrawny wrócił wreszcie do domu. Ja grzałam się w ciepłe tego domu, jak długo mogłam - dopóki nie wyjechałam. Lubiłam tam przesiadywać, lubiłam dotrzymywać towarzystwa cioci - babci, a ponieważ mieszkałam dwie ulice dalej, zawsze znalazł się jakiś powód, by wpaść tam choć na chwilę.

Do dzisiaj nie wiem, co kuzyn robił podczas tej kilkumiesięcznej wędrówki. Podobno przez jakiś czas mieszkał na Sokotrze, dokąd przyplłynął z Somalii. Słaniając się w upale, zbierał tam żywicę z drzew balsamicznych, a kiedy kończyła się skrzętnie gromadzona do picia deszczówka, gasił pragnienie wodą pełną ameb i przylg.

Zawsze zastanawiałam się, czemu jeździł w takie miejsca. Czemu nie wybierał Wysp Kanaryjskich albo Lazurowego Wybrzeża. Tfu, co ja mówię. Chybaby tam zmysły stracił. Dominik wolał spać pod gołym niebem, pozwalał się kąsać pająkom i ocierać jaszczurkom, nurkował w głębinach mórz, wśród raf koralowych, imał się niechcianych przez innych zajęć, a przy okazji uwodził kobiety. Dopiero kiedy Dominik

zaprzestał swoich wojaży, zrozumiałam, na czym mogło polegać to uwodzenie. Chłopięcy wdzięk, aura człowieka wolnego i snucie barwnych opowieści - to działa nawet na największe cnotki.

W pewnym sensie na mnie też działało. Dominik mnie fascynował, chociaż nawet dzisiaj nie potrafię stwierdzić, czy była to fascynacja nim samym czy też tym światem i tymi przygodami, o których opowiadał. Był mi bliski, a jednocześnie prawie nieosiągalny. Mam wrażenie, że wrył trwały ślad w moim sercu, ale i rysę na charakterze. Może dlatego nie mogę nigdzie zagrześć miejsca, z jednej strony coś pcha mnie w kierunku mężczyzn takich jak on, a z drugiej hamuje, bo przecież oni zaraz odejdą, znikną gdzieś bez śladu.

Zresztą to i tak nie ma znaczenia. Ciocia - babcia straciła pamięć, kuzyn Dominik traci... Skąd mogę mieć pewność, że następna nie będę ja? Zapomnę, że „jak się siada na betonie, to się dostaje wilka”, że „bez cienia nie ma światła”, że „świnia się nie myje i żyje”, że „nie śmierć rozdziela, ale brak miłości” i że masło kosztuje dwa dwadzieścia, banan tylko dwadzieścia centów, a mój autobus do pracy jest o siódmej czterdzieści trzy. Słowa, słowa, słowa. Nigdy nie wyrażają całego doświadczenia.

Czy zapomnę też, że nie znoszę mleka? Albo że przyjemnie jest czytać w nocy, kiedy oczy kleją się od czekającego na następnej stronie snu? Albo że moją ulubioną zabawą podczas wieczorów spędzanych u Dominika było maczanie palców w gorącym wosku topniejącej świeczki i patrzenie, w jakie kształty zastygnie na moich opuszkach? Jeśli zapomina się wszystko, to pewnie takie rzeczy też.

Czy zapomnę też i tę historię?

Dominik nigdy już nie przywiezie mi peruwiańskiej mate de coca do zaparzenia w glinianym kubku ani gałązki lekkiego

bambusa z którejś z azorskich wysp do ozdobienia mojego pustego wazonu. Ten świat przeminął.

Teraz jest inny świat. Nie zabrałam do niego żadnej z tych rzeczy i nawet tego nie żałuję.

ROZDZIAŁ 2

- Nasz samochód pędzi teraz po Rua Bartolomeu, nieprawdaż? - zapytał Fernando swoim łagodnym głosem.

- Tak, minęliśmy klasztor Hieronimitów, zaraz przetniemy tory kolejowe i dojedziemy do wieży. Czemu pan to robi, panie Fernando?

- Dla potomnych, mój przyjacielu - odpowiedział pasażer ciekawskiemu kierowcy. - Czy nie widzisz, jak to miasto wypiękniało? Patrz na wieżę, przywodzi na myśl cudowny klejnot, koronkę jakąś, rzeźbę azurową przyciągającą wzrok szukający piękna. Jeśli tego nie opiszę, to kto to zapamięta? A może przyjdzie kataklizm i to miasto zniknie z powierzchni ziemi? Raz już ziemia się poruszyła, kościoły zajęły od palonych zmarłym świeczek, a Tag wystąpił z brzegów. Gdyby nie markiz de Pombal (Sebastiao Jose de Carvalho e Mello Pombal (1699 - 1782) - portugalski mąż stanu, minister króla Józefa I; pod jego kierunkiem odbudowano Lizbonę po trzęsieniu ziemi z 1755 roku.), mieszkalibyśmy teraz na zgliszczach tego, co zostało z tamtego świata.

- Tak, ale pan każe wozić się w tę i we w tę. Który to już tydzień. Pracy pan innej nie ma?

- Mam, mam pracę. Tłumaczę listy handlowe dla różnych stron, księguję. Nie znoszę tego, ale żyć trzeba. Tak naprawdę jednak, mój przyjacielu, jestem poetą.

Fernando jest poetą. Pisze piękne wiersze i książki, podpisywane za każdym razem innym pseudonimem. Bo Fernando wyznaje zasadę, że wszystko w życiu musi być autentyczne. Książki też. Więc jeśli wciela się w smutnego księgowego, to i nazywa się smutno - Bernardo Soares.

Innym razem układa wiersze podobne do buddyjskich koanów. Soares nie pasuje, potrzebny Alberto Caeiro. Nikt nie domyśla się, że pod różnymi nazwiskami kryje się jedna i ta sama osoba. Bo też i jego twórczość nie jest szeroko znana.

Ot, taki poeta, o którym mało się mówi, a jeszcze mniej się go czyta.

Zaraz po przejeździe Fernando wraca do swojej zaciemnionej okiennicami sutereny pod kawiarnią na Rua do Almirante Barroso. Tam, na górę, ludzie wpadają na szybki łyk maleńkiej kawy i biegną dalej. Niektórzy zostają, by poczytać najświeższe wydanie wpływowej „O Seculo” albo żeby porozmawiać z barmanem. Fernando tymczasem pisze kolejny wiersz, spoglądając na czarno - białą pocztówkę z rybakami przepływającymi się na drugi brzeg Tagu.

„Moje miasto - myśli. - Gdyby ojczym nie dostał posady konsula, nigdy nie opuściłbym tego miejsca. Ale wyjechałem i przez ponad dziewięć lat byłem emigrantem, musiałem mówić po angielsku, jeździć riksą i chronić się przed urokami wiecznego lata. Wyrwany z kręgu kolegów i świata podwórkowych zabaw, tęskniący za wszystkim, co miało smak utraconego dzieciństwa, nawet za nielubianą szkołą. Basilio, Nuno, Teresa... Zostawiłem wszystkich zadziwionych, kiedy powiedziałem, że rodzice zabierają mnie na inny kontynent i że nie wiem, kiedy wrócę. Próbowałem tam się odnaleźć, naprawdę próbowałem. Ale zaułki afrykańskich miast nie są tak urokliwe jak te tutaj, tak mi znajome. Nie znalazłem wielu przyjaciół, nigdy nie polubiłem zatłoczonego portu, przy którym mieszkaliśmy. I ta ignorancja. W szkole wiele razy pokazywałem na mapie, gdzie jest moja ojczyzna, moje miasto. Należę do narodu żeglarzy i odkrywców, jak Vasco da Gama; to przecież on odkrył miejsce, w którym moi koledzy z durbańskiej szkoły żyli. Żaden z nich o tym nie wiedział!

Ojczym był w Afryce szczęśliwy. Miał ważną posadę. Ale matka? Zawsze się nad tym zastanawiałem. Drugi mąż przesłonił jej cały świat. Przestałem być jej ulubieńcem, ukochanym Nando, któremu nuci się stare piosenki do snu.

Może była tam szczęśliwa. Wróciłaby razem ze mną, gdyby nie była. A więc jestem tutaj. W moim Białym Mieście. Czego więc mi brakuje?"

- Duszno tu - zauważa, po czym chwyta płaszcz i wybiega na gwarną ulicę.

Cafe Martinho da Arcada jest jeszcze otwarta, ale już wkrótce ostatni goście opuszczą lokal. Fernando zostanie. Właściciel jest jego dobrym znajomym, pozwala mu pisać po godzinach otwarcia. Wtedy jest cicho, chłodno i sennie. W kawiarni nie ma ludzi, ale są ich myśli. Zostały tutaj, jakby zgubione, nieopatrzenie zostawione. Fernando zajmuje stolik na środku i zaczyna zbierać myśli unoszące się w kawiarni. Jedna, druga, trzecia... Układa je w słowa na nowo, przetwarza, kreśli i zamienia. Jest tak spokojnie...

Budzi się następnego dnia rano, słyszy turkot wózków wiozących świeże ryby z portu na targ. Tyr, tyr, tyr, toczy się też wózek z owocami. Zaraz na ulicę wylegną dzieci i zrobi się głośno.

Poprzedniego wieczoru długo pisał w Café Martinho. Na zniszczonym biurku leży kartka zapisana drobnym maczkiem. To kilka strof wiersza, jeszcze niedokończonych, ale już nabierających życia.

- Dlaczego tak wolno mi to idzie? - zastanawia się, wychodząc z domu.

Dawny Plac Pałacowy (Plac Pałacowy (Terreiro do Paco) - plac przed dawnym pałacem królewskim; po zniszczeniu pałacu w czasie trzęsienia ziemi markiz de Pombal zmienił nazwę tego miejsca na Plac Handlowy (Praca do Comercio). Nazwa ta funkcjonuje współcześnie.) zaczyna pomалу się wypełniać. Fernando przecina go.

„Jest idealnie kwadratowy - przebiega mu przez myśl. - Wszystko co symetryczne, buduje jakąś harmonię, nawet taki plac. Pombal miał swoich przeciwników, ale to on wytyczył

szerokie aleje i przestronne ulice, dzięki czemu miasto nabrało rozmachu".

- Zawiezie mnie pan pod park Torel? - pyta chwilę później znajomego kierowcę, tego samego, który woził go wczoraj.

Kierowca jest w dobrym humorze, zwłaszcza że zarobek sam pcha mu się w ręce.

- Miło pana widzieć, panie Fernando - uśmiecha się. - Jest pan moim stałym klientem, zawiozę pana nawet pod pałac króla, jeśli taka będzie pana wola - mówi, otwierając jednocześnie drzwi samochodu.

Wąsaty kierowca dobrze wie, że Fernando jest teraz całkowicie pochłonięty zbieraniem informacji o mieście, że wydaje na to każdy grosz, ale prędzej nie zje obiadu, niż pozbawi się możliwości pojechania na drugi koniec Lizbony i obejrzenia któregoś z nowo wzniesionych pomników. Dlatego dobrodusznie, choć wbrew własnym interesom, dodaje:

- Za pół ceny, panie Fernando.

Przystają przy skwerku. Fernando wysiada w pośpiechu.

- Proszę nie czekać - rzuca kierowcy.

Idzie wąską uliczką wzdłuż eleganckich stuletnich rezydencji zamieszkanymi przez elitę. Szerokie bramy wiodą do białych domów ozdobionych finezyjnymi detalami. Tarasy, ocieniane przez liście drzew palmowych, spoglądają na ciasno do siebie przylegające, nieregularne, jakby rozrzucone po horyzont dachy miasta. Położony na wzgórzu biskupi park Torel też ma bramę, wysoką i kutą w żelazie. A za bramą - prawdziwa oaza: krzewy przemieszane z kwiatami, tuje z palmami, miękkie trawniki okalające żwirowe ścieżki.

O tej porze jest jeszcze pusto, tylko jakiś jegomość przechadza się wolnym krokiem wzdłuż ogrodzenia, spoglądając co jakiś czas na rozgrzewającą się nad Tagiem

kulę słońca. Fernando siada na pustej ławce i bierze głęboki oddech.

- Boże, jak mi było tego w Afryce brak - wzdycha, czując jednocześnie ulgę w sercu.

To samo uczucie nachodzi go wieczorem, kiedy kluczy po słabo oświetlonych uliczkach Alfamy. Ta dzielnica, w większości zamieszкана przez rybaków, zawsze tętni życiem. Z okien ubogich domów, z kątów brudnych podwórek i zaniedbanych kanciap rozchodzi się nostalgiczny śpiew. Na głowy przechodniów padają krople ściekające z prania dopiero co rozwieszonego nad ich głowami. Słyszą głośne rozmowy. W tym miejscu radość życia i nędza splatają się w mocnym uścisku.

Alfama przypomina Fernandowi o smutku, którego tak często doświadczał w Afryce. Lubi wtedy myśleć, że już nigdy nie będzie za niczym tęsknić. Ta świadomość dodaje mu skrzydeł i tłumi inne uczucia - osamotnienia i zagubienia niezwiązanego z żadnym miejscem ani osobą, ale z czymś znacznie bardziej osobistym, z własną duszą.

Wędrując tak, Fernando dociera na Praca da Figueira, dokładnie wtedy, kiedy zaczyna padać. Początkowo słaby deszcz z każdą chwilą nabiera mocy. Skuleni przechodnie stukają obcasami w nierówny i coraz bardziej śliski bruk. Próbują dotrzeć jak najszybciej do swoich domów, ale Fernando, nie chcąc wracać do pustej sutereny, skręca z powrotem w stronę Baixy i spaceruje przez następną godzinę.

Dociera do domu o północy. Głowa pełna obrazów i wrażeń nie pozwala jednak ułożyć się do snu. Choć marzy o odpoczynku, otwiera na oścież okiennice, zapala papierosa i sięga po pióro. „Zapełnię luki w postrzeganiu tego miejsca - myśli. - Miasto kolorów i smutku zarazem. Przeczyta ten, kto będzie chciał”.

I stawia pierwsze słowa na chropowatym, ciętym z większych płacht papierze - jedynym, na jaki było go stać:

Na siedmiu wzgórzach, które stanowią również punkty obserwacyjne, skąd można podziwiać najwspanialsze z widoków, rozpościera się rozległe, nieregularne i wielokolorowe skupisko domów tworzące Lizbonę.

Podróżnemu, przybywającemu od strony morza, Lizbona już z daleka jawi się jak olśniewająca wizja senna, rysując się wyraźnie na tle błękitu nieba, który słońce rozpromienia swym złotym blaskiem. A, kopuły, stare budowle i zamczyska wysuwają się ponad linie domów, jak dalecy heroldowie tej cudownej, błogosławionej krainy (Wszystkie opisy Lizbony cyt. za: F. Pessoa, Lizbona. Co turysta powinien zobaczyć, przeł. K. Bieńkowska, Warszawa 2001.).

ROZDZIAŁ 3

- Mogę tam zajrzeć? - zapytałam Dominika, usiłującego przypomnieć sobie przepis na risotto. Znowu byłem w jego wytapetowanym mapami pokoju, z zaciekawieniem wpatrywałem się w stary kufer stojący pod oknem.

Kufer został odziedziczony przez kuzyna po cioci - babci, która z kolei dostała go w spadku po swojej babce i która przez wiele swoich panieńskich lat wrzucała do niego elementy posagu - obrusy, pościel i halki - aż w końcu w niewielkim kościółku sześćdziesiąt lat temu powiedziała sakramentalne „tak” przystojnemu Eugeniuszowi. Warmińskie Leginy, bo tam właśnie wzięli ślub rodzice Dominika, były rodzinną wsią cioci - babci, natomiast Eugeniusz przyjechał z Mazowsza. Mieszkali w Leginach przez jakiś czas, ale gdy tylko na świecie pojawił się Dominik, przenieśli się do Warszawy w poszukiwaniu lepszego życia. I tak trafili na Żoliborz. Kufer był w tamtych czasach częstym elementem posagu, ale rzadko kiedy prezentował się tak okazale. Ten z pewnością stanowił ważny dodatek do panny młodej. Zarówno ciocia - babcia, jak i Dominik uważali go za cenną pamiątkę rodzinną i może dlatego przetrwał do dzisiaj w niezłym stanie.

Kufer miał kolor wiśni, a zamiast tradycyjnego zamka, dwa skórzane paski z ozdobnymi kłamrami. Tak łatwo można było go otworzyć, a jednak pozostawał dla mnie zamknięty aż do teraz.

- Naprawdę mogę? - zapytałam ponownie, upewniając się, że kuzyn wie, o co pytam.

- Jasne, nie krępuj się. I tak zapomniałem, co tam trzymam. Szarpnęłam jeden z pasków, ale dawno nieużywany stwardniał i przylgął do żelaznych, zardzewiałych sprzączek.

- Masz coś do przetarcia kurzu? Matko, chyba całe wieki go nie otwierałeś - rozejrzałam się po pokoju kuzyna. Były

tam tylko książki, płyty i mapy. I porozrzucane ciuchy. Wygrzebałam jakąś chusteczkę do nosa, zmoczyłam pod bieżącą wodą i wróciłam do pokoju. Kufer był już otwarty, a kuzyn kuczał przy nim i szperał w jego wnętrzu.

- Moje listy... Wszystkie moje listy. Jak mogłem zapomnieć, że je tu wrzucałem? Patrz - pokazał mi kartkę z odbitym przy nagłówku dnem kubka. - Pisałem to z Sofii. Mój pierwszy wyjazd. To tam odkryłem, że świat może być kolorowy, a ludzie bardziej żywiołowi. Dojechałem nad Morze Czarne autostopem i zobaczyłem prawdziwy raj. Tyle cytrusów na straganach. Ech, stare dzieje - westchnął i odłożył kartkę.

- A to? - podałam mu kopertę z egzotycznym znaczkiem.
- To... - zamyślił się - myślę, że to od Anny.

Obrócił kopertę w dłoni i przybliżył ją do twarzy, jakby próbując znaleźć ślady mogące naprowadzić go na właściwy trop.

- Tak... od niej. Wyjechała na długo przedtem, zanim ja zacząłem jeździć... na długo przed. Byłem u niej. Może ona też chciałaby mnie odwiedzić? Nie, lepiej nie. Straciłbym złudzenia. Słuchaj, czy ty masz jakieś złudzenia? - chciał wiedzieć, ale po chwili mruknął do siebie: - Pytam bez sensu...
- I już głośniejszym głosem zapytał: - Chodzi mi o to, czy czegoś bardzo chcesz, czy masz pragnienia?

Czy mam pragnienia? Mam. Ale pragnienia są piękne, dopóki pozostają w tej mglistej strefie snu i marzeń. Jeśli zaczynają panoszyć się na jawie, stają się niebezpieczne - rosną i rosną, a potem rozsiadają się bezprawnie na tronie rzeczywistości i przesłaniają prawdę. Panują tam przez jakiś czas. Ale w istocie są martwe, nie potrafią stworzyć ani zastąpić prawdziwego życia. Zioną pustką. Tkwią w nas, nie posuwając niczego ani o centymetr do przodu. Po pewnym czasie stają się nudne, pretensjonalne i tak wyeksploatowane,

że ulatują, po cichu, niezauważenie. A życie? Życie dopiero wtedy nabiera rozpędu i daje popalić.

- Nie, nie mam pragnień - odparłam. - Nie lubię nawet marzyć.

- Bzdury gadasz, każdy lubi marzyć. Nie jesteś ze mną szczerą.

- Oczywiście, że jestem. Jeśli miałam kiedyś marzenia, to się spełniły. I tyle.

- Aha - powiedział kuzyn i wrócił do przeglądania zawartości kufra.

Siedzieliśmy tak w milczeniu do wieczora, aż luźne kartki i wymięte koperty całkowicie przesłoniły wzorki tureckiego dywanu. Ileż było tych papierów! Całe lata korespondencji - widoków uwiecznionych w słowach, opisów spotkanych przypadkowo osób i mniej lub bardziej istotnych zdarzeń; tysiące słów i tyle samo nieskładnych myśli.

Od siedzenia po turecku przez parę godzin zdrętwiały mi nogi. Dominik zdawał się całkowicie nieobecny. Może przenosił się w czasie i w przestrzeni. Może marzył. Tak, on potrafił marzyć. Bez tej umiejętności spędziłby życie, robiąc geodezyjne pomiary, nie ruszając się poza obręb wytyczonych przez pracę szlaków. Może by się przyzwyczał? Może nawet byłby szczęśliwy?

- Zapomnieliśmy o obiedzie - zauważył w końcu całkiem przytomnie. - Skoczę po zakupy, a ty tu sobie siedź - poinstruował mnie.

Chciałam zaproponować, żebyśmy poszli razem, ale zanim otworzyłam usta, już go nie było.

- Dobrze, w takim razie zrobię sobie coś do picia - ziewnęłam i wstałam, żeby nastawić wodę.

Kuchnia będąca kiedyś wzorem czystości teraz spowita była w cienką warstwę tłustych oparów i nieścieranego z półek kurzu. Zasłonki wyblakły od słońca, blat się wytarł, a

paprotki w doniczkach straszyły uschniętymi odnóżkami. Kuzyn nadal zachowywał się tak, jakby ktoś miał przyjść i uporządkować ślady codzienności, które po sobie zostawiał. Jakby nadal nie wierzył, że osiadł na stałe, że czas się rozejrzeć wokół siebie, przyjąc do wiadomości, że jest się tutaj, w tej chwili.

To miejsce było puste bez cioci - babci. I smutne. Dominik nie wprawiał wokół siebie wszystkiego w życie, tak jak ona potrafiła. Przez wiele lat samotna, nigdy taka naprawdę się nie czuła. Jej jedyny syn jeździł po świecie, ale w domu zawsze było pełno ludzi - siostry, bracia, przyjaciele, bliższe i dalsze ciotki, przyjaciółki ze starego Żoliborza oraz sąsiadki z mieszkania naprzeciwko i z góry.

Ciocia - babcia gościła te wszystkie osoby z radością. Zawsze miała w domu puszkę zmielonej kawy i słodkości - na wypadek, gdyby jakiś gość zapukał do jej drzwi. A pukał często. Stary Żoliborz to była niegdyś mała enklawa sąsiedzkich przyjaźni. Ciocia - babcia mieszkała w jednej z kamienic wybudowanych przez Warszawską Spółdzielnię Mieszkaniową, a tam dziedzińce pomiędzy domami były jeszcze bardziej zielone i kameralne niż gdzie indziej. Ludzie pielęgnowali rabatki z kwiatami, przesiadywali na ławkach wystawionych do słońca, rozmawiali z sąsiadkami wychylającymi się z okien.

Zapadał zmrok. Wróciłam do pokoju kuzyna, w którym powoli robiło się ciemno, i sięgnęłam na dno kufra. Tych dokumentów, kartek z zapiskami i listów były setki. Wyłowiłam jakąś żółtą kopertę z bardzo cienkiego papieru i przebiegłam wzrokiem po liście, który w niej się znajdował.

Dominiku,

piszę, choć wiem, że nie mam prawa pisać. Taka była umowa, pamiętasz? Czasem myślę: to był błąd. Może był, nie

wiem tego nawet teraz. Ale proszę, nie próbuj mi nic tłumaczyć, nie chcę znać Twojego zdania.

Moje życie zmieniło się. Ja się zmieniłam.

Tamtej nocy kawiarniany stolik już nie wystarczył ani nasze ciche zaklęcia. Słowa nie przystawały do rzeczywistości. Gorycz miała odejść następnego dnia, ale zamiast niej to Ty odszedłeś.

Tak właśnie miało być.

Odłożyłam kartkę i zapaliłam lampkę wyciągającą swą długą szyję zza tapczanu. Jaskrawe światło rozlało się po pokoju.

Pamiętam niemal wszystkie poranki, kiedy ze snu zamkniętego pod moimi powiekami wyłaniała się Twoja twarz i nie znikwała, kiedy powieki unosiłam. Pamiętam linie na Twoich dłoniach, tak lubiłam wodzić po nich palcami. Pamiętam Twoje ciepło, zapach, kształt cienia, który zostawiałeś na ścianie.

To trwało, a my, zdziwieni nagłą namiętnością, zaskoczeni jej siłą, co noc stawaliśmy się jednym, wspólnym, gorącym oddechem. Rano zostawały filiżanki z niedopitą kawą, Twoja szczoteczka do zębów i ulubiona płyta na adapterze.

Prosiłeś, żebym śpiewała dla Ciebie fado, i robiłam to. A teraz śpiewam fado o nas, nie dla nas. Wszystkie smutne fado tego świata.

Chcę Ci powiedzieć, że nie wiem, czy warto tak kochać, skoro się o tę miłość nie walczy. Po tym wszystkim, co stało się naszym udziałem, niczego nie jestem już pewna.

Rosa

Za oknem było już całkiem ciemno, a chłodny powiew powietrza, który wślizgnął się przez otwarty lufcik, przeszył mnie na wskroś. Poczułam, jak kiełkuje we mnie poczucie winy, tak jakbym odkryła jakąś niedostępną dla śmiertelników tajemnicę, czyjś intymny sekret.

Kim była kobieta, która takie słowa pisała do kuzyna Dominika? Do naszego Dominika? Tego, który był lekkoduchem, odludkiem trochę, którego nie trzymały więzy rodzinnych zobowiązań i zależności?

Co wydarzyło się pomiędzy nimi? Co zaszło tamtej nocy, o której ona pisze? Jak dobrze musiała go znać, żeby tak się do niego zwracać?

Te pytania dźwięczały mi jeszcze w głowie, wtedy gdy kuzyn, taszcząc dwie torby z jedzeniem, wszedł na drugie piętro i przekręceniem klucza w zamku wyrwał mnie z dziwnego transu, w jaki wprowadziły mnie słowa widniejące na żółtej kartce. Dominik wkroczył do pokoju zadyszany. Rysy jego twarzy wyostrzyły się jeszcze bardziej po kilku latach spędzonych w domu, ale sylwetkę nadal miał wyprostowaną, ciało, choć niemal pięćdziesięcioletnie, wyćwiczone. I tylko jego spojrzenie pozbawione było tak dobrze mi znanego z dzieciństwa błysku.

- Co robisz? Czytasz, widzę - sam sobie odpowiedział, po czym spojrzał mi przez ramię. - Co tam masz?

- Dominiku - zapytałam, nie będąc pewna, czy mam prawo - kim była dla ciebie Rosa?

- Kto?

- Rosa. Kobieta, która napisała: „Tamtej nocy kawiarniany stolik już nie wystarczył ani nasze ciche zaklęcia...”

Dominik spojrzał na mnie pytającym wzrokiem, nie mogąc ukryć zdziwienia. Przez długą chwilę nie odpowiadał, a ja czułam, że rozstrzyga jakąś ważną kwestię. Na jego czole pojawiła się pionowa bruzda, a usta ułożyły w paseczek. Spoważniał nagle, spochmurniał. Pewnie chciał, abym myślała, że próbuje sobie przypomnieć autorkę tych słów, ale ja przeczuwałam, że to tylko zmyłka. I przecucie mnie nie

myliło. Już niedługo miałam dowiedzieć się, że dobrze pamiętał te słowa, a każde sprawiało mu ból.

- Była kobietą, która uczyła mnie śpiewać - powiedział wreszcie, po czym wyjął mi z rąk list i wrzucił go z powrotem do kufra.

Musiało minąć trochę czasu, zanim uświadomiłam sobie, że moje pytanie nie było tak proste, jak mi się wydawało. Domyślałam się, że właśnie wtedy oczyma wyobraźni kuzyn ponownie zobaczył siebie tam, w Lizbonie, razem z Rosą. Wędrujących, śpiących pod gołym niebem w parku Campo Grande, wtulonych w swoje ciała, zasłuchanych w stare fado przenikające mury Alfamy. Ona śpiewała, on słuchał. Nasiąkał jej głosem, chłonał go i ginał w jego brzmieniu. On nigdy nie był w życiu zachłanny uczuć, z tym jednym wyjątkiem. Ale zamiast to szczęście zatrzymać przy sobie, ucałował je na pożegnanie.

Pewnego dnia, wiele miesięcy później, Dominik zdradził mi, o czym myślał tamtego wieczoru, gdy znalazłam list Rosy. Zamiast lizbońskich wspomnień, zapachów, widoków i twarzy w jego głowie pojawiła się pieśń... której treści nie chciał mi wtedy zdradzić.

Vielas de Alfama Ruas da
Lisboa antiga
Nao ha fado que nao diga
Coisas do vosso passado
Vielas de Alfama
Beijadas pelo luar
Quem me dera la morar
Pra viver junto do fado.

(Fado Vielas de Alfama śpiewane przez Marizę; słowa Maximiano de Sousa, muzyka Artur Ribeiro; tłum. z ang. I. Słabuszewska - Krauze: Alejki Alfamy / Ulice starej Lizbony / Każde fado mówi / O waszej przeszłości / Alejki Alfamy /

Całowane przez księżyc / Jak bardzo chciałabym tam żyć /
Żyć blisko fado.)

ROZDZIAŁ 4

Nie spotkaliśmy się przez kolejnych kilka dni. Miałam jak zwykle mnóstwo rzeczy do zrobienia, tak jest zawsze, gdy mieszka się daleko od domu i przyjeżdża na parę dni. Odwiedzić znajomych i rozrzuconą po mieście rodzinę, kupić to, czego brakuje mi w Dublinie - urlop zamiast być urlopem zamienia się w wyścig z czasem.

Moje życie było tak poukładane, że czasami marzyłam, aby wreszcie ktoś zrobił w nim wyrwę. Mogłoby to być cokolwiek - jakaś nieoczekiwana zmiana biegu wydarzeń, nieprzewidywalność, która mogłaby się wkraść w moje dni, ślepy zaułek, z którego należałoby się wycofać, albo zdarzenie, które wyróciłoby moje życie na drugą stronę.

Ale nie, nic z tych rzeczy nigdy mi się nie przytrafiało. Miałam pracę, miejsce, które mogłam nazwać domem, budzik nastawiony na szóstą trzydzieści i pieniędzy tyle, żeby spokojnie planować wakacje.

Kiedyś, kiedy jeszcze mieszkałam w Polsce, miałam cel - wyjechać. Nawet nie wiem dlaczego cel był taki, a nie inny. Może był to przejaw wpływu Dominika, a może moje osobiste pragnienie. W każdym razie wyjechałam i nie miałam już o czym marzyć.

U Dominika zjawiłam się ostatniego dnia przed swoim wylotem do Dublina. Kuzyn nie był rozmowny. To było coś, czego nigdy nie potrafiłam rozgryźć - czasem zamykał się w sobie, milknął na długie godziny, a innym razem opowiadał niestworzone historie, śmiał się i rozśmieszał też mnie. Nigdy nie wiedziałam, w jakim nastroju go zastanę i czy moja wizyta zakończy się po dziesięciu minutach czy też potrwa całą noc.

- Miałem nadzieję, że wpadniesz - powitał mnie. - Chciałem cię o coś prosić.

Podszedł do biurka, na którym leżał gruby, obłożony w kartkę ze starego kalendarza skoroszyt. Przerzucił kilka stron i

uważając, by żadna się nie przedarła, wyrwał je i złożył na pół. Potem wygrzebał spod sterty papierów szarą kopertę i włożył tam plik kartek. Nie chciały się zmieścić, więc przyciął je ostrożnie przy krawędzi.

- Zawsze chciałem to zrobić - powiedział cicho, chyba bardziej do siebie niż do mnie, a potem już głośniej: - Pamiętasz, jak kiedyś poprosiłaś mnie, żebym zaniósł list twojemu adoratorowi z równoległej klasy? Temu od roweru.

- Jasne, Markowi. Nadziałam się na śrubę w kierownicy, a on zamiast lecieć po rodziców, tamował mi krew swoją brudną chusteczką do nosa. Pamiętam. Napisałam do niego list, żeby przestał robić sobie nadzieję, że się nim zainteresuję. A ty ten list zaniosiłaś.

- Właśnie. Nie wiem, dlaczego sobie o tym przypomniałem. Może dlatego, że ja też napisałem list. Tu jest adres. Bardzo bym chciał, żeby list został wysłany z Dublina, a nie stąd. Zrobisz to dla mnie? Jutro przecież wyjeżdżasz - powiedział, wręczając mi drżącą ręką grubą kopertę.

- Czemu nie możesz go wysłać stąd?

- Obawiam się, że mogłabyś nie zrozumieć. Ty masz maile i skypy i to jest twój sposób na komunikację. Zawsze można się odłączyć, skasować, poprawić. Ja nie chcę się w to bawić. Myślę, że ona też nie. Byłem podróżnikiem, człowiekiem wolnym. Teraz gniję w domu. Nie chcę, żeby ona myślała, że straciłem pasję albo, co gorsza, rozum. Po prostu wrzucić to do skrzynki w Dublinie i już. Wrzucisz?

- Dobrze - wzięłam od Dominika kopertę i schowałam ją do torebki.

ROZDZIAŁ 5

Jedyną osobą, która zauważyła moją tygodniową nieobecność w Dublinie, był Kostek.

- Jedziemy najpierw do mnie, mam gotową kolację - oświadczył, gdy tylko wytoczyłam ciężką walizką z hali przylotów.

- Co tu robisz? - zdziwiłam się. - Nie umawialiśmy się, że mnie odbierzesz.

- Wiem, ale i tak nie miałem nic do roboty. Wiedziałam, że nie mówi prawdy i że ma nadzieję, że podobne stwierdzenie utnie wszelkie pytania. Często tak robił, zamiast po prostu powiedzieć, że miło by było spędzić razem wieczór.

- Odwiozę cię później do domu - dodał.

- Jesteś nieoceniony - pochwaliłam go, uświadamiając sobie jednocześnie, że to bardzo miłe uczucie: być przez kogoś witany na lotnisku. Nie wracać do pustego miejsca ze świadomością, że nic, ale to nic w czasie twojej nieobecności nie zmieniło się. Że nawet brudny kubek stoi tam, gdzie został przed wyjazdem zostawiony, i że tylko kwiatki w doniczkach mogłyby ucierpieć, gdybyś jednak postanowiła więcej do tego miejsca nie wracać.

- A ja nic ci nie przywiozłam, mam tylko trochę świeżej prasy. Chcesz?

- Chcę, poczytam sobie w długie, samotne wieczory. Jak było?

- Sympatycznie, cieszę się, że pojechałam. A ty co robiłeś przez ten czas?

- Próbowałem malować cienie. Tak, aby obraz tworzył się na ich styku, na krawędzi. A jednak tak trudno to oddać na płótnie.

- Widzę, że bardziej myślałeś, niż malowałeś - oceniłam, mając nadzieję, że Kostek nie wpadnie zaraz w jeden ze

swoich filozoficzno - egzystencjalnych nastrojów, które utrwał na płótnie zgaszonymi barwami olejnych farb.

Malowanie było jego pasją, ale też źródłem frustracji. Amatorskie, uskuteczniane tylko w wolnym czasie, wydawało mu się zajęciem cenniejszym niż praca i inne przyjemności. Nie wiem, czy miał choć odrobinę talentu. Podobno zdawał na Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie, ale go nie przyjęli.

- Całe szczęście - usprawiedliwiał się później. - To i tak nie było dla mnie. Jestem za mało cierpliwy.

Jego obrazy były nostalgiczne, mało konkretne, jakby ze świata snu. Niektóre kończył w dwa wieczory, inne stawiał odwrócone przy ścianie i pozwalał, aby przez długie miesiące zbierały kurz. Były też takie, które wyrzucał zaraz po ukończeniu.

- Nie o to mi chodziło - mówił wtedy, nie zwracając uwagi na moje prośby, aby je ocalić i komuś podarować, na przykład mnie.

Przed moim wyjazdem do Polski cieszył się, że ma świetny pomysł na obraz i w dodatku czuje przyływ energii. Najwyraźniej były to tylko przechwałki.

- Chciałbym mieć więcej czasu. Ale pewnie gdybym miał, przeciekałby mi przez palce, więc może jest lepiej tak, jak jest - wyjaśnił, odbierając ode mnie reklamówkę z żubrówką dla szefa.

Pracowaliśmy z Kostkiem w tej samej firmie, niemal biurko w biurko. Czasami nie rozumieliśmy irlandzkich szefów, którzy burzyli nasze bardzo przemyślane, jak nam się zdawało, koncepcje, po czym przedstawiali kilka drobiazgów w projekcie, okraszali go sexy quote i ku naszemu zdziwieniu uznawali za gotowy. Musiało minąć trochę czasu, zanim przyzwyczailiśmy się do takiego toku myślenia i zanim zrozumieliśmy, że w pracy nie trzeba się zabijać po to, żeby

wszystko było idealne. Pozbywanie się starych nawyków, choć początkowo szokujące, było naprawdę przyjemne.

Mieszkaliśmy w Dublinie, ale równie dobrze moglibyśmy mieszkać w Madrycie czy w Pradze. Nie byliśmy emigrantami, wbrew temu co wpajały nam lubiące nazywać wszelkie zjawiska media. Po prostu teraz mieliśmy tutaj lepszą pracę, lepsze warunki życia i przyjemniejsze niż w Polsce zimy. Przyjazd do Dublina nie był dla nikogo z nas wielkim wyzwaniem, nie był wyrzeczeniem ani też specjalnie ciężką rozłąką z krajem ojczystym. Dla niektórych oznaczał przygodę, dla innych tymczasową zmianę miejsca zamieszkania i nic więcej.

Spotykaliśmy się też w niepracowych warunkach - większą grupą zapuszczaliśmy się w odleglesze, zachodnie tereny Irlandii. Niezmiennie kończyło się to wędrówką w deszczu, kawą parzoną na przenośnej kuchence pod jakąś starą wiatą i nocami w schroniskach, których okna przepuszczały atlantycki wiatr. Miało to swój urok. Wędrowanie po drogach, gdzie spotyka się tylko owce, bezkres nieba, powietrze pachnące świeżością, mgłą, trawą... Wszystko to stanowiło cenny bonus do naszego irlandzkiego życia.

Kostek był najczęściej inicjatorem takich wycieczek. Kupował dokładną mapę, kazał nam pakować nieprzemakalne kurtki i gnał nas na krańce dróg. Początkowo protestowaliśmy, bo woleliśmy przekonać się, na czym polega przyjemność wielogodzinnego siedzenia w przytulnym, irlandzkim pubie, ale przesiadywanie w barze szybko nam się znudziło. To nie było dla nas.

Łączyła mnie z Kostkiem przyjaźń podsycana wspólnymi doświadczeniami. Byliśmy dla siebie w pewien sposób „przezroczysti”, oboje chroniliśmy swoje terytorium i swoją prywatność, nie narzucaliśmy się sobie, ale byliśmy obecni - w odległości, którą w razie czego może pokonać pomocna

dłoń. Być może taki stan rzeczy dawał mi namiastkę poczucia, że jest nas dwoje na tej planecie. Tak samo pewnych obranej drogi i tak samo odczuwających niepokoje, tak samo chcących uniknąć poczucia zagubienia w samotne noce, smutku w godzinach czekania i wątpliwości w chwilach wyboru.

Gdy tylko weszliśmy do jego mieszkania, Kostek postawił przede mną płótno z kilkoma szarobiałymi plamami i jedną smugą w kolorze dojrzałego zboża.

- Zobacz. To jest to, co dopiero zacząłem.

- To jest... - zawiesiłam głos, nie mogąc odczytać intencji autora.

- Szuwary, nie widzisz?

- Szuwary? - zatkało mnie. - No wiesz, w życiu bym nie zgadła - powiedziałam, próbując stłumić ogarniający mnie śmiech. - Ty to jednak masz wyobraźnię, Kostek.

- Nie podoba ci się? Patrz: turzyce, tafla jeziora, odbicia lustrzane... - mówił z entuzjazmem.

- Ej... tu już przesadziłeś, tego nikt nie odczyta. Popraw chociaż odbicia - doradziłam.

- Alicja, z tobą szkoda dzisiaj gadać. Nie chcesz nic zobaczyć, więc prawdopodobnie niczego nie zobaczysz - naburmuszył się i odstawił obraz pod ścianę.

- Nie bardzo mi się podoba, i tyle - próbowałam go ułagodzić.

- No właśnie. Nie podoba ci się. W tym problem.

Zasiedliśmy do stołu, żeby zjeść kabaczkową lazanię. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że każde z nas przebywa myślami gdzie indziej.

Rozejrzałam się po mieszkaniu Kostka. Było jeszcze mniejsze niż moje, a jednak mieściły się w nim grube kartony do szkiców i zamalowane płótna czekające na oprawienie. Zrobiony ze starego biurka stół, wiklinowe pufy na podłodze i typowo irlandzki kominek z kiczowatą półeczką - wszystko to

sprawiło wrażenie niedopasowania i przypadkowości, która kierowała gustem urządzającej mieszkanie osoby. Tylko wrodzona empatia kazała mi wierzyć, że Kostek dobrze czuł się w takim wnętrzu i że prawdopodobnie fatalnie czułby się w moim dopracowanym do perfekcji mieszkanku.

- Działo się coś ciekawego w pracy? - zapytałam, żeby przerwać kłępującą ciszę, która nagle pojawiła się między nami.

- Nic nowego, przenieśli nas tylko piętro niżej, teraz będziemy w zespole Pata.

- Może to i lepiej, z Patem można podyskutować - przypomniałam sobie niskiego bruneta, którego często spotykałam w kuchni i który widząc mój kubek wypełniony rozwiniętymi liśćmi herbaty, za każdym razem dawał wyraz swojemu obrzydzeniu, choć łobuzerskie iskry w jego oczach nie pozwalały wątpić, że intencje ma dobre.

- Co to jest...? - zawieszał głos teatralnie. - Wygląda mało apetycznie. To pewnie z Polski?

Odpowiadałam, że jak najbardziej z Irlandii, z tego sklepu za rogiem, z napisem „Healthy Food”, i że owe nieapetycznie fusy to znana od wieków zielona herbata.

- Ale mleka do tego nie da się dodać? - upewniał się, dolewając białe krople do swojej Barry's Tea, po czym ukontentowany poranną pogawędką opuszczał kuchnię. Dobrze nastrajający smali talk na początek dnia mieliśmy w ten sposób za sobą.

Tamtego wieczoru kolację zjedliśmy w dziwnej atmosferze. Rozmowa rwała się. Coś było nie tak, coś wisiało w powietrzu, ale żadne z nas nie chciało czy też nie potrafiło temu zaradzić. Typowy irlandzki zmierzch z prześwitami słońca i chmurami przesuwanymi podmuchami silnego wiatru tym razem wywoływał w nas niepokój i rozstrzeliwał myśli. Cała przyroda za oknem mówiła, że to maj, że pora się budzić

i rozwijać, ale my byliśmy zamknięci jak nigdy przedtem i niegotowi na towarzystwo drugiej osoby.

Krażyłam myślami wokół listu Rosy. Wydawało mi się niemożliwe, żeby Dominika i Rosę łączyło głębokie uczucie, choć treść listu wskazywała, że tak właśnie było. Gdybym była w Warszawie, być może nadarzyłaby się okazja, żeby porozmawiać z Dominikiem, wydobyć więcej informacji, dopytać... Byłam jednak w Dublinie, z Kostkiem i ciszą, która nas rozdzielała.

Gdyby było jak zawsze, Kostek odprowadziłby mnie do domu i pewnie został jeszcze na herbatę. Tym razem podziękowałam mu za wieczór i powiedziałam, że wrócę taksówką. Nie miało to większego sensu, bo przecież Kostek odebrał mnie z lotniska po to, abym uniknęła taksówki, ale tego dnia nie czułam się dobrze w jego towarzystwie. A on chyba nie czuł się dobrze w moim. Pożegnaliśmy się, wiedząc, że następnego dnia spotkamy się w pracy, i z nadzieją, że może ten dziwny nastrój, który z jakiegoś powodu nas ogarnął, odejdzie i wszystko wróci do normy.

Dotarłam do domu i zasłoniłam szczelnie żaluzje. Przez resztę wieczoru nie robiłam nic konkretnego, a jednak nie chciałam, aby ktoś mi w tym przeszkadzał. W ciszy panującej w mieszkaniu tykanie przywiezionego z Polski zegara stawało się coraz głośniejsze, a dzwonek telefonu byłby prawdziwym barbarzyństwem. Zasnęłam, uwalniając się od wszechogarniającego marazmu.

Walizka pozostała nierozpakowana aż do weekendu. Czasem lubię przedłużać czas zawieszenia, jaki wytwarza się pomiędzy podróżą a zatopieniem się w codzienności. Nierozpakowana walizka jest jednym z takich „wydłużających czas” zabiegów: nie rozpakowałam się, to znaczy jeszcze nie do końca wróciłam. Jeszcze jakiś fragment mnie, może jakaś myśl lub wspomnienie, jest tam, skąd przybyłam. Jeszcze

siedzę na podłodze w pokoju Dominika albo chodzę po szerokich ulicach Warszawy. Może czekam na znajomych, chroniąc się pod daszkiem Rotundy albo oglądam wystawy sklepowe wypiękniałego Nowego Świata. Może rozpoznaję miejsca, w których bywałam niemal każdego dnia, uważając je za niegodne uwagi, a które teraz oglądam z dokładnością detektywa, oceniając, czy ja zmieniłam się bardziej czy one...

ROZDZIAŁ 6

Nie jest łatwo długi czas żyć samemu. Trzeba ciągle bronić się przed wcieleniem do czyichś planów.

Fernando dobrze o tym wiedział i dlatego dobrał sobie odpowiednich kompanów. Pojawiali się wtedy, gdy najbardziej ich potrzebował - przychodzili w smutnych chwilach refleksji, w czasie długich godzin spędzanych nad księgami rozliczeniowymi albo wtedy, gdy martwił się kolejną finansową klapą, która rozwiewała wizję rozkręcenia dochodowej firmy. Towarzyszyli mu od czasów durbańskich, od kiedy zdał sobie sprawę, że nie znajdzie prawdziwych przyjaciół wśród swoich rówieśników. Ich głosy były wyraźne. Tkwiły w jego wyobraźni, wyłaniały się, kiedy trzeba było, milkły, gdy ich nie potrzebował. Życie wydawało się mniej okrutne w takim towarzystwie.

Z czasem bujna wyobraźnia Fernanda dopasowała do głosów twarze, charaktery, historie życia. Głosy stały się dużo bardziej prawdziwe. Kolejno Alberto Caeiro, Ricardo Reis, Alvaro de Campos, Bernardo Soares zaczęli podsuwać mu słowa, zdania, paragrafy całe... Fernando nie oponował. Pozwalał im pisać swoją ręką, a oni mu się odwdzięczali i pisali coraz lepiej, płynniej, a każdy w innym stylu.

Zapada zmierzch, Fernando kończy pracę. Smagane przez cały dzień słońcem ulice Baixy teraz zaczynają oddawać swoje ciepło powietrzu. Niedomyte okna oficyn uchylają się nieśmiało, jakby bojąc się, że żar, który sprawia, że blakną kolory, zaraz wedrze się do zaciemnionych pomieszczeń i spali je na popiół.

Fernando w drodze do domu wstępnie do Cervejaria Trindade (Cervejaria Trindade - najstarszy browar w Portugalii i współczesna restauracja mieszcząca się w dawnym klasztorze. Istnieje od prawie 200 lat, ściany Trindade zdobią niezwyklej urody płytki ceramiczne zwane azulejos.). Odkłada

na bok znoszoną skórzaną aktówkę, uśmiecha się do kelnera i prosi:

- Dwa, osiem i sześć.

Kelner bez zdziwienia podaje paczkę zapalek za 20 escudo, paczkę cygar za 80 escudo oraz kieliszek brandy za 60 escudo.

- Jak zwykle? - szuka potwierdzenia w oczach Fernanda. Fernando przytakuje i wlewa zawartość kieliszka do gardła.

Jest trochę przeziębiony. Upały w ciągu dnia ustępują zwodniczo chłodnym nocom, a ponieważ Fernando o tym zapomina, zimno wdziera się pod jego cienką koszulę i przeszywa go na wskroś. Teraz poeta walczy z katarem i powracającym jak bumerang bólem gardła.

- Jestem taki przeziębiony - mówi do kelnera. - Wszyscy wiedzą, że ciężkie przeziębienia naruszają podstawy wszechświata i nastawiają nas przeciw życiu.

Kelner kiwa głową i wita następnego wchodzącego klienta.

- Przez cały dzień wycierałem nos - narzeka Fernando. - Smutny stan dla słabego poety! Dziś naprawdę jestem słabym poetą. Czy byłem kiedyś kimś innym?

Drewniany tramwaj podjeżdża na przystanek dokładnie wtedy, kiedy dociera do niego Fernando. Wagon jest zatłoczony, wszyscy wracają z pracy. Dębowe ławki trzeszczą pod naporem ciał, ktoś jedną nogą stoi na schodkach, trzymając się kurczowo zewnętrznego drążka. Koła mozolnie wciągają pojazd na wzgórze.

Mijają katedrę Se Patriarcal, przy której tramwaj musi zwolnić, żeby minąć się z nadjeżdżającą z przeciwka furgonetką.

„Chciałbym odnaleźć sam siebie - myśli Fernando, spoglądając w stronę katedry, w której został ochrzczony święty Antoni, jego patron, święty od rzeczy zagubionych, jak

powtarzała matka. - Matka, coraz rzadziej do niej piszę - wyrzuca sobie. - A przecież piszę dziesiątki wierszy! Ale to ona mnie opuściła, nie ja ją".

Tramwaj hamuje gwałtownie na przystanku, Fernando wysiada. Sam nie wie, czemu podjechał aż tutaj, do Alfamy. Lubi spojrzeć na miasto z góry. Na Largo das Portas do Sol zwykle kupuje mocną bica (Uma bica - bardzo mocne, czarne espresso podawane w maleńkiej filiżance, zazwyczaj też bardzo słodkie; pije się je kilkoma łykami; wersja dupla (podwójna) wyłącznie dla odważnych.) i wypija ją dwoma łykami, rozkoszując się chłodnym cieniem, który pomалу obejmuje wszystkie widoczne w dole dachy domów. Teraz jednak Fernando mija pastelarię (Pastelaria - ciastkarnia, z reguły niewielka, za to z dużym wyborem słodkich i słonych przegryzek wystawionych na pokuszenie w witrynie; do ciastek lizbończyk zamówi kawę, chociaż w menu są też inne napoje.) i ocierając pot z czoła skrytego pod wytartym kapeluszem, schodzi zaśmieconymi schodkami. Na jednym z podwórek o mało nie zostaje trafiony szmacianą piłką - grupa dzieciaków rozgrywa najwyraźniej jakiś bardzo ważny mecz. Fernando idzie dalej, w stronę dzielnicy Chiado, pokonując niemal tę samą drogę, którą przed chwilą przejechał tramwajem.

Fernando często włóczy się bez celu po Lizbonie. Wtedy lepiej mu się myśli. Nie znosi siedzieć w domu, nie lubi pracować w domu. Byle jaki bar z chwiejącym się stołem dostarcza mu więcej weny niż najwygodniejsze domowe warunki.

Niemal bezwiednie dociera do domu na Largo de Sao Carlos. Domu, w którym spędził najszcześniejsze lata dzieciństwa. To tutaj jedna z sióstr matki, asystująca przy jego narodzinach, wieściła, że nowo narodzone dziecko

błogosławione będzie darem wrażliwości i humanitaryzmu. Nie wyjaśniła nigdy, co dokładnie miała na myśli.

Jego ojciec Joaquim był krytykiem muzycznym. Często pracował w teatrze naprzeciwko. Czasem zabierał małego Nando z sobą - żeby chłopiec popatrzył na wirtuozów strojących instrumenty muzyczne przed przedstawieniem. Muzyka nigdy tak naprawdę nie interesowała Fernanda, ale czas spędzony z postawnym, wzbudzającym powszechny respekt ojcem był dla niego bezcenny.

Wiedli skromne, ale szczęśliwe życie. Z tamtego czasu Fernando pamięta urywki - początki choroby babki Dionisii, pojawienie się w rodzinie młodszego brata, spacer z ojcem, matkę opowiadającą mu bajki na dobranoc. Nigdy nie widział, żeby rodzice okazywali sobie czułość. Byli raczej zdystansowani, zajęci swoimi sprawami, ale szanowali się nawzajem. I to sprawiało, że dom funkcjonował bez zarzutu.

Wszystko się zmieniło, kiedy ojciec zachorował. Cierpiał straszliwie. Matka trzymała dzieci z dala od niego, sama narażając się na zarażenie śmiertelną chorobą. Pięcioletni Fernando ocalał, ale jego półroczny brat Jorge zmarł kilka miesięcy po śmierci ojca.

Zostali bez środków do życia, tylko we dwoje, bo babka przebywała już gdzie indziej, w świecie wspomnień i imaginacji. Chciano nawet zabrać ją do szpitala psychiatrycznego, ale matka się nie zgodziła. Opiekowała się coraz bardziej zdziwaczoną babką, aż do momentu ich wyjazdu do Durbanu. Fernando, machając babce z promu zabierającego ich do Afryki, myślał, że widzi ją po raz ostatni. Grubo się mylił.

Babka Dionisia żyła jeszcze, gdy w wieku osiemnastu lat wrócił z Durbanu, żyła jeszcze wiele lat później. Mawiała, że najlepszą metodą na zmartwienie jest modlitwa, a na zdrowie - napar z naparstnicy wełnistej. Napar ów przepisał jej niegdyś

młody lekarz jako remedium na bolące serce, ale babka Dionisia wykorzystywała naparstnicę również do innych zdrowotnych celów.

Twierdziła, że dobrze jej robi na zmęczenie i skołatane nerwy. Było to jedyne, nie licząc araku, lekarstwo, które wzbudziło zaufanie babki Dionisii i które zgodziła się zażywać.

Arak zaś babka odkryła przypadkiem podczas któregoś z eleganckich bankietów, w czasach, kiedy jej mąż był jeszcze na takowe zapraszany. Anyżkowy trunek tak przypadł jej do gustu, że od tamtej pory trzymała małą buteleczkę araku na półce w dębowym kredensie zamykanym na srebrny kluczyk. Matka Fernanda obawiała się, że babce alkohol szkodzi i że straci przez niego zmysły, ale w tamtym czasie nie miała już na tę wychowaną w twardych azorskich warunkach kobietę żadnego wpływu.

Po powrocie z Durbanu Fernando, nie mając gdzie się podziąć, wprowadził się na pewien czas do mieszkania babki pod numerem 17 przy Rua da Bela Vista a Lapa. Ale wtedy tak przesiąkł widokiem drobnej staruszki rozmawiającej z duchami i gotującej niewidzialne obiady, że do końca życia był przeświadczony o czekającym go losie - czającej się w niedalekiej przyszłości chorobie psychicznej.

Niedługo po śmierci ojca matka sprzedała mieszkanie z oknami wychodzącymi na teatr. Rozstali się niemal ze wszystkimi pamiątkami rodzinnymi. Matka sprzedała nawet pięknie rzeźbione łoże, które dostali w prezencie ślubnym od rodziny ojca, i toaletkę z bogato zdobionym lustrem, które przez tyle lat każdego ranka odbijało jej piwne spojrzenie zdradzające niepokój. Dzięki tym bolesnym wyprzedazom mogli godnie żyć przez jakiś czas.

Fernandowi taki układ nawet odpowiadał - miał matkę tylko dla siebie. Ale wkrótce napatoczył się elegancki

dypłomata, któremu młoda, elokwentna i atrakcyjna wdowa wpadła w oko. Zaloty nie trwały długo. Spotkali się kilka razy w kawiarni, a matka zaciągnęła dyplomatę do opery, by sprawdzić, czy będzie miała z kim dzielić kulturalne zainteresowania. Dyplomata egzamin zdał, a Nando dowiedział się o planach związanych z wyjazdem do Afryki.

Trzy miesiące później byli już w Durbanie - miejscu na początku wzbudzającym w chłopcu fascynację, która jednak przerodziła się w niechęć, umęczenie, aż w końcu, po kilkunastu latach, w nieodwołalną decyzję powrotu najbliższym statkiem do Portugalii. W Durbanie Fernando zostawił matkę, ojczyma i pięcioro przyrodniego rodzeństwa, za którym nigdy specjalnie nie tęsknił.

Teraz, kiedy Fernando znowu stał na Largo de Sao Carlos i spoglądał na kremową kamienicę z wysokimi oknami wychodzącymi na teatr, czuł tylko nostalgię. Tak szybko musiał dorosnąć, ustąpić miejsca drugiemu mężczyźnie, który pojawił się w życiu matki.

Ich mieszkanie znajdowało się na czwartym piętrze. Dwa wielkie pokoje, po dwa okna w każdym, długi balkon. Na drugim piętrze kamienicy w burzliwym okresie przemian politycznych gromadzili się zwolennicy obalenia monarchii. Przemykali cicho, uważając, by nie zobaczył ich nikt niepowołany. Fernando zwykł mawiać do przyjaciół, iż ma nadzieję, że czwarte piętro będzie miało większy wpływ na historię niż piętro drugie. Zawsze chciał pozostawić po sobie jakiś ślad. A do tej pory miał wrażenie, że pozostawia tylko niedopałki cygar.

Nie zauważył nawet, kiedy niebo zachmurzyło się, a na bruk spadło kilka kropli deszczu.

- Znowu deszcz - mruknął do siebie, kiedy coś kapnęło mu na twarz. - Przemoknie mi cała dusza.

W chwilę potem rozległ się grzmot. Fernando pożegnał wzrokiem czwarte piętro i sadząc długimi susami, skierował się w stronę domu. Na szczęście mieszkał zaledwie dwie ulice dalej.

„Powiniennem być dawno u siebie”, pomyślał z wyrzutem, wydłużając krok tym bardziej, im bardziej huk piorunów zbliżał się do niego. Teraz krople były już wielkości dużych łez, zacinały boleśnie, oziębiając powietrze i zwiastując zbliżającą się wicherę. Chód przeszedł w bieg, stopy poety nie zważały na to, że wpadają w kałuże i potykają się o krawężniki. Wtulając głowę w ramiona, Fernando powtarzał jak mantrę: „To tylko burza, tylko burza”. Kiedy zziębnięty przekreślił klucz w zamku swoich drzwi, pioruny łamały już wieczorną ciemność z niespotykaną częstotliwością. Grzmiało, błyskało się, trzaskało.

Fernando zamknął drzwi i nie zdejmując płaszcza ani butów, zrobił to, co zwykł robić w podobnych wypadkach: wczołgał się pod stół w jadalni i zasłonił uszy trzęsącymi się dłońmi.

ROZDZIAŁ 7

To Dominik pierwszy zaczął mi wmawiać, że rodzaj snów zależy od pozycji, w jakiej się śpi. Twierdził, że kiedy śpi na boku, to miewa sny z akcją. Ściga jakichś łobuzów, skacze na spadochronie jak James Bond albo rozwiązuje jakąś bardzo zawiłą zagadkę. Kiedy śpi na wznak, to często śni mu się, że nie może czegoś wykonać. Na przykład wykręca numer telefonu i ciągle mylą mu się przyciski. Albo jedzie windą i nie może zatrzymać się na tym piętrze, na którym chce. Wiem, co to za męka, bo sama takie sny miewałam.

Te „sny akcji” są kolorowe, barwne, a Dominik widzi w nich wszystko wyraźnie. Ale są też sny bez kolorów, takie, w których postacie mają zamazane twarze i w których nie ma żadnych logicznych splotów. I takie sny pojawiają się w jego głowie, kiedy śpi na brzuchu.

Mając dziewięć czy dziesięć lat, święcie wierzyłam w to, co mówi kuzyn, ale mimo zasypiania we wszystkich wymienionych pozycjach, snów nie miałam wcale albo też ich nie pamiętałam. Ciekawe, dlaczego nie robiłam Dominikowi z tego powodu żadnych wyrzutów? Jemu zawsze wybaczałam, zawsze go usprawiedliwiałam. Tak jak ciocia - babcia, może tak jak i inne kobiety, które przewinęły się przez jego życie. Dlaczego to robiłam? Uczynki kogoś, kto z natury rzadko myśli o innych, są bardziej widoczne niż tego, dla kogo współdziałanie z ludźmi jest oczywiste. Dominik był samotnikiem, outsiderem. Jeśli robił coś dla mnie, jeśli poświęcał mi swój czas i uwagę, zostawało mi to w pamięci na zawsze.

Pamiętam, jak któregoś razu wyczytałam w gazecie, że większość czarownic palonych w średniowieczu na stosach i topionych w rwących nurtach rzek była ruda, a alchemicy do przygotowywania śmiertelnych trucizn korzystali z krwi rudowłosych. Byłam rzecz jasna ruda jak marchewka. Te

wiadomości sprawiły, że zaczęłam domyślać się, dlaczego nic mi nie wychodzi: to kolor włosów był przyczyną moich porażek.

Przez wiele dni chodziłam przygnębiona, ukrywając włosy pod wymyślnym beretem. Nikt nie mógł rozgryźć, o co w tym chodzi. Tylko Dominik wiedział. Jemu mówiłam wszystko.

Któraś dnia zabrał mnie do biblioteki w centrum miasta. Ta wyprawa była dla mnie dużym świętem, bo Dominik przejął się moim problemem i „dla osłody nastroju” zaprosił na gorącą czekoladę i ekierkę. W bibliotece poprosił o albumy Michała Anioła. Usiedliśmy przy stole ze staroświecką lampką dającą słabe światło i Dominik zaczął przerzucać kartki. Mijały minuty, podczas których śmiertelnie się nudziłam, ale on nie zwracał na mnie uwagi. Kiedy już zaczęłam myśleć, że na tym koniec atrakcji, położył przede mną album otwarty na stronie z reprodukcją obrazu, na którym była matka wszystkich ludzi - Ewa. Miała długie, krwistorude włosy.

- Skoro pramatka była ruda, a przecież wszystko od niej się zaczęło, to rude nie może być złe. Ludzie rudych nie lubili, bo im zazdrościli inności - tłumaczył Dominik. - Ludzie nie lubią, kiedy ktoś jest choć trochę inny. A ty masz kolor włosów pierwszej w dziejach ludzkości kobiety!

Wyszłam z biblioteki uradowana i z podniesioną głową. Od tamtej pory używałam argumentu Ewy w stosunku do każdego dzieciaka, który próbował mnie gnębić za moją rudość.

Dopiero kilka lat później, gdy przeglądałam jakieś tomiska niezbędne na studiach, wpadł mi w ręce ten sam album. Pod tamtą, tak wyraźnie zapisaną w mojej pamięci postacią Ewy drobnym maczkiem wyjaśniono, dlaczego pierwsza kobieta była ruda. Po prostu Michał Anioł uważał, że Ewa zrudziała w konsekwencji grzesznego uczynku, rudość była karą za

złamanie boskiego zakazu. Ten szczegół Dominik najwyraźniej wolał przemilczeć.

Dominik wiedział o mnie więcej niż inni. Nie wiem, czy ja wiedziałam więcej o nim. Być może wcale nie. Ale wtedy, w tej niejasnej przeszłości wydawało mi się, że łączy nas oczywista, trwała i niezwykła więź. Wybrałam go na powiernika swoich myśli i na spowiednika moich problemów.

Czy czuł się tym obciążony? Nie sędzę. Przecież tak naprawdę jego nie było. Nasz wspólny czas, bez względu na to, jak duże znaczenie miał dla mnie, był zaledwie mikrocząstką w jego makroświecie.

Tak mogą tylko ludzie wolni. Ludzie, dla których domem jest cały wszechświat, a nie tylko mieszkanie z widokiem na żoliborskie kasztany.

ROZDZIAŁ 8

W niedzielę Kostek zajechał do mnie rowerem. Oblepiony światełkami odblaskowymi, w kasku i jaskrawożółtej kamizelce wyglądał bardziej jak pan inżynier z budowy niż rowerzysta na niedzielnej przejażdżce. Taki strój był jednak konieczny, jeśli chciało się pojeździć w Dublinie. Kostek zawsze mawiał, że jeżdżenie po dublińskich ścieżkach - które są tylko wąskimi pasami zwykłych dróg, dzielonych z samochodami i miejskimi autobusami - wymaga znacznie więcej kunsztu niż poruszanie się rowerem po Warszawie. Odseparowane od ulicy warszawskie ścieżki, mimo że nieliczne, wydawały się jednak wygodniejsze.

- Co to za list? - wskazał na kopertę, którą tydzień temu wręczył mi Dominik i która wciąż budziła moje zaciekawienie i pewien niepokój.

- Rosa Moreto - przeczytał. - Znajoma?

- Nie, to od Dominika. Dobrze, że mi przypomniałeś, muszę kupić znaczek.

- Pękata ta koperta. Książkę napisał czy co?

- Nie wiem, Kostek. Zostaw ją, bo zapodziejiesz, a mam ją wysłać.

- Mam pod nosem pocztę, mogę ci wrzucić.

- Nie, sama to załatwię, dzięki - położyłam kopertę na komodzie, obiecując sobie solennie, że jutro w porze lunchu przejdę się na pocztę.

Koperta przeleżała jednak nietknięta jeszcze kolejny dzień i kolejny. Przekładałam ją z miejsca na miejsce, ale za każdym razem, gdy brałam ją do ręki, korciło mnie, żeby jeszcze jej nie wysłać. Coś nie pozwalało mi rozstać się z listem. Myśl o nim dręczyła mnie, burzyła spokój. Miałam wrażenie, że list nadawał mojemu życiu jakąś nową barwę i rozbudzał ciekawość.

Przyznaję uczciwie: walczyłam z pokusą otworzenia listu i przeczytania go ukradkiem. Na tych kartkach musiało być zapisane coś w rodzaju rozrachunku z życiem dokonanego przez Dominika po latach. „Gorycz miała odejść następnego dnia, ale zamiast niej to Ty odszedłeś”, pisała tajemnicza kobieta. Dlaczego Dominik się z nią rozstał i czy tego żałował? Powiedział, że nie chce, aby Rosa wiedziała, że on już nie podróżuje, że nie jest już tym wolnym duchem zdobywającym świat, którego znała. Ale co było w liście kuzyna? Czy Dominik opowiadał Rosie o tych wszystkich latach, które minęły od ich ostatniego spotkania? Podejrzywałam, że to nie był zwyczajny list - jak na zwykły list był za gruby i kuzynowi za bardzo zależało, żeby został wysłany z innego miejsca niż to, w którym osiadł.

Tak podejrzewałam, ale moje domysły mogły być trafione jak kulą w płot. Nigdy nie rozumiałam pobudek, które kierowały działaniami Dominika, a ta nietypowa prośba była dla mnie równie niezrozumiała i dziwna jak całe jego dotychczasowe życie.

Zastanawiałam się, kim była Rosa. Co tak naprawdę łączyło ją z Dominikiem? Czy była jego przyjaciółką? Jego wielką miłością? A może była tylko nauczycielką śpiewu, która lubiła pisać czułe listy? Po raz pierwszy od długiego czasu w mojej głowie pojawiały się tak oderwane od mojego zwyczajnego życia pytania. Trudno mi było zapanować nad własnymi myślami, a przecież myśli są tylko moje i niczyje więcej.

Aż w końcu któregoś ranka obudziłam się i poczułam, że dotarłam do mety. Była sobota, dzień wolny, i miałam do wyboru: odespać tydzień pracy, pójść na promenadę, umówić się z Emily albo zabrać się do kolejnego nixera (Nixer (ang.) - potocznie „fucha”, praca płatna dodatkowo.), co oznaczałoby siedzenie przy komputerze przez pół dnia.

Ostatnia opcja najmniej mi pasowała i od razu ją wyeliminowałam. Było po dziewiątej i sen też nie przychodził. Wyrzesałam przez okno: słońce było już wysoko, a gałęzie drzew nie huśtały się na wszystkie strony, co znaczyło, że mogłam pójść na promenadę bez obawy, że wiatr zdmuchnie mnie do zimnego morza.

Promenada West Pier w Dun Laoghaire jest jednym z tych miejsc, które nigdy mi się nie opatrzą - trzykilometrowy spacer po jej wychodzącym w morze ramieniu zawsze pozwalał mi odetchnąć i nabrać dystansu.

Ubrałam się szybko i wybiegłam na zewnątrz. Żaglówki zdążyły już wypełnić szczelnie port, choć był dopiero maj i początek sezonu. Kilka osób rytmicznie biegło, zapewne w takt muzyki płynącej z iPodów przypiętych do sportowych szortów. Pod butami chrzęścił żwir.

Podczas spaceru przyszła mi do głowy jedna, zupełnie absurdalna myśl: a może by tak pojechać do Lizbony i osobiście wręczyć list Rosie?

Oczywiście to nie miało większego sensu. Nie miało żadnego sensu, szczerze mówiąc. Wolałabym pojechać do Rzymu albo do Wiednia, gdybym już miała gdzieś się ruszać. Ale do Lizbony...?

Załóżmy, że jednak bym pojechała, snułam historię dalej. Rosa jest pewnie teraz w wieku Dominika. Otworzy mi drzwi, dojrzała, ubrana w czerń, a może owinięta miękkim szalem, i zapyta, kim jestem. A ja powiem, że mam dla niej wiadomość wydobytą z przeszłości, szczęśliwym trafem odnalezioną. Dominik by się zdziwił, uśmiechnęłam się sama do siebie, wyobrażając sobie minę kuzyna dowiadującego się, że spotkałam się z adresatką listu.

Kostek to już w ogóle by padł, przemknęło mi przez myśl. Alicja jedzie do Lizbony, żeby spotkać się z kimś, kto nawet nie wiadomo, czy żyje.

Mewa zaskrzeczała mi nad uchem i poszybowała dalej, niemal nie poruszając skrzydłami. Podciągnęłam kołnierz. Bez względu na pogodę na promenadzie zawsze było zimniej niż w głębi łądu. Tylko latem, w lipcu i sierpniu, zdarzało mi się zdobyć na odwagę i przejść po promenadzie w cienkiej bluzce i krótkich spodniach.

Kapałam się w morzu, a jakże, ale nie tutaj, nie na tak odsłoniętym cyplu, tylko kilkaset metrów dalej - w zakolu utworzonym przez kamienną wieżę i naturalne wgłębienie linii brzegowej. Fale rozbryzgiwały się o ogrodzenie wieży od ponad stu lat stojącej w tym samym miejscu, dno było gładkie, bez kamieni, a wiatr pozwalał o sobie choć na chwilę zapomnieć.

W zasadzie po co miałabym jechać?, rozważałam. Co mnie obchodzi życie Dominika? A może obchodzi? Pewnie, że obchodzi. Zawsze obchodziło, a teraz mogę wreszcie czegoś się dowiedzieć.

Po co?, pytał jakiś wewnętrzny głos.

Po co, po co?, złościłam się. Czy wszystko musi mieć jakąś przyczynę i skutek?

Słone kropelki uwolnione z rozbryzgującej się fali osiadały na mojej twarzy. Fale przychodziły i odchodziły, odsłaniając dolne partie kamieni, z których zbudowana była promenada. Te na górze były szarawe, pas gładów poniżej obrośnięty zielonkawymi glonami, a jeszcze niżej, odsłaniane tylko podczas odpływu, kamienie w kolorze brunatnego torfu.

Nie wiem, po co, odpowiadałam sobie. Dla siebie. Z nudów. Z wścibstwa. Ot tak. Bo..., szukałam jakiegoś argumentu nie do odparcia. Bo chcę stanąć przed Rosą, zajrzeć jej w oczy i wyczytać z nich prawdę.

Kolorowe boje kołyszące się na wodzie wyglądały jak różnokolorowe lentilki rozrzucone na cieście. Jakaś żaglówka próbowała zacumować przy jednej z nich, ale wzmagające się

fale skutecznie jej to uniemożliwiły. Nie było widać fok, które zazwyczaj, skuszone zapachem ryb sprzedawanych w głębi portu, wystawiały swoje wielkie oczy ponad toń wody i skinieniem lśniących głów prosiły o jakiś przysmak.

Wróciłam myślami do swoich wątpliwości. Tak naprawdę czułam, że się przekonuję.

Pojadę, jadę!, brzęczało mi w głowie. Pojadę! Nie pojadę!? Ależ skąd! Pojadę!, zonglowałam decyzjami.

Musiałam poznać Rosę, musiałam sprawdzić, jaka kobieta jest zdolna poruszyć serce kogoś takiego jak Dominik. W pewnym sensie było mi też żal, że Dominik zaprzestał swoich wędrówek po świecie. Pozostały mu tylko chorągiewki wpinane w wiszącą na ścianie mapę, kufer listów oraz resztki wspomnień. To budziło we mnie nostalgię, jakbym to ja zmuszona była porzucić swoje marzenia i wielką pasję. A przecież moje marzenia się spełniły. Przynajmniej tak powiedziałam Dominikowi.

Dominik był mi tak bliski, że czułam, jak jego smutek wpływa na moje odczuwanie świata. Może dlatego pragnęłam z jego życia coś ocalić. Chciałam sprawić, by ukryta w słowach Rosy miłość choć na chwilę zaistniała ponownie, upewniając mnie, że pewne rzeczy w życiu trwają na tyle długo, że warto im się poświęcić.

Samo zorganizowanie wyjazdu było proste - zarezerwować bilet, znaleźć nocleg, wziąć urlop. Może mieszkając gdzie indziej, nie mogłabym pozwolić sobie na tak spontaniczny ruch, ale z perspektywy Dublina świat wydawał się bliższy, a wydatki związane z podróżą mniejsze.

Za każdym razem kiedy wracałam z Polski, czułam lekką niepewność, jakby ktoś rozmywał drogowskazy, którymi się kierowałam. Zastanawiałam się wtedy, gdzie naprawdę jest mój dom. Gdzie są moi przyjaciele. Po każdym powrocie musiało minąć kilka dni, żebym wróciła do normalności. I

teraz na promenadzie poczułam, że wracam. Że jestem znowu u siebie, że mi przechodzą sentymenty. Że jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej. Że jestem wolna i mogę wybierać. I pewnie dlatego myśl, która jeszcze niedawno była zaledwie pragnieniem, teraz przemieniła się w stanowczą i nieodwołalną decyzję: pojadę do Lizbony, i już.

ROZDZIAŁ 9

Emily, moja irlandzka pokrewna dusza, którą nieraz ratowałam z opresji i z którą spędzałam najfajniejsze babskie wieczory, nie mogła w żaden sposób zrozumieć celu mojej podróży.

- Czego chcesz się dowiedzieć? - naciskała, jakby chęć poznania kobiety, która kochała Dominika, nie była wystarczającym uzasadnieniem. - To było tyle lat temu. Czas nie stoi w miejscu, uczucia też się zmieniają.

- Ale coś zawsze zostaje - przekonywałam. - Może Rosa żyje samotnie jak Dominik, a może ma rodzinę i oddanych przyjaciół. Jeśli go kochała, to czy potrafiła ułożyć sobie szczęśliwe życie bez niego? A jeśli potrafiła, to czy naprawdę go kochała? Jaką wartość ma miłość, jeśli można ją łatwo zastąpić inną miłością? A jeśli nie można jej zastąpić, to czy w ogóle warto ryzykować swoje uczucie? Nie znam odpowiedzi na te pytania. I nie poznam, wrzucając list do dublińskiej skrzynki - tłumaczyłam.

- Za dużo myślisz. To naprawdę takie ciekawe?

- Ciekawe.

- Skąd wiesz, że to dobry adres? - drażyła dalej. - Może być od dawna nieaktualny. Skąd wiesz, że ona w ogóle żyje? To ich spotkanie mogło być dwadzieścia lat temu.

- Nie będę wiedzieć, jeśli nie sprawdzę - powtórzyłam jeszcze raz, irytując się, że Emily stara się odwieść mnie od podjętej już decyzji.

- Dostaniesz wolne? Dopiero co byłaś w Polsce. - Spojrzała na mnie, ale widząc w moich oczach determinację, poddała się. - I tak pojedziesz. Podrzucę ci jutro plan Lizbony, bo zapewne o czymś tak niezbędnym zapomniałaś.

Nie spodziewałam się, że mój pomysł może wydawać się Emily dziwny, bo z reguły to ja byłam rozsądna - to ja robiłam jej wyrzuty, że zadaje się z podejrzanym towarzystwem albo

że nie potrafi utrzymać się w jednej pracy dłużej niż kilka miesięcy. Nigdy się ze mną nie zgadzała i niezmiennie wytaczała mnóstwo różnorodnych argumentów, by odeprzeć moje ataki, a mimo to czułyśmy, że się rozumiemy i że nasze dyskusje są wynikiem wzajemnej troski.

Emily była rodowitą Irlandką. Wszystko było dla niej a piece of cake, każda przeszkoda do pokonania, a jeśli nie dało się jej pokonać, należało ją ominąć albo zapomnieć o całej sprawie w chwili, w której podjęto się taką decyzję. Posiadała zadziwiającą zdolność oddzielania rzeczy ważnych od mniej ważnych, takich, którymi należało się zająć, od tych, które można było zignorować. Easy - going i laid - back - te określenia bardzo do niej pasowały. Nie przejmowała się, potrafiła żyć na luzie i bez zbytniego stresu. Za to ją uwielbiałam. Szybko stała się moją najlepszą przyjaciółką.

Plan, którym mnie obdarowała, uświadomił mi, że Lizbona jest miastem znacznie mniej przejrzystym niż Dublin i że jeśli chcę odnaleźć Rose, muszę zarezerwować nocleg gdzieś w okolicy jej domu.

- Ten adres z koperty jest w pobliżu parku Torel - palec Emily zakreślił łuk na rozłożonej na podłodze mapie. - To prawie centrum.

- Byłaś w Lizbonie? - zdziwiłam się.

- Byłam, jeszcze z Seanem. To był nasz przystanek w drodze na południe Portugalii, ostatni wspólny. Żałuję, że byliśmy tam tylko dwa dni. Spodoba ci się to miasto, ma coś w sobie. Uważaj tylko na nieciekawe dzielnice, bo takie też tam są.

- Gorsze niż dublińskie Ballymun? - zapytałam z powątpiewaniem, bo osobiście nie znałam miejsca bardziej ponurego niż dublińskie Ballymun z blokami o głębokich balkonach i ciemnych klatkach schodowych, z dziećmi rzucającymi czym popadnie w przechodniów.

- Może nieciekawe inaczej - uspokoiła mnie.

- Znasz w Lizbonie jakieś miejsce na nocleg? - wróciłam do tematu.

- Znam. Dam ci namiary na tani i sympatyczny hostel, jest kawałek od parku Torel, ale dojdiesz tam na piechotę - powiedziała dobrodusznie i przykleiła sobie żółtą kartkę w notesie, żeby o tym nie zapomnieć.

Emily przesłała mi adres jeszcze tego samego wieczoru. Brzmiał zachęcająco: Rua de Sao Paulo. Ulica Świętego Pawła. Pozostawało zadzwonić pod wskazany numer, zabukować nocleg, kupić bilet i jechać... Byłam gotowa się spakować, choćby teraz, zaraz, byle nie myśleć za dużo, nie dać się uwieść lenistwu i zdrowemu rozsądkowi. Wizja wyjazdu pochłaniała mnie całkowicie i nie chciałam tego zgubić. Nie chciałam niczego przekładać na później, zastanawiać się, zmieniać planów.

- Im szybciej pojedę, tym lepiej - mówiłam sobie, ilekroć jakaś myśl próbowała zniechęcić mnie do poznania Rosy i Lizbony.

Kostek nie podzielał mojego entuzjazmu, ale też nie próbował odwieść mnie od moich zamiarów. Jak zawsze pozostawił mi wolną drogę. Zrobiłby tak, nawet gdyby bardzo mu zależało, żebym nie jechała. To był ten obszar wolności, który sobie dawaliśmy i który oboje ceniliśmy.

- Zadzwon do mnie, gdy już tam będziesz - powiedział tylko, gdy oznajmiłam mu, że wyjeżdżam.

Pozostawał jeszcze Dominik. Musiałam mu powiedzieć o swoich planach. Miał prawo wiedzieć. Ufał mi i tego zaufania nie mogłam zawieść. Nigdy nie darowałby mi, gdybym wmieszała się w jego życie bez jego przyzwolenia.

To wydawało się proste - wykręcić numer telefonu i w dwóch zdaniach powiedzieć o co chodzi. Co mogłoby być prostszego?

Problem w tym, że... Dominik mógł zaprotestować. Mógł kazać mi wybić sobie z głowy podróż, zapomnieć i nie wracać do tematu. Co wtedy? Zastanawiałam się, jaka pora byłaby najlepsza, by powiadomić go o wyjeździe, jakim tonem głosu go przekonywać i w jakie słowa najlepiej ubrać swoją decyzję.

Ale czekanie nie przynosiło odpowiedzi. Czas mijał, list do Rosy przykrywały kolejne warstwy notatek z ważnymi sprawami, kartek z telefonami do znajomych i plam po ogryzkach, które, wbrew wpajanym mi od dzieciństwa zasadom, nadal zostawiałam gdzie popadnie.

Dlatego w końcu, ryzykując przyjaźń z Dominikiem lub porzucenie myśli o wyjeździe, zadzwoniłam.

Nikt nie odbierał. Zadzwoniłam godzinę później. Znów cisza. Jakby zrzędzeniem życzliwego losu ktoś na drugim końcu linii ignorował moje telefony. Miałam zatem wolną drogę. Czując głęboką ulgę, nagrałam się na sekretarce: Jadę do Lizbony. Pomyślałam, że przy okazji oddam adresatowi ten list, który mi przekazałeś. Odwróciłam trochę kolejność rzeczy. Dominik nie odezwał się, nie oddzwonił, a ja wzięłam to za dobry znak i skwapliwie uznałam się za całkowicie rozgrzeszoną.

ROZDZIAŁ 10

Gorączka trawiła go od przeszło dwóch dni. Pościel, wilgotna od cuchnącego chorobą potu, jest nieprzyjemna dla ciała, pali je, zamiast schładzać.

„Mam nadzieję, że to nie tuberkuloza, która zabiła niegdyś mego ojca - myśli Fernando, sięgając po kawałek płótna zastępujący mu chustkę do nosa. - Dać się pokonać przez tę samą chorobę! Tego bym nie zniósł”.

Ktoś puka do drzwi. To doktor Luis, nareszcie dotarł.

- Fernando - wita się, stawiając swoją skórzaną torbę lekarską na krześle. - Widzę, że źle z tobą. Pokaż no się. Gorączkujesz - stwierdza, przykładając wypielegnowaną dłoń do spoconego czoła Fernanda. - Ściągnij koszulę, muszę cię zbadać. Ktoś cię dogląda? - pyta z troską, widząc resztki jedzenia na stole, a na podłodze kartki papieru.

- Nie ma takiej potrzeby - odpowiada resztkami sił Fernando. - Świetnie sobie radzę. Nie znoszę przyjmowania pomocy.

Prawda, Fernando nie cierpi, gdy ktoś mu pomaga. Czuje się potem zobowiązany do „oddania” przysługi. Ta zasada wzajemności męczy go bardziej niż radzenie sobie samemu w trudnych chwilach. Cięży jak kamień, wisi jak stryczek przyszykowany dla skazańca, nie pozwala zapomnieć, że oto stał się dłużnikiem, że oto utracił kawałek swojej wolnej woli na rzecz kogoś innego. To go w pewien sposób ubezwłasnowolnia, staje się cierniem w boku, wyrzutem sumienia, że przyjął coś, co będzie musiał oddać.

- Grypa - orzeka lekarz. - Pewnie bolą cię kości. Pij dużo płynów. Nie absyntu - dodaje zgryźliwie, zauważając opróżnioną butelkę w kącie pokoju. - Przy takiej gorączce możesz też majaczyć. Musi się tobą ktoś zająć.

- Proszę mnie nie zmuszać, mam dużo sił - upiera się Fernando, odkasłując zalegającą w płucach flegmę.

Doktor Luis milknie, zastanawiając się, kim jest ten złożony chorobą mężczyzna. Zna go niemal od dziecka, znał też jego matkę, zanim wyjechała do Durbanu. Był przy jego umierającym ojcu. Rodzina nigdy nie wydawała mu się odmienna od pozostałych widniejących na liście jego pacjentów. Szczerze mówiąc, bardzo lubił wypalić z ojcem Fernanda fajkę i porozmawiać o muzyce. Uważał się za muzycznego konesera, ale ojciec Fernanda zawsze czymś go zaskoczył. „To był szalenie miły i szanowany człowiek”, przypomina sobie teraz.

Natomiast Fernando, który kiedyś przyznał się doktorowi, że koresponduje z przyjaciółmi, którzy zjawiają się w jego umyśle zupełnie bez jego woli, zawsze pozostawał dla niego tajemnicą. Wiele nie mówił, trudno było zgadnąć, co naprawdę myśli, kim jest. Za każdym razem przyjmował lekarza w innym mieszkaniu, jakby nigdy nie mógł osiąść na stałe w jednym miejscu. „Czym się zajmuje? - zastanawia się doktor Luis. - Tłumaczy bodajże zagraniczną korespondencję biznesową. Ale to też ciągle się zmienia. Raz tu, raz tam. Spotyka się z wywrotowym towarzystwem... Mam nadzieję, że ci ludzie nie mają nic wspólnego z zamordowaniem króla Karola i jego syna...”

- Zagadka, zagadka - mruczy cicho doktor, pomagając Fernandowi włożyć koszulę. - Jak chcesz - mówi głośniej, z rezygnacją. - Szybciej byś wyzdrowiał. Wiesz, że grypa jest groźna, a ty jesteś bardzo osłabiony. Powiem sąsiadce, żeby miała na ciebie oko, nie mogę tak cię zostawić.

- Sąsiadka! - prycha Fernando. - Jej kogut, którego trzyma w ogrodzie, nie daje mi spać bardziej niż gorączka. Pieje o drugiej w nocy, potem o czwartej i o szóstej. Gdybym miał siłę, przerobiłbym go na rosół.

- Daj spokój, chłopcze. Dbaj o siebie. Zostawiam ci leki, nie wstawaj, dopóki nie poczujesz się lepiej. Wpadnę jeszcze -

obiecuje doktor Luis i wychodzi, cicho przymykając za sobą drzwi.

Fernando wyciąga rękę po kawałek papieru i ołówek leżący na poduszce. „Nie czynię nikomu zła, nie czynię też dobra. To moja zasada... - zapisuje koślawymi literami. - Skąd mam wiedzieć, co jest dla kogoś dobre? Skąd ktoś wie, co jest dobre dla mnie?” Chce pisać dalej, ale ręka wbrew wysiłkom mięśni opada bezwiednie, a powieki same się zamykają.

„Niczego nie oczekuję od nikogo, niczego nie chcę dostawać, niczego nie chcę dawać - myśli. - Czy jestem egoistą? Ależ nie. Egoista zagarnia wszystko dla siebie, ja nie. Czasem wydaje mi się, że lubię cierpieć. Cierpienie pozwala czuć, że żyję naprawdę. Wszystko inne jest takie odległe. Ludzie męczą mnie. Ludzie podobni do mnie męczą mnie nawet bardziej. Czegóż mogę się od nich dowiedzieć więcej? Co mogą mi pokazać, czym zainteresować, jeśli interesują się tym czym ja? Już wolę ludzi diametralnie różniących się ode mnie. Ci potrafią zająć mnie przez chwilę, ale potem... potem czuję się znużony, rozproszony... Znużony czym? Ludźmi? Życiem? Swoim istnieniem? A czym jest moje istnienie!? Nie potrafię kochać, nie potrafię tęsknić, nie potrafię wspominać. Jeśli wspominać, to tylko swoje wizje, obrazy utrwalone w umyśle, piękno światła albo zapach miejsca... Nie czuję przy tym wiele, nie wspominać sercem, ledwo umysł jest włączony... A miłość... to kolejny wysiłek, zadanie do wykonania. Monotonia życia jest wystarczająco ciężka, po co jeszcze poddawać się monotonii uczucia...”

Zapada w niespokojną drzemkę. Śni mu się jego maleńki brat, który leży, tak jak on teraz, złożony chorobą, a łzy cieką mu po policzkach. Widzą się ostatni raz. Sześćioletni Fernando pobiegnie chwilę później do pokoju i napisze swój pierwszy list do wyimaginowanego towarzysza, Chevaliera de Pas. Poczuje ukojenie. Teraz może pozwolić bratu odejść.

LIZBONA

„Śniłam, że znalazłam się w Portugalii pewnego dnia,
Przypadkiem, w jakiś sposób, w środku lizbońskiego
karnawału.

Mój sen przekroczył granice poezji I spotkałam poetę w
Pessoí..."

Fado Sonhei que estava em Portugal śpiewane przez
Cristinę Branco

ROZDZIAŁ 11

Rua de Sao Paulo nie wydawała się trudna do odnalezienia. Autobus z lotniska podwiózł nas, podróżnych, do okrągłego placu Cais do Sodre, który był najwyraźniej węzłem komunikacyjnym dla autobusów, pociągów i pływających na drugi brzeg Tagu promów.

Z okien pojazdu zapakowanego walizkami i grupą turystów niewiele udało mi się dojrzeć. Przemknęliśmy przez miasto, zatrzymując się kilka razy gwałtownie i bez wyczucia na czerwonych światłach, obtrąbiając przy tym innych kierowców, dopóki do dusznego autobusu nie wdarł się zapach rzeki. Tu wedle mojego planu miasta należało wysiąść.

Na Cais do Sodre było gorąco i głośno. Ludzie o różnych kolorach skóry i rysach twarzy śpiesznie przechodzili przez ulicę. Było tu dużo kobiet we wzorzystych sukienkach i mężczyzn w zwiewnych koszulach. Na przystanku, w jedynym zacienionym miejscu, tłoczyły się ubrane na czarno staruszki. Tramwaj dzwonkiem ostrzegał przejeżdżające przez tory samochody. W powietrzu czuć było spaliny. Ruch, harmider, orgia kolorów sprawiły, że przez chwilę poczułam się zdezorientowana. W którą stronę iść? Jak przedrzeć się przez ten egzotyczny tłum?

Rozejrzałam się dookoła, próbując skupić uwagę. Rozchodzące się od głównego placu wąskie uliczki zachęcały, żeby iść pod górę. Miasto zapraszało do swego wnętrza, zachęcało, by się w nim zanurzyć, by odejść daleko od rozlewającej się za moimi plecami rzeki. Spojrzałam na plan - wedle niego także należało kierować się w górę.

Ulica, którą wybrałam, zaprowadziła mnie pod kościół odcinający się od jej zgiełku grubą ścianą białego marmuru.

To gdzieś tutaj, pomyślałam. Kamienica z krzywymi balkonami. Może ta? Nie, tutaj nie ma wejścia. Następna?

Zapytana kobieta nie знаła adresu, którego szukałam. Trzeba było iść dalej, minąć sklepy z chaotycznymi wystawami, piekarnię, do której wchodzi się po schodkach w dół, wypełniony mężczyznami bar z ceratowymi obrusami na stolikach, posterunek policji... Ulica kończyła się, a zapisanego na kopercie numeru ciągle nie było. Wróciłam pod pierwszy dom i weszłam w niebieską bramę starej kamienicy o ścianach zdobionych błękitnymi jak niebo azulejos (Azulejos - jedyne w swoim rodzaju gliniane płytki pokryte trwałym szkliwem, od pięciuset lat obkłada się nimi domy w Portugalii; są tak charakterystyczne, że już dawno przestały pełnić funkcję wyłącznie użytkową.).

Brama była kiedyś zwykłą bramą, jakich tysiące w Lizbonie, ale pewnego dnia, w odpowiedzi na zapotrzebowanie ruchliwej ulicy stała się także przechodnim kioskiem z różnościami. Ci, którzy czekali na zatrzymujący się kilka metrów dalej autobus, wpadali tu po paczkę papierosów albo gumę do żucia, a mieszkańcy ulicy na pogawędki do Pedra, pierwszego i jedyne go właściciela kiosku w błękitnej bramie.

Pedro był sprzedawcą wyjątkowym. Bardzo oddanym pracy i bardzo dumnym z tego, że przez wiele lat, mimo zmian, jakie zachodziły na Rua de Sao Paulo, udało mu się utrzymać kiosk, z nieznacznie tylko zmienionym asortymentem. Co więcej, to właśnie Pedro miał największe obroty na całej Rua de Sao Paulo, dzięki czemu stać go było na kupno mieszkania dwie ulice dalej oraz powolne urządzenie trzech sypialni i obszernej kuchniojadalni, tak jak sobie wymarzył - to znaczy na wypełnianie wnętrza antykami zakupionymi na Jarmarku Złodziejskim odbywającym się co wtorek na Campo de Santa Clara i ustawianiu na półkach salonu kolejnych powieści kryminalnych, których był zapalonym czytelnikiem.

Niewiele osób wiedziało, że Pedro miał za sobą dość trudne dzieciństwo. W wieku siedmiu lat zapadł na chorobę, która zaczęła się od bólu gardła i kaszlu, ale z powodu błędnego rozpoznania pierwszych objawów przez wiejskiego lekarza, leczącego całą rodzinę, przeistoczyła się w groźną odmianę dyfterytu. Przez prawie pół roku Pedro miał sparaliżowaną krtani i nie mógł wydobyć z siebie głosu. Życie brutalnie uświadomiło chłopcu, że potrafi być okrutne.

Choroba minęła, ale zostawiła ślad - wyjątkowo sarkastyczny stosunek do rzeczywistości. Jediną osobą, której ta cecha poczciwego w gruncie rzeczy Pedra nie przeszkadzała, była jego żona Adelaida. Kobieta o anielskiej cierpliwości, ślepa na wzmagające się z wiekiem wady Pedra, wciąż widziała w swym mężu nastolatka podkradającego matce escudo, żeby zaprosić ją, Adelaidę, do kina na film dla dorosłych.

Pedro przez ten czas, odkąd na trzecim piętrze „zagnieździło się”, jak mówił, schronisko, zdążył przyzwyczać się do widoku obcojęzycznych podróżników błądzących po Rua de Sao Paulo. Niemal zawsze mijali obojętnie jego kiosk, potem przystanek, posterunek policji... Przechodzili na drugą stronę ulicy, zadzierali głowy z nadzieją, że ujrzą jakiś hostelowy szyld, aż wreszcie - jakby w akcie rezygnacji - wchodzili do piekarni „Joana” i tam pytali o drogę stojącą za ladą właścicielkę, Joaną.

Joana oczywiście znała adres, wiedziała, że schronisko znajduje się w kamienicy z błękitną bramą. Któż bowiem - poza turystami - chciałby mieszkać w apartamencie z oknami wychodzącymi wprost na balkonik mieszkania, które już od kilku lat było miejscem schadzek pań lekkich obyczajów i panów bez żadnych obyczajów.

Byli oczywiście tacy, którzy próbowali się przyzwyczać. Dokładnie dwie rodziny. Pierwsza mieszkała na trzecim

piętrze do chwili, kiedy dwójka małych dzieci podrosła na tyle, aby zacząć zadawać pytania dotyczące niejednoznacznych odgłosów dochodzących z ocienionego wnętrza mieszkania naprzeciwko. Druga rodzina pograżyła się w kryzysie po tym, jak pani domu, nie mogąc znieść świadomości, że nigdy w życiu nie zaznała takich rozkoszy, jakich doświadczają kochankowie w domu schadzek, zaczęła napastować własnego męża i wymagać, by zachowywał się jak młody Don Juan. Mąż nie był niestety gotowy do podjęcia tak dużego wyzwania i czym prędzej zarządził przeprowadzkę.

I tak oto lokal stał przez kilka miesięcy pusty, nie wzbudzając zainteresowania mimo śmiesznie niskiej ceny, za jaką właściciele chcieli się go pozbyć. I pewnie stałby tak jeszcze długo, gdyby nie grupa pięciu młodych przyjaciół, którzy po niedługiej dyskusji postanowili wynająć lokal i natychmiast otworzyć w nim schronisko o nowoczesnym, zaskakująco pomysłowym wystroju.

Pracująca w piekarni Joana chętnie wskazywała drogę szukającym schroniska turystom i podróżnikom, a oni, nienawykli jeszcze do jeżdżących szaleńczo kierowców, ryzykując życie, przecinali ulicę i trafiali do błękitnej bramy, zastanawiając się, czy Joana nie wprowadziła ich w błąd.

Wtedy właśnie przychodził czas Pedra. Stał przy stojaku z gazetami i udając, że nie zauważa ciężkich plecaków, przeliczał monety. „Teraz kiosk jest dla nich ważny - myślał - mimo że dziesięć minut temu minęli go, posyłając mi obojętne spojrzenie”. Wydymał wargi, przeliczając drobne dopóty, dopóki nie zadali mu tego samego co zawsze pytania:

- Czy tutaj mieści się hostel?

Pedro nigdy nie wyjeżdżał dalej niż do Algarve i językami nie władał, ale na to pytanie nauczył się odpowiadać w kilku językach.

- Tak, tam jest domofon - mówił, zależnie od potrzeb po włosku, hiszpańsku lub angielsku, wskazując ledwo widoczną naklejkę z napisem „Hostel”, umieszczoną nad przyciskiem domofonu.

Tak też było i tym razem. Skinął głową i naprowadził wzrok turystki na ów napis.

Zadzwoiłam.

Domofon zabrzęczał, oznajmiając otwarcie drzwi.

Ciemność panująca na klatce schodowej kontrastowała ze światłem bijącym z ulicy. Minęła chwila, zanim moje oczy przywykły do cienia. Kamienne, wyślizgane przez lata używania schody na wyższych piętrach ustąpiły miejsca drewnianym, wygiętym w łuki i skrzypiącym przy każdym kroku. Strzałka na ścianie wskazywała dalszą drogę: „Jeszcze jedno piętro”.

Na każdym poziomie mieściły się dwa mieszkania - do jednego prowadziły dwuskrzydłowe, a do drugiego pojedyncze drzwi, wszystkie wysokie, ciężkie, z mosiężnymi klamkami. Za drzwiami najwyraźniej toczyło się życie. Na pierwszym piętrze młoda dziewczyna rozmawiała głośno przez telefon, na drugim ktoś gotował spóźniony obiad o przenikającym ściany bazyliowym aromacie. Piętro wyżej zaszczekał pies. W nieprzeniknionych ciemnościach wszystkie te odgłosy sprawiały wrażenie aktorów występujących w teatrze klatki schodowej - słyszalnych, ale niewidzialnych.

Drzwi na trzecim piętrze były otwarte, zapraszały do wejścia. Za kontuarem prowizorycznej recepcji siedział chłopak z mocno kręconymi włosami.

- Cześć. W czym mogę pomóc? - zapytał, przyglądając mi się zza grubych oprawek okularów.

Mieszkanie było ogromne. Sześć pokoi, kuchnia i dwie łazienki ginęły w labiryncie przecinających się korytarzy. Pokój, do którego zaprowadził mnie chłopak, miał okna

wychodzące na ulicę. Pomieszczenie tonęło w ciemności, ale kiedy otworzyłam potężne okiennice, światło wdarło się do środka i rozświetliło każdy zakamarek przestrzeni, prześlizgując się od dwuosobowego łóżka, aż do szafy wypełniającej wnękę przy drzwiach.

Zrzuciłam swój plecak na łóżko z odprasowaną pościelą. Nie lubiłam spać w nie swoim łóżku, zwłaszcza w miejscu na wpół publicznym, takim jak hotel, schronisko czy irlandzkie B&B (B&B (Bed and Breakfast) - rodzaj tradycyjnego pensjonatu: prywatny dom, którego część wynajmowana jest gościom; B&B są bardzo popularne w Irlandii i Wielkiej Brytanii.).

Zawsze podziwiałam Dominika za to, z jaką cierpliwością przyjmował zdarzenia zewnętrzne. Z jakim spokojem przyjmował los i to, w jakie miejsca i warunki go rzucał. A przecież kuzyn sypiał w najdziwniejszych miejscach. W andaluzyjskich jaskiniach dzielił przestrzeń z Romami, kąpał się w wodzie zaczerpniętej z fontanny - a wszystko to w niewielkiej odległości od restauracji i hoteli, w których moźni tego świata spędzali leniwie wakacje. Sypiał w oblepionym śniegiem namiocie i w kajutach walczących ze sztormem statków. Noc poza domem była dla niego częścią wielkiej przygody. Kolejnym rozdziałem powieści życia, równie ciekawym i wartościowym jak pozostałe.

Zapadał wieczór.

Nie zdążę się rozejrzeć, przemknęło mi przez myśl. Wypiłam łyk przywiezionego z sobą soku i zostawiwszy chłopakowi z kędziorami klucze od pokoju, wyszłam ponownie na ulicę.

A ulica przez ten czas, który spędziłam w schronisku na trzecim piętrze, zdążyła zdumiewająco się przeobrazić.

Kościół nie lśnił już taką bielą, a ulice nie tonęły w słońcu. Rua de Sao Paulo opustoszała, ale w bocznych alejkach, przy

drzwiach kilku knajpek, ruch się wręcz wzmaczał. Wciągnęłam wieczorne powietrze, niemal się nim zachłysnęłam, i po raz pierwszy od wylądowania zdałam sobie sprawę, że znajduję się już tak blisko mieszkania Rosy - kobiety, która nie wiedząc o tym, pokierowała moimi krokami i przywiodła mnie aż tutaj.

Skreśliłam tam, skąd docierał do mnie oleisty zapach tranu. Na kolejnych uliczkach zapach był jeszcze silniejszy. To pachniały sardynki. Na grillach rozstawionych wprost na ulicy leżało mnóstwo ryb. Kilku młodych chłopaków, ginąc w oparach dymu, nakładało kolejne porcje sardynek na talerze i rozdawało je czekającym sąsiadom. Nad nimi wisiał domowej produkcji szyld z napisem „Santos Populares” (Festas dos Santos Populares - obchodzone w czerwcu uroczystości ku czci wielkich świętych: Antoniego, Jana i Piotra; na ulicach Lizbony trwa wtedy festyn, odbywają się uliczne przedstawienia i koncerty, a po wodach Tagu płynie procesja żaglowców.). Tą ulicą jeszcze przed zmierzchem kursował żółty tramwaj, a teraz jedynym śladem świadczącym o tej aktywności były tory wspinające się ostro pod górkę i mijające zgrabnym łukiem róg wiekowej kamienicy.

Przypomniałam sobie, co dawno temu opowiadał Dominik: że sardynki to na Santos Populares przysmak numer jeden. Grillowane na podwórkach, alejkach, placach... jedzone bez zbędnych rytuałów, palcami, na ulicy, na schodach, pod oknami domów, w drzwiach knajpek... Wczesnym latem są tradycyjnie elementem ulic Lizbony. Zapachem ryb przesiąka alejka za alejką, aż w końcu miasto, nie mogąc dłużej bronić się przed tym natarczywym gościem, pozwala mu ogarnąć się i niemal całkowicie pochłonać. Dym o aromacie morskiej soli i tranu unosi się w powietrzu, przenika ubranie, ulatuje nad dachy i wdziera się przez otwarte okna.

Snułam się w sardyńkowej mgle, wspinałam po stromych schodach wypełniających przestrzeń pomiędzy dwoma kamienicami.

Papierowe łańcuchy szeleściły, lampiony rozświetlały uliczki, girlandy kolorowych sztucznych kwiatów były po oczach, zapach ryb i wina spowijał umysł, wyostrzał zmysły... Dzień zamieniał się z nocą, noc z dniem, karnawał w samym środku czerwca! Szłam dalej, tam, gdzie lampionów było coraz więcej.

Zapach oceanu na ulicach Lizbony był coraz intensywniejszy, tran w tysiącach cząsteczek unosił się w powietrzu, dostawał się do mojego krwiobiegu. Wielka sardynka unosiła się chwilę nad moją głową, po czym popłynęła dalej, zostawiając mnie w oniemieniu. Ludzie, trzymając w rękach pełne wina szklanki dyskutowali, przekrzykiwali się, siadali na schodach i oblizywali palce po właśnie spożytym posiłku.

Wszystko wirowało, kusiło, mamiło. Nie wiedziałam, gdzie jestem, straciłam orientację za kolejnym zakrętem... Stojaki do grillowania stały tutaj ciasniej, ludzi było więcej. W końcu dotarłam do szerokiej ulicy, brutalnie rozcinającej ten odrealniony świat pasem jadących nieuważnie samochodów na dwie części.

Moja czujność pozostała gdzieś z tyłu. Szłam powoli, potykając się na wyboistej kostce brukowej, w końcu zmęczona przysiadłam na wyrastającym na środku alejki pachołku. Gwar dzielnicy wzmagął się i wchodził w moją głowę, aż poczułam, jak opuszcza mnie całe zmęczenie i stres związany z ostatnimi dniami. Wciągnęłam jeszcze raz sardyńkowe powietrze i pomyślałam, że nie ma nic przyjemniejszego niż wieczór na jednej z fantasmagorycznych uliczek Lizbony.

ROZDZIAŁ 12

W dzień, w którym miałam nadzieję spotkać Rosę Moreto, obudziłam się z wyraźnym poczuciem, że mam misję do wypełnienia. Kostek, oddając się swojej pasji malarskiej, mawiał, że trzeba z zaangażowaniem, z sercem zająć się czymkolwiek, żeby nagle „z pustki” zaczęły wyłaniać się okazje, ludzie, myśli, które nigdy by się nie pojawiły, żeby nagle otworzył się dodatkowy wymiar, z którego wysączą się niespodziewane, ale w gruncie rzeczy pożądane przez nas wydarzenia. Miałam cichą nadzieję, że coś takiego przytrafi mi się właśnie z Rosą. Tak bardzo przecież chciałam ją poznać.

Stojąc przy murku przylegającym do kamienicy o ścianach barwy palonej kawy, zastanawiałam się, które okno może należeć do Rosy Moreto. To z zieloną aluminiową okiennicą przysłaniającą wewnątrz pokoju? A może to na drugim piętrze, podzielone na sześć małych szybek? Mogło to być również okno najmniejsze, wpasowane w wystający ponad główny dach sześcian, w którym zapewne mieściło się tylko jedno pomieszczenie z widokiem na czerwone dachy miasta. Czekałam tak już jakieś dwadzieścia minut, wypatrując okazji, kiedy będę mogła dostać się na klatkę. Wejścia strzegł nowoczesny domofon. Nie chciałam dzwonić, wtedy rozmowa mogłaby skończyć się na kilku krótkich słowach i odesłaniu mnie z kwitkiem. Wejście na klatkę i zastukanie do właściwych drzwi dawało większą szansę na rozmowę, na prawdziwe spotkanie.

Na razie jednak nikt nie nadchodził. Rosa mieszkała w domu na końcu uliczki, która była niewiele szersza od ciągnącego się wzdłuż niej chodnika. Po obu stronach uliczki stały kamienice, okna przeciwległych domów dzieliła przestrzeń mniejsza, niż przyzwoitość sąsiedzka nakazywała. Murek, na którym siedziałam, udając, że próbuję nadać mojej

bladej twarzy brzoskwiniowy odcień, pokryty był kolorowymi napisami i mało wyrazistym graffiti. Wszędzie panowała cisza i tylko raz zagłuszyło ją skrzypnięcie otwieranych drzwi pobliskiej kamienicy. Ukazała się w nich młoda kobieta w szlafroku, która - nie zwracając na mnie zupełnie uwagi - szybkim ruchem opróżniła z paprochów klatkę dla kanarka, po czym ponownie skryła się w chłodnej czeluści budynku.

Sobotni poranek nie jest chyba najlepszą porą na wyczekiwanie pod czyimś domem, ale przecież w końcu ktoś musi się pokazać, pomyślałam.

I wtedy, jak na zawołanie, na płycie chodnika rozległy się kroki. W moją stronę zbliżał się młody mężczyzna w dużych przeciwsłonecznych okularach. Stałam przy drzwiach wejściowych, udając, że wciskam guzik domofonu i czekam na odpowiedź. Mężczyzna zatrzymał się koło mnie, wygrzebał z kieszeni džinsów klucze i otworzył zamek.

- Proszę - rzucił w moją stronę i nie czekając na mój ruch, zniknął w mieszkaniu znajdującym się na parterze.

Spojrzałam na dużą tabliczkę widniejącą na drzwiach: numer 72. Ja szukałam numeru 78.

Na schodach, podobnie jak w kamienicy z błękitną bramą mieszczącą w sobie kiosk, panował półmrok rozświetlany tylko palącą się gdzieś na wyższych piętrach żarówką. Ze ścian odpadał dużymi płatami tynk, ale oprócz tego klatka robiła wrażenie czystej, a nawet przytulnej. Trzymając się wyszlizganej poręczy, której nikt od pięćdziesięciu lat nie pokrył lakierem, minęłam mieszkania z numerami 72, 73, 74 i wdrapałam się na drugie piętro. Mój wzrok padł na mosiężną tabliczkę - numer 78 widniał przede mną, był na wyciągnięcie ręki.

A więc to tutaj, nie było trudno, pomyślałam. Łatwiej niż sądziłam.

Sięgnęłam do torby przewieszzone przez ramię. Koperta wręczona mi przez kuzyna Dominika leżała bezpiecznie w zasuwanej kieszeni. Była trochę wygnieciona po przekładaniu jej z jednego miejsca na drugie, ale zawierała tę samą treść, te same nieznane mi wciąż słowa.

Wyciągnęłam rękę, lecz zatrzymałam ją tuż przed ciemnobrązowymi drzwiami. Nie wiedziałam nawet, od czego zacząć. „Dzień dobry pani, mam list”? A może: „Pani Moreto? Przepraszam, że nachodzę, ale mam pewną wiadomość...”.

Wszystko wydawało się idiotyczne. Przyszło mi do głowy, że może za bardzo się rozentuzjzmowałam pomysłem spotkania Rosy. Po raz pierwszy zadałam sobie pytanie o sens tego wszystkiego. Czy jeśli ją spotkam, znajdę odpowiedź na moje pytania? Dlaczego Dominik nie oddzwonił? Czy to znaczy, że moja podróż do Lizbony była mu obojętna? Chciałam przecież, żeby tak było, dlaczego więc teraz nachodzą mnie wątpliwości?

- Nie zawrócę - powiedziałam sobie stanowczo. - To dopiero byłaby głupota. Przelecieć tyle kilometrów i cofnąć się spod drzwi kobiety, która znalazła miejsce w sercu Dominika.

Zapukałam. Odpowiedziała mi cisza. Żadnego ruchu. Poszukałam wzrokiem dzwonka, był tuż przy framudze. Zadzwoiłam. Wyobraziłam sobie, jak w pustym mieszkaniu brzęczy ten nieprzyjemny dzwonek. Kryształowe kieliszki drgają w wiekowym kredensie, talerze obijają się jeden o drugi, a zwiewną firankę porusza lekki podmuch wiatru. Zadzwoiłam drugi raz.

Nadal cisza. Żadnej reakcji.

- A niech to, nie ma jej - zmarkotniałam.

Gdy dla ostatecznego upewnienia się, że nikogo nie ma, miałam ponownie nacisnąć guzik dzwonka, z drzwi naprzeciwko bezszelestnie wychyliła się głowa niemłodej

kobiety. Kobieta spojrzała na mnie swoimi szparkowatymi oczami w kolorze orzecha i czekając najwyraźniej na moje pytanie, zamarła w bezruchu.

- Dzień dobry. Szukam Rosy Moreto - powiedziałam, mając nadzieję, że nazwisko zabrzmie dla niej znajomo.

Szparkowate oczy nieznajomej zwęziły się jeszcze bardziej. Odruchowo przymknęła drzwi tak szeroko przed chwilą otwarte.

- Rosa Moreto? - zapytała chrypliwym głosem starej kobiety.

- Sim, sim - odpowiedziałam pośpiesznie.

Kobieta zakaszła sucho, po czym zebrawszy flegmę, splunęła na wytartą powierzchnię dębowej podłogi i z hukiem zatrzęsnęła drzwi.

Na klatce znów zrobiło się cicho. Można było usłyszeć brzęczenie żarówki świecącej na wyższym piętrze. Stałam oniemiała, wstrzymując oddech.

Gruba ściana z kamieni i cegieł nadal oddzielała mnie od świata Rosy. Tajemniczej śpiewaczki nie było po drugiej stronie, to pewne. Był za to babsztyl opluwający podłogi. Poczułam, że potrzebuję świeżego powietrza. Okręciłam się na pięcie i pośpiesznie zbiegłam ze schodów.

ROZDZIAŁ 13

Zadziwienie światem można zagubić pomiędzy jednym a drugim rozczarowaniem. Łatwo wtedy przestać zauważać rzeczy piękne, niepowtarzalne, ważne. Można na przykład minąć okienko sklepowe z piękną drewnianą biżuterią, której wypielegnowane krzywizny świadczą o zaangażowaniu robiącego ją artysty. Można przejść obojętnie obok dziecka, które - kryjąc się przed promieniami słońca - przysiadło na zacienionych schodkach katedry i obraca w dłoni znalezione kamyki.

Kiedy schodziłam od kamienicy Rosy w dół uliczki, czując, że moja podróż może okazać się bezowocna, te wszystkie rzeczy były mi całkowicie obojętne. Drażniło mnie gruchanie gołębi, które obsiadły majestatyczny plac Rossio, przeszkadzało głośnie pokrzykiwanie hiszpańskich turystów, którzy czekali na stojącym obok Teatro Nacional Dona Maria II przystanku.

Szłam tak już jakiś czas, uliczki robiły się coraz ciaśniejsze i jakby mniej uporządkowane, domy niższe, starsze i o mniej regularnych kształtach. Pachniało rozwieszonym na balkonach, a także w poprzek i wzdłuż uliczek świeżym praniem, nasączone zapachem cytryny prześcieradła poruszały się w rytm delikatnych powiewów wiatru, z koszulek i dżinsowych spodni skapywały co jakiś czas krople wody.

W tym położonym na wzgórzu labiryncie surrealistycznych domów i niekończących się schodów niemal każda ściana i murek miały inny odcień. Beż przeplatał się z lśniąca bielą, a brudna żółć przechodziła w świeży błękit. Wzorzysta kostka brukowa kontrastowała z ubitym piachem pokrywającym niejedno wewnętrzne podwórko. Odnowione kamienice stały obok tych, które chyliły się ku ziemi, przegrywając walkę z nieznośną siłą ciężenia. Było tu też więcej ludzi, w różnym wieku, o różnorodnych rysach i

kolorach skóry - były dzieci uczone rodziców, zbłąkane nastolatki szukające kawiarni, w której można by się ochłodzić szklanką soku z lodem, staruszkowie wolno posuwający się po zacienionych stronach uliczek. Życie kipiało też w ciemnych wnętrzach knajpek i za przymkniętymi okiennicami zabytkowych kamienic.

A kiedy układ ulic na powrót zaczął być bardziej uporządkowany, zobaczyłam podłużną halę przykrytą szklanym dachem. Przed halą rozstawione były stoliki, a na trawie pokrywającej niewielki skwerek rozłożone koce i tektury, na których leżały rozmaite drobiazgi. Było tu wszystko - pudła ze starymi pocztówkami, zegarki, komplety sztuców, obrazy, mosiężne klamki, wysłużone ordery, ubrania i zestawy ceramiki.

Stąpając jak bocian wśród rozłożonych skarbów, przebrnęłam przez rejon koców i dotarłam do głównego budynku. Jego wnętrze wypełniały boksy, każdy wielkości małego pokoju, każdy z osobnymi, otwartymi na oścież drzwiami, przy których stał właściciel. Boksy były zapchane antykami po sufit. W tym, do którego zajrzałam, potężna trzydrzwiowa szafa zajmowała największą ścianę, a pachnąca naftaliną sofa opierała się o mahoniową toaletkę z okrągłym lustrem. Była też skrzynia, podobna do tej, w której znalazłam list od Rosy Moreto, co natychmiast przypomniało mi poranną porażkę.

Dam sobie jeszcze jedną szansę, zdecydowałam, przeglądając wystawione u progu boksu pudło ze starymi pocztówkami.

Wrócę tam, a jeśli niczego się nie dowiem, po prostu wrzucę list do pierwszej skrzynki i zapomnę o całej sprawie.

Wiedziałam, że nie będzie to łatwe. Przylgnęłam do myśli o Rosie już w Dublinie. Zaabsorbowała mnie tak bardzo, że przestałam niedzielne popołudnia spędzać na przekładaniu

rzeczy z miejsca na miejsce, na przełączaniu programów telewizyjnych i denerwowaniu się, że niczego godnego uwagi tam nie ma, na segregowaniu gazet i książek z kupki „nieprzeczytane” na kupkę „przeczytane”. W takie dni wypicie herbaty w ulubionej filiżance wydawało mi się największą atrakcją dnia. Ale wizja wyjazdu do Lizbony podobne do siebie niedziele wyeliminowała. Nie miałam czasu na przepuszczanie go przez palce, nie miałam chęci na powtarzanie rytuałów dnia. I w jakiś na wpół świadomy sposób zdałam sobie sprawę, że w Lizbonie czas płynie inaczej. A ponieważ nie miałam konkretnych zajęć, nie miałam zegarka, który rozliczałby mnie ze spędzonych godzin, moje myśli zbaczały z utartych szlaków. Tak jakby umysł przypomniawszy sobie, że przyzwyczajenie zakrywa często to, co niezwykle, i chciał tego niezwyklego zakosztować.

Obejrzałam kilka kolejnych pocztówek ze starymi rycinami. Wiele z nich przedstawiało Tag zalewający olbrzymimi falami miasto, trawione jednocześnie przez szalejące czarno - białe płomienie. Inne pocztówki były najwyraźniej fotografiami afiszy z przedstawień wystawianych na początku wieku.

Natknęłam się też na pożółkły obrazek z mężczyzną grającym na gitarze przypominającej kształtem mandolinę. Za plecami mężczyzny przystanąła kobieta, pochylała się nad nim, jakby chciała szepnąć mu coś do ucha. Była młoda i piękna w swej czerwonej spódnicy przepasanej czarną chustą, ale swawola w pozie zdradzała jej profesję. Kobieta z obrazka patrzyła w dal, jakby marzyła o czymś nieosiągalnym, ale ta nieosiągalność nie sprawiała jej przykrości. Może myślała o kochanku, który obsypie ją złotem i odmieni jej los, a może po prostu wsłuchiwała się w pieśń, której słowa przywoływały odległe wspomnienia... Mężczyzna z obrazka grał ze wzrokiem wbitym w ziemię, wprawiając w drganie struny i

własne serce. Nie myślał o rzeczach nieosiągalnych. Śpiewał. Może o portowej dzielnicy, w której brakuje chleba i spokoju i w której mieszka mały chłopiec czekający na to, aby zanucić swoją melodię

- To saudade - odezwał się do mnie sprzedawca. - Tęsknota za czymś, co odeszło lub czego nigdy nie było... Saudade tkwi w duszy - wskazał na swoją potężną pierś. - Szukasz czegoś konkretnego?

- Tylko przeglądam, dziękuję - odłożyłam trzymaną w rękę pocztówkę i skierowałam się do wyjścia.

Sprzedawca wyglądał na rozczarowanego. Najwyraźniej zależało mu na ubiciu interesu, bo wskazał ruchem dłoni regał z piętrzącym się na nim książkami.

- Jakaś książkę? - zapytał z nadzieją.

Regał był imponujący. Ciemne półki ugięły się pod naporem upchanych druków i miałam wrażenie, że jeden nieuważny ruch może sprawić, że cała konstrukcja runie na ziemię. Wyblakłe od słońca grzbiety i pościerane tytuły wystających z regału książek zdradzały ich sędziwy wiek.

Jedną półkę zajmowały cieńsze i grubsze komiksy. Półki najwyższe dźwigały grube tomy z pozłacanymi literami na grzbietach, zapewne Biblie lub stare encyklopedie. Było też kilka nowszych pozycji - odcinały się od reszty mocnymi kolorami okładek i nowoczesnym krojem czcionek użytych w tytułach. Dopiero po chwili odkryłam, że bezładne - jak mi się z początku wydawało - stosy są tak naprawdę podzielone na sekcje. Na każdej półce przezroczystą taśmą przyklejona była karteczka. Literatura widniało na jednej z nich, na innej guias, czyli „przewodniki”, a na jeszcze innej poesia.

Piękne, ale mój portugalski nie sięgnie poezji, zdążyłam pomyśleć, kiedy mężczyzna, przesywając mnie wzrokiem, zawyrokował:

- English.

Nerwowo zaczął przekładać książki z jednej półki na drugą, wyraźnie czegoś szukał. Przystanąłam, nie chcąc ignorować jego poświęcenia.

Mężczyzna dobrze wiedział, co robi. Pewnie od rana nie utargował, bo klienci, zajęci odpoczywaniem po zabawach na cześć świętego Antoniego, Jana i Piotra, ostatnimi dniami raczej nie dopisywali. Wyczuł, że jestem turystką.

Szukanie trwało dobrą chwilę, w końcu bukinista, wycierając okładkę rękawem swojej nienajczystszej koszuli, podał mi niewielką książeczkę zatytułowaną Lisbon: What the Tourist Should See.

Na okładce była postać mężczyzny w okrągłych okularach i kremowym kapeluszu. Wyglądał, jakby się gdzieś śpieszył, niemal słychać było stukot jego obcasów o bruk. Widniało też nazwisko: Fernando Pessoa.

Książka kosztowała pięć euro i nie byłoby to dużo, gdyby nie to, co odkryłam w chwilę po opuszczeniu kantorka. Moim najnowszym zakupem był bowiem przewodnik napisany w 1925 roku.

Jaki pożytek mogę mieć z instrukcji, z których korzystali turyści żyjący w czasach Marii Skłodowskiej - Curie i Tuwima?

ROZDZIAŁ 14

Piąta po południu to dobry czas w kawiarni A Brasileira. Stolik zarezerwowany, jak zwykle, jeszcze nietłoczno, ale już czuć przyjemne podniecenie nadchodzącym wieczorem.

Fernando zawsze lubił Brasileirę. A od kiedy jej właściciel, genialny biznesmen Adriano Telles do Valle zmienił wystrój, lubi ją jeszcze bardziej. Na ciężkich, obitych brązową skórą krzesłach można wygodnie siedzieć przez długie godziny. Kryształowe lustra naprzeciwko baru odbijają rzędy butelek pełnych ulubionego, piołunowego alkoholu Fernanda, ustawionych na drewnianych półkach. Półki na ladzie dźwigają ciężar słonych przegryzek w kształcie rulonów, kwadratów i kształtnych kulek, leżą tam także słodkie ciastka z masą podobną do budyniu, podawane na ciepło. Fernando po ciastka nigdy nie sięgał, nie znosił słodczy, ale lubił patrzeć, jak pedantyczny sprzedawca układa je w zgrabne kopczyki.

Sufit Brasileiry jest purpurowy. Złote żyrandole zwisają z kilku bogato dekorowanych plafonów, a obfitość zdobień jest większa niż w innych kawiarniach. Dębowy zegar wisi na końcu sali, w miejscu, w którym wszyscy mogą go dostrzec. Starzec wyrzeźbiony w oprawie patrzy na zgromadzonych z góry, srogo karcąc wzrokiem spóźnialskich lub tych, którzy się zasiedzieli.

Wszyscy mają tu przyjść: Mario, Antonio, Luis, Almada (Mario de Sa - Carneiro - poeta, jeden z przywódców portugalskiego modernizmu; Antonio Ferro - pisarz i dziennikarz, już w wieku dziewiętnastu lat został redaktorem „Orpheu”; Luis de Montalvor - pseudonim poety Luisa da Silvy Ramosa, jednego z założycieli „Orpheu”; Almada Negreiros - jeden z najbardziej wszechstronnych artystów portugalskich: malarz, pisarz, poeta, dramaturg i eseista.). Porozmawiają wreszcie o założeniach nowego pisma

literackiego. Ich pisma. Przecież muszą w końcu ruszyć. Trzeba iść zgodnie z prądami! Futuryzm, kubizm to jest to, czym należy się zająć!

„Czy mam całe życie pisać listy biznesowe? - myśli Fernando. - Czy poezja i literatura to tylko motyle, które siadają czasem na mojej głowie? Muszę się zająć czymś jeszcze. Chociaż przecież próbowałem już raz rozkręcić biznes drukarski... Ech... Gdyby świętej pamięci babka Dionisia wiedziała, że utopiłem w tym pomysłe cały jej majątek...”

- Jest Mario - Fernando dostrzega wysoką postać w kapeluszu rozglądającą się po kawiarni. - Mario, przyjacielu! - macha na powitanie.

Cieszy się, że Mario przyszedł pierwszy. Jest mu najbliższą w Lizbonie osobą. Z nim prowadzi najciekawsze dyskusje o nowych nurtach w europejskiej sztuce, z nim godzinami spaceruje po ulicach śpiącej Lizbony. Poznali się w Coimbrze, gdzie Mario przez pewien czas studiował prawo na najstarszym w Portugalii uniwersytecie. Jakże dostojnie wyglądali ci wszyscy młodzieńcy paradujący po mieście w czarnych togach i kanciastych czapkach...

Biblioteca Joanina z wejściem skrytym w najdalszym rogu uniwersyteckiego dziedzińca była miejscem, które Fernando i Mario odwiedzali najczęściej. Tysiące woluminów w wyblakłych skórzanych oprawach skrywało niemal tajemną wiedzę. Setki dębowych półek wypełniały wysokie pomieszczenie przypominające nawę kościoła. Drabinki pozwalające sięgnąć po tytuły na antresoli sprytnie chowały się w ramach regałów, tak że kiedy Fernando znalazł się w tej świątyni książek po raz pierwszy, zupełnie nie mógł ich dostrzec.

Najlepiej zapamiętał to, co zdarzyło się drugiego dnia jego obecności w Coimbrze. Tamtego wieczoru, po uproszeniu surowego bibliotekarza, został dłużej sam w bibliotece. Chcąc

przejrzeć dzieła starożytnych klasyków, wspiał się po ukrytych w kamiennym filarze schodkach na wyższy poziom, oparł drabinkę o wystającą z półki płaskorzeźbę i zaczął wodzić wzrokiem po grzbietach woluminów. W momencie, w którym wyciągnął dłoń po książkę, czarny kształt śmignął kilka centymetrów od jego twarzy. Fernando zachwiał się na drabince i rozejrzał po pustej sali. Było cicho, żaden ruch nie zdradzał obecności żywej istoty.

„Czy zaczynam mieć przywidzenia jak babka Dionisia?“, pomyślał z przestraszaniem.

Powrócił do przeglądania tomów na półce, ale nim zdołał ponownie skupić się na poszukiwaniach, drugi raz coś musnęło mu włosy, a obcy zapach podrażnił nozdrza. Odetchnął głęboko i objął wzrokiem pograżone w mroku pomieszczenie. Latająca materia zmieniała miejsce położenia z każdym ruchem jego głowy. Kanciasty kształt z rozpostartymi ramionami szybował wzdłuż półek na antresoli jakby niesiony podmuchem wiatru.

- Wierzę we wszystko, co mówiła babka Dionisia - wyszeptał, odkładając książkę. I choć uświadomił sobie, że owa ciemna materia to tylko nietoperz, postanowił więcej nie odwiedzać biblioteki w nocy.

Fernando był w Coimbrze krótko, ale spotkanie z Mariem zapoczątkowało prawdziwą przyjaźń, podtrzymywaną regularną korespondencją i - wreszcie - przynosinami Maria do stolicy.

Łączyły ich wspólne przeżycia, choć o nich nigdy nie rozmawiali. Mario stracił matkę równie wcześnie jak Fernando ojca. Obaj chcieli sięgać dalej i wyżej, niż od nich oczekiwano... Obaj byli młodzi, obaj uciekali przed życiem oferującym im niewiele więcej ponad codzienną rutynę.

Mario de Sa - Carneiro pochodził z bogatej rodziny. Dyskretnie ratował Fernanda, gdy ten - wydawszy całą pensję

na absynt i książki - nie miał pieniędzy na ciepły posiłek...
Drogi Mario. Miał serce na dłoni.

Tego wieczoru Mario ma na sobie znoszoną, lecz wciąż modną marynarkę. Jego twarz promienieje, widać, że będzie dużo opowiadał. Właśnie wrócił z Paryża. Wyjechał na studia na Sorbonę, ale pierwotny cel szybko porzucił: Paryż ma tyle do zaoferowania! Zwłaszcza kiedy Montmartre w nocy przyobleka kolor zielonego absyntu, a po placach rozchodzi się zapach francuskiego tytoniu. W takie noce przy okrągłych stolikach Moulin de la Galette spotykają się młodzi artyści i poeci, przyprowadzają z sobą modelki i prostytutki i wznecają zamęt w umysłach i moralnych zasadach bardziej konwencjonalnych paryżan.

- Musimy wreszcie ruszyć - oznajmia Mario, zamawiając mocną bica. - Portugalia zawsze była potęgą, a teraz zostajemy w tyle! Musimy się odrodzić. Spójrz na Paryż, na Marinettiego! Wszyscy przecież znamy jego manifesty!

- Mario, ja jestem gotowy. Luis już wrócił z Rio de Janeiro, połączmy siły.

- Tak zrobimy. Będziemy razem zmieniać sztywne zasady! Inaczej patrzeć na język, słowa, gramatykę...

- Tak! Trzeba pisać jasno o tym, co jest jasne, a zagmatwanie o tym, co zagmatwane... Umieć wyrażać swoje myśli! Panować nad sposobami ekspresji! Być kompletnym, kompletnym jak maszyna...

- Fernando, cieszę się, że wróciłem. Razem obudzimy Portugalię.

Po chwili ich entuzjazm udziela się pozostałym, przybyłym w czasie ich rozmowy, mężczyznom. Dyskutują, zapisują założenia pisma. Kiedy kelner pobrażkuje pustymi szklankami i zniecierpliwiony zerka na zegar, decyzja zapada. Za kilka tygodni wydadzą pierwszy numer „Orpheu”.

ROZDZIAŁ 15

Pedro wypił dzisiaj już cztery małe pingado (Um pingado - kawa espresso z kroplą mleka podawana w małej filiżance.), a nadal czuł się tak, jakby go ktoś przez magiel przepuścił. Wczoraj długo bawili z żoną na placyku przy Elevador da Bica (Elevador da Bica - jednowagonowy tramwaj pokonujący stromiznę wzgórza Santa Catarina, łączy Rua de Sao Paulo z Largo do Calhariz.), gdzie dźwięki przebojów cichły tylko po to, żeby muzycy mogli skosztować rozcieńczonego porto i kolejnej porcji grillowanych sardynek. Zostały tam może krócej, ale pech chciał, że na skwerek przyszła też Joana, a z nią Pedro mógł rozmawiać godzinami, nie obawiając się złośliwych uwag zazdrosnej żony.

Joana była bowiem kobietą wyjątkową, choć tak naprawdę rzadko wzbudzała zainteresowanie mężczyzn. Nie chodzi o to, że była nieatrakcyjna - niewysoka, czarnowłosa czterdziestolatka o kobiecych kształtach, miała swój urok - ale o to, że jej samej nigdy nie przyszło do głowy, aby zainteresować się portugalskim mężczyzną. Z jakiegoś nieznanego nikomu powodu uważała, że żaden prawdziwy Portugalczyk nie zapewni jej ciepła tak odczuwalnego jak ciepło bochenków chleba wyjmowanych z jej kaflowego pieca. A właśnie ciepło chleba było dla niej synonimem tego wszystkiego, czego od mężczyzny oczekiwała - bezpieczeństwa, czułości i opieki. Lata mijały, a Joana wypatrywała przez okna swojej piekarni tego jedyne, który - zwabiony zapachem babeczek posypanych cynamonem - pojawi się w drzwiach piekarni i już w niej pozostanie. Przeznaczenie jednak nie nadchodziło i Joana, nękana nagabywaniami matki i ciotek, powoli zaczynała zastanawiać się, czy nie zmienić oczekiwań na bardziej realistyczne.

Joana miała pewną pasję, która wyszła na jaw, gdy jeden z sąsiadów, nie widząc jej za ladą, wszedł na zaplecze piekarni i

zobaczył dziewczynę pochłoniętą układaniem zawitych wzorów z ciasta na gigantycznych rozmiarów placku. Te kompozycje naśladowały zdobienia, które Joana zobaczyła po raz pierwszy w krużgankach klasztoru Dominikanów w miasteczku Batalha.

Joana odwiedziła Batalhę z matką przy okazji pielgrzymki do Fatimy. Matka Joany słyszała o wielu cudach uczynionych w Fatimie i kiedy zdała sobie sprawę, że niedługo przyjdzie jej stanąć przed obliczem Boga, zapragnęła udać się do miejsca objawienia, by wyprosić niezbędne łaski i przebaczenie za dotychczasowe, grzeszne życie.

Joana pamiętała z tamtej pielgrzymki jedynie tłum ludzi idących do świątyni, natomiast klasztor Dominikanów w Batalha potrafiła opisać z pamięci metr po metrze. To była największa i najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziała. Szła po marmurowych płytach kościoła, wytartych przez wieki kolanami wiernych, a słońce wpadało przez kolorowe, najbardziej kolorowe, jakie kiedykolwiek widziała, witraże. Błękitne, żółte i różowe światło przenikające przez te nieziemskie okna tańczyło na przybrudzonym marmurze strzelistych kolumn i był to widok tak bajkowy, że całkiem zapomniała, po co przybywa się do świętego miejsca.

Matka Joany modliła się żarliwie przed głównym ołtarzem, nie zwracając na córkę większej uwagi. Dziewczynka tymczasem skuliła się w głębokiej ławie z ciemnego drewna i zaczęła prosić, by jej życie było tak barwne jak kolory witraży i tak ważne, jak ważny jest ten monumentalny kościół. Pragnęła, aby ludzie z nią obcujący mieli w sercu taką miłość, jakiej właśnie doznawała, i taką radość, jaką odczuwała, kiedy od zadzierania do góry głowy i wpatrywania się w rzeźbione sklepienie traciła równowagę i śmiała się w duchu do siebie. Przymknęła oczy, chcąc zachować w sobie ten obraz na wieki. Z uczuciem niezwykłej

lekkości wstała i poszła w stronę krypty. Tam było jaśniej, a królowie spoczywali w śnieżnobiałych sarkofagach. Przeszła ponownie przez środek kościoła, doszła do panteonu, zatrzymała się w pół kroku. Wielki błękit nieba wlewał się do pomieszczenia nieprzykrytego żadnym sklepieniem. Można było tylko domyślać się, gdzie sklepienie miało mieć swój początek. Rzeźbienia urywały się w połowie wzoru, a kamienne wsporniki ucięte równo, jak od linijki, zaprzeczały właściwościom twardego, ciężkiego do obróbki kamienia, z jakiego zostały wykonane.

„Szesnastowieczni budowniczowie przerwali pracę w połowie”, pomyślała.

Zauroczona tymi niezwykłymi niespodziankami Joana trafiła do krużganków. I to właśnie krużganki zdecydowały o jej przyszłym życiu. Wpatrywała się w zawilości kamiennych szyfrów tak długo, aż zapamiętała płataninę muszli, pereł, gałęzi i egzotycznych roślin i obiecała sobie, że też takie kiedyś stworzy. Nie mogła tylko przewidzieć, że będą to kompozycje na rogalach, bułkach i chlebach wypiekanych w piekarni, którą odziedziczy po bezdzietnej ciotce zmarłej wskutek ukąszenia pszczoły.

Od pamiętnej wizyty sąsiada na zapleczu Joana przestała wstydić się swojej pasji, a wypieki o skomplikowanych wzorach znalazły zasłużone miejsce na drewnianych półkach piekarni i na stałe weszły do menu śniadaniowego mieszkańców Rua de Sao Paulo.

Pomimo swego staropanieństwa Joana zachowała umiejętność cieszenia się jak dziecko, kiedy ktoś chwalił jej pyszne wypieki, zachwycania się urodą świata, kiedy patrzyła na pękające w słońcu winogrona, i czerpania nadziei z najbardziej nawet beznadziejnych zdarzeń. Nie miała w sobie goryczy, którą często samotne kobiety w jej wieku odczuwały.

Może dlatego Pedro znajdował taką przyjemność w przebywaniu z Joaną. Była antidotum na jego ironię i sarkazm.

ROZDZIAŁ 16

Na Rua de Sao Paulo dotarłam od strony targu, na którym okoliczni mieszkańcy robili codzienne zakupy. Było to cudowne miejsce - tony pomarańczy, melonów, jabłek, awokado oraz wszelkich warzyw pachnących jeszcze słońcem i ziemią leżały wystawione w skrzynkach i koszykach wzdłuż długich lad. Nad głowami sprzedawców kołysały się przypięte do haków kokosy i zwoje czosnku, na stołach połyskiwały łuski świeżo złowionych tuńczyków, okoni i pałaszy obłożonych lodem. Niektóre brytfanki miały bliżej nieokreśloną zawartość - różowe, błyszczące organizmy przypominały gigantyczne wargi sromowe, inne miały kształt pocisków zatopionych w atramentowej cieczy. Ryby o długich, grafitowych ciałach wyglądały jak groźne kobry, a te nieco mniejsze, różnokolorowe, wzbudzały litość głowami wykrzywionymi w grymasie podobnym do płaczu.

Hala targowa była zatłoczona, monety brzęczały w kieszeniach fartuchów sprzedawców, a kupujący nieśpiesznie napełniali swoje siatki zakupami. Poszłam ich śladem, a nie mogąc zdecydować się, co zjeść na kolację, kupiłam i pomarańcze, i melona, i gruszki, a także dziesięć jajek oraz torebkę zielonych i czarnych oliwek nadziewanych papryczką chili.

Brakowało mi jeszcze pieczywa, ale przypomniałam sobie, że niemal naprzeciwko schroniska jest niewielka piekarnia. Zaczynałam orientować się w okolicy - kościół był moim najlepszym kierunkowskazem. Jego białe mury odcinały się od reszty ulicy, naprowadzały na właściwą drogę. Wystarczyło minąć kościół i przejść na drugą stronę ulicy, by stanąć przed napisem „Joana”.

- O tej porze nie ma już świeżych rogali - poinformowała mnie kobieta z piekarni. - Mam ostatni chleb, po bułki trzeba

przyjść przed dziesiątą rano - dodała. Miała miękła głos i przyjazny uśmiech, który zachęcał do rozmowy.

Kiedy zamykałam drzwi, wychodząc, dostrzegłam, że bacznie mnie obserwuje. Na tej ulicy obce twarze najwyraźniej nie pojawiały się często. Wyłapywano je natychmiast, wzbudzały zainteresowanie i ciekawość. Kobieta nie była wyjątkiem. Ale jej ciekawość nie drażniła, raczej zachęcała do kontaktu, otwierała drogę zwykłej, życzliwej rozmowie.

Z chlebem pod pachą minęłam kiosk w błękitnej bramie. Sprzedawca, zajęty przeglądaniem gazety, nawet mnie nie zauważył. Wspięłam się po schodach. W schronisku panował gwar. Przy stoliku w recepcji siedział chłopak z kędziorami. Kilka Hiszpanek tłoczyło się w niewielkiej kuchni, przyrządzając sobie późny obiad, ktoś słuchał głośno muzyki we wspólnym salonie.

Jak dobrze było znaleźć się w przytulnej sypialni, wiedząc, że można paść w pościel, tak jak się stoi, bez potrzeby robienia czegokolwiek więcej. Z ulgą zdjęłam z ramienia ciężącą mi torbę i wyjęłam swój nowy zakup - z okładki przewodnika po Lizbonie spoglądał na mnie spod kapelusza mężczyzna w okrągłych okularach. 1925 rok!

Będę tu jeszcze kilka dni. Poznawanie miasta nie jest moim celem, ale skoro i tak chodzę ulicami Lizbony, mogę czegoś się o niej dowiedzieć, pomyślałam.

Z reguły dobrze przygotowywałam się do wyjazdów. Czytałam o miejscu, do którego miałam dotrzeć, zaznaczałam ciekawe zabytki. W ten sposób podróż się zaczynała, jeszcze zanim zdążyłam się spakować. Oczywiście czasem miało to też minusy - głównie wtedy, kiedy wyobrażenia i oczekiwania przerastały rzeczywistość i tak naprawdę miejsce pięknie opisane w przewodniku okazywało się mało atrakcyjne. A nic tak nie boli jak rozczarowanie w środku lata.

Lizbona była wyjątkiem. Nic o niej nie wiedziałam, nie miałam nawet pojęcia, co mogłabym chcieć zobaczyć. Sięgnęłam po książkę.

Na siedmiu wzgórzach, które stanowią również punkty obserwacyjne, skąd można podziwiać najwspanialsze z widoków, rozpościera się rozległe, nieregularne i wielokolorowe skupisko domów tworzące Lizbonę - brzmiało pierwsze zdanie. Podróżnemu, przybywającemu od strony morza - objaśniał dalej autor - Lizbona już z daleka jawi się jak olśniewająca wizja senna, rysując się wyraźnie na tle błękitu nieba, który słońce rozpromienia swym złotym blaskiem. A kopuły, stare budowle i zamczyska wysuwają się ponad linie domów, jak dalecy heroldowie tej cudownej, błogosławionej krainy.

ROZDZIAŁ 17

„Lubię samotność. W zasadzie bardziej z przyzwyczajenia niż z prawdziwej potrzeby. Samotność zaakceptowana nie wydaje się już taka przygniatająca. Można ją unieść, jak unosi się kosz ze słodkimi owocami, które nagle spleśniały. Można ją polubić do tego stopnia, że zacznie wydawać się stanem naturalnym”, myśli Fernando, przymykając oczy.

Ciało mu ciąży, ale umysł nie pozwala się wyłączyć. Myśli wybiegają w przyszłość, formując mniej lub bardziej realne obrazy.

Jest już późno, a przecież jutro trzeba wstać do biura. Fernando pracuje tylko trzy dni w tygodniu, ale i tak ma poczucie, że traci czas. Wszyscy w biurze są tacy przewidywalni! Vasques zacznie dzień od papierosa i przeglądania nadesłanej poczty. Moreira powita go nieznającym cierpienia uśmiechem, a Mirna przez pół poranka będzie szukać księgi rachunkowej, jakby nie mogła jej odkładać zawsze w to samo miejsce.

- Codziennosc - mruczy Fernando, przekręcając się na bok, by uniknąć wpijającej mu się w pośladek sprężyny.

I nagle przed jego oczami pojawia się postać. Kto to? Czyżby Alberto Caeiro? Utalentowany samouk, chcący podzielić się z nim swym geniuszem, zanim zabije go gruźlica?

- Poczekaj! - Fernando zrywa się prędko z połatanej pościeli. - Gdzie ołówek!?! - przewala drobiazgi w szufladzie. - Światło! Gdzie światło! ? Cholera jasna! - denerwuje się. Czuje, że jeśli nie zacznie pisać, straci z Albertem kontakt. - Jest! - Zaostrzony ołówek w dłoni, jeszcze kawałek papieru i można zacząć. Pochyla się nad komodą i zaczyna spisywać słowa...

Jaki głos przyływa w fal szumie I nie jest to morza głos? To głos kogoś, kto do nas przemawia Lecz, gdy nasłuchiwać, ucicha Dłatego, że wyteżamy słuch.

Zaraz, zaraz... Czy to na pewno Caeiro? Fernando odrywa wzrok od liter, patrzy w ciemność pokoju. Nie! To smutny Ricardo Reis, lekarz, którego czeka emigracja! Jakże mógł go nie rozpoznać!

I tylko wtedy, gdy, na wpół śpiący, Bez świadomości słyszenia słyszymy, Że to nadzieja do nas mówi, Do której wtedy to, jak dzieci, Śpiąc we śnie się uśmiechamy (F. Pessoa, wiersz Wyspy Szczęśliwe z poematu Mensagem, tłum. A. Talarczyk.).

Mijają kolejne minuty. Fernando nawet na moment nie odkłada ołówka. Nie może. Przychodzą wszyscy, także Bernardo Soares, najbliższy mu, oraz łatwo ulegający nałogom Alvaro de Campos. Jakże Fernando mógłby ich teraz opuścić! Straciłby niepowtarzalną szansę utrwalenia wieczności w słowach. Więc pisze i pisze. Ręka mu drętwieje, płomień lampki przygasa pod jego ciężkim oddechem, ale nie ma to żadnego znaczenia. Ciszę przerywa hałas za ścianą. Fernando próbuje go lekceważyć, ale podniesione głosy są coraz bardziej wyraziste. Słysząc płacz dzieci.

„To nie jest dobra kamienica”, myśli Fernando, coraz bardziej rozeźlony. Mógł to przewidzieć: hałasy powtarzają się regularnie. Mąż krzyczy na żonę, żona na męża, dzieci nie potrafią oddzielić koszmaru sennego od tego na jawie, a kot przybłąda ucieka, kierując się instynktem. „Powinienem się stąd wynieść”, dochodzi do wniosku, próbując zebrać rozpierzchnięte myśli.

Nie może jednak się wyprowadzić - po pierwsze, chwilowo ma dość przeprowadzek, bo swoje rzeczy przenosił już jedenaście razy, po drugie, brakuje mu pieniędzy na lepsze lokum. Trunki, które wlewa w siebie, siedząc godzinami w

zaprzyjaźnionych kawiarniach, to spory wydatek. Na przykład wczoraj. Wstąpił na mocną bica do Brasileiry, a przesiedział w kawiarni do zamknięcia. Firma wprowadzająca coca - colę na portugalski rynek poprosiła go o napisanie hasła reklamowego. Czas naglił, a Fernando miał w głowie pustkę. Kawiarnia zawsze wtedy pomaga. Zasiadł przy ulubionym stoliku i obserwował ludzi. Wchodzili i wychodzili, trzaskając drzwiami. Elegancki dyplomata palił cygaro, czytając gazetę. Jakiś biedak stanął przy ladzie, dzieląc się swoją tajemnicą ze starszym barmanem.

Fernando zamówił kawę. Potem absynt. Potem jeszcze raz absynt. Po dwóch godzinach poczuł, że jest gotowy, po trzech wymyślił slogan: „Najpierw jest dziwna jak na twój gust, potem nie możesz jej odjąć od ust”.

„Mam nadzieję, że będzie się dobrze sprzedawać”, myślał. Był zadowolony, że sprostał zamówieniu. Nawet nie przypuszczał, że rozpęta prawdziwą burzę, bo hasło odkryje uzależniające działanie napoju i jego sprzedaż zostanie w Portugalii na długi czas zakazana.

Głosy za ścianą cichną. Fernando wstaje od biurka i kiwającym się krokiem, wędruje po pokoju. Otwiera okno, pozwalając marcowemu powietrzu wedrzeć się do środka.

- Bernardo, jakże mam pracować!? - mówi z wyrzutem.

- Napisz o tym, napisz, Fernando - słyszy w odpowiedzi.

Więc znowu siada przy biurku, a słowa płyną jak wartki potok. Zapełnia kolejne kartki, świeże wiersze dźwięczą w jego głowie, śpieszy się, żeby je zapisać.

Kończy nad ranem. Jego palec jest czerwony i spuchnięty od ściskania ołówka, a wzrok stracił ostrość. Kiedy Fernando wstaje z krzesła, czuje silny zawrót głowy. Najważniejsze jednak jest to, co znajduje się na kartkach rozrzuconych wokół biurka - ponad trzydzieści wierszy spłodzonych tej nocy w

zażartej walce ze słabością ciała i uniesieniami rozgorączkowanej duszy.

Następnego dnia kartki zapisane wierszami lądują w tej samej co zawsze, wsuwanej głęboko pod łóżko, walizce.

ROZDZIAŁ 18

Była już dwudziesta druga, a ja nadal czytałam zdania ułożone ponad osiemdziesiąt lat temu. Ktoś wędrował po Lizbonie, utrwał widoki, zapisywał szczegóły, zaglądał w miejsca nieznane, przychodził pod pomniki bohaterów i przekraczał progi kawiarni, w których zbierali się młodzi artyści. Z czułością odmalowywał ulicę po ulicy. Słowa przesiąknięte poezją i miłością opisywały miasto, które już nie istniało.

Bo żeby wejść na blanki Castelo de Sao Jorge z pewnością nie trzeba już pozwolenia od oficera stacjonujących tam wojsk. Ale czy kamienny kościół Santa Engracia z tarasem na szczycie wciąż jest największą niedokończoną budowlą Lizbony? Czy wzgórze Santa Catarina nadal jest najlepszym punktem widokowym na Tag? Te wszystkie pytania przychodziły mi do głowy, kiedy za oknem ponownie rozstawiano grille i podesty dla muzyków grających lokalną wersję paso dobre.

I wtedy nagle poczułam, że to nieznane miasto kokietuje mnie i czeka na moje zainteresowanie. Że nawołuje mnie do przyjrzenia mu się bliżej. Miałam wrażenie, że Lizbona czeka właśnie na mnie i że przewodnik Pessoa otwiera czwarty wymiar, w którym mogę zobaczyć to, co przeminęło, w którym mogę spojrzeć na świat oczami mojej prababci podróżującej po portugalskim mieście - gdyby oczywiście miała ochotę do Portugalii pojechać. Poznawanie nieznanego - ta wizja była kusząca.

Myślę, że coś takiego czuł Dominik, kiedy docierał do kolejnego miejsca. Też było nieznane, ale jednocześnie kusiło. Dominik zawsze mówił, że choćby jechał w najbardziej opisane i zbadane miejsce, to dla niego i tak pobyt tam będzie odkrywaniem, bo żadna ulica przemierzona przez tysiące ludzi

nie jest widziana przez każdego z nich tak samo, a te same słowa w ustach różnych ludzi brzmią zupełnie inaczej.

Pamiętam, że Dominik opowiadał, jak będąc w Birmie, chciał zobaczyć rozświetloną balansującą „złotą skałę”, na której szczycie znajduje się stupa, a w niej włos Buddy. Miejsce, do którego można łatwo dotrzeć, kierując się zagęszczeniem kramów z pamiątkami, oblepione było także wtedy turystami i pielgrzymującymi mnichami. A ponieważ Dominik wyobrażał sobie balansującą skałę zupełnie inaczej, postanowił zaczekać do zachodu słońca, aż zrobi się luźniej. Późnym popołudniem skała zaczęła przybierać czerwona barwę. Okoliczne wzgórza ogarniał mrok. Ptaki zamilkły, ostatni pielgrzymi odeszli. Skała czerwieniła się coraz bardziej, podczas gdy złota stupa ciemniała w gasnącym blasku promieni słonecznych. I wtedy Dominik poczuł, że odkrywa to miejsce dla siebie. Mimo że widział je tysiąc razy na plakatach w birmańskich herbaciarniach i siedział pod skałą już którąś godzinę, to tak naprawdę dopiero wtedy poczuł, że jest tam, dokąd zmierzał.

ROZDZIAŁ 19

Szłam w stronę domu, w którym powinna mieszkać Rosa. Znowu byłam na Largo do Rossio - żywym, gwarnym placu wyłożonym białą - czarną mozaiką zdeptaną przez setki spacerujących. Mój przewodnik z początku ubiegłego wieku informował, że po północnej stronie placu urzędowała niegdyś żądna krwi portugalska inkwizycja. Teraz wstydliwą historię minionych wieków „przykrywał” dostojny budynek Teatro Nacional.

Z góry, ponad dachami Mourarii, spoglądał na mnie Castelo de Sao Jorge, a okrągły zegar Omega na rogu kamienicy wskazywał kwadrans po jedenastej. Było ciepło, za ciepło jak na mój wiosenny płaszcz.

Na wystawie sklepiku z mosiężnymi czajniczkami i ekspresami do kawy panował chaos. Były tu staromodne czajniki z wygiętymi jak szyja łabędzia kranikami, przelewowe, trzyczęściowe ekspresy, ekspresy próżniowe z tłoczkami wydobywającymi kawowy aromat ze zmielonych ziaren oraz drogie, wysokociśnieniowe ekspresy domowe renomowanych firm. Na ulicę przenikał zapach świeżo zmielonych ziarenek. W głębi sklepu, na półkach z lustrami, stały w rzędach słoje i pojemniki z różnymi odmianami kawy - od kenijskich ziaren o smaku owoców i pachnących czekoladą, aromatyzowanych dymem ziarenek z Gwatemali po korzenne mieszanki indonezyjskie i doprawioną kardamonem kawę z Bliskiego Wschodu. Prawdziwy skarb - zebrane w dziko rosnących lasach Etiopii ziarna - zamknięto w blaszanym pojemniku ze szklaną przykrywką. Z kolei kolumbijskie kawy ustawione za szybą aptekarskiego kredensu podzielono na dwa rzędy i opatrzone etykietką „supremo” lub „excelso”, zależnie od wielkości kawowych ziaren.

Portugalczycy lubią kawę, pomyślałam, kupując paczkę polecanej przez sprzedawcę Delty. Sprezentuję ją Rosie, jeśli tylko ją odnajdę.

Skręciłam w stronę skwerku Largo de Sao Domingos. Był on wypełniony przybyszami z Afryki. Mężczyźni, mimo gorąca ubrani w ciepłe swetry i czapki baseballówki, stali w małych grupkach, siedzieli, podpierali drzewa, spacerowali, dyskutując, pokrzykując i śmiejąc się. Czekali na coś? Przyszli na pogawędkę? Tłum się zmieniał, kurczył się, to znów rozszerzał, ale się nie przemieszczał, nie zmierzał do żadnego celu. Stał, tkwił w miejscu, jakby dla samej przyjemności tkwienia.

Korzystając z korytarzy między poszczególnymi grupkami, przedostałam się na drugą stronę placu, tam gdzie Calçada do Garcia rozpoczynała swoją mozolną wspinaczkę na wzgórze.

Zaniedbane i zabrudzone kamienice po chwili ustąpiły miejsca budynkom z większą ilością detali i bardziej dostojnym. Dostojności tej nabierały z każdym bogato zdobionym balkonikiem, z każdą wypielegnowaną rośliną rosnącą w donicy przed drzwiami i z każdym mniej chaotycznie rozwieszonym praniem. Kilkupiętrowe domy odbijały już tylko pojedyncze głosy mieszkańców. Zgiełk placu pozostał za mną.

Odnalazłam kamienicę z obdrapanym murkiem. Już wiedziałam, że żadne z widocznych od strony ulicy okien nie należy do mieszkania Rosy. Jej okna musiały wychodzić na ślepa alejkę odchodzącą od głównej uliczki. Drzwi na klatkę tym razem były niedomknięte, dotykały tylko lekko framugi, wystarczyło je pchnąć, by wejść. Więc weszłam.

Nacisnęłam dzwonek ulokowany pod zmatowiałą mosiężną tabliczką z numerem 78. Starłam się nie robić żadnych zbędnych ruchów mogących zaalarmować kogoś

ze wścibskich sąsiadów. Odczekałam kilka sekund w absolutnej ciszy.

Bądź tam, Roso, otwórz, zaklinałam w duchu przez te ułamki sekund, które wypełniło echo dzwonka. Drzwi pozostały jednak zamknięte. Tylko z mieszkania obok sączyła się smętna melodia. Africa minha, Africa nossa... - zawodziła głębokim głosem Cesaria Evora. Mieszkanie obok było mieszkaniem... plującej kobiety.

Rosa nadal nie otwierała, a ja traciłam nadzieję. Czar poranka prysł. Torebka kawy uwierała. Nie ma tam Rosy, może nie ma jej w ogóle.

Africa, Africa, Africa... - głos śpiewał dalej. Spojrzałam na drzwi ze starannie ułożoną na progu wycieraczką w zielono - białe wzorki. To była moja ostatnia szansa. Plująca kobieta. Jeśli Rosa tu mieszka, to ta kobieta ją zna. Jeśli nie mieszka, to przynajmniej mi to powie i będę mogła z czystym sumieniem zakończyć swoje śledztwo. Zrobiłam dwa kroki w prawo i delikatnie zapukałam.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Te same szparkowate oczy spojrzały na mnie przenikliwie, ale zanim cokolwiek zdążyłam powiedzieć, przy mojej nodze znalazł się biały kundel o puszystej sierści. Szczeknął, chyba bardziej dla dodania sobie otuchy niż przestraszenia intruza, po czym podskoczył i oparł się łapami o moje kolana. Kobieta spojrzała na niego gniewnie, mruknęła coś i zdecydowanym ruchem wciągnęła psa do środka.

- Bom dia - zaczęłam. - Szukam Rosy Moreto. Czy mieszka tutaj? - wskazałam na drzwi obok.

- Rosa, Rosa - kobieta zagadała, a potem z prędkością komentatora sportowego zaczęła wyrzucać z siebie mnóstwo niezrozumiałych dla mnie słów. Pokornie stałam, czekając, aż zorientuje się, że gdy mówi w takim tempie, nie rozumiem ani słowa.

Pies znowu wystawił przyjazny pysk z za łydek kobiety i oblizwał nos swoim różowym językiem. Najwyraźniej mnie polubił.

- Que? - kobieta zawiesiła nagle głos, jakby rzucając mi wyzwanie.

- Czy mieszka tutaj Rosa Moreto? - powtórzyłam, wskazując na drzwi z numerem 78. A potem, idąc za podszeptem intuicji, wyjęłam torebkę z kawą Delta i z najbardziej wdzięcznym uśmiechem, na jaki było mnie stać wobec tej szorstkiej kobiety, wręczyłam jej pakunek.

Na chwilę zapadła cisza zwiastująca zawieszenie broni. Rysy kobiety złagodniały. Zdawało mi się nawet, że nieznacznie rozciągnęła usta w zadowoleniu. Pies zapiszczał, najwyraźniej oczekując rozwoju sytuacji. I wtedy stało się coś, czego absolutnie się nie spodziewałam. Kobieta otworzyła szerzej drzwi i kanciastym, lecz jednoznacznym gestem zaprosiła mnie do środka. Nie czekając, aż się rozmyśli, weszłam do przedpokoju.

Promienie słońca przenikały do wnętrza mieszkania przez gęste firanki, przez co odnosiło się wrażenie, że jest ono spowite misternie utkaną pajęczą siecią. Tuż przy stojącej przy drzwiach szafce ustawiono w równym rzędzie buty - wszystkie kobiece, z wyjątkiem małych, niezdradzających płci ich właściciela czerwonych bucików dziecięcych. Dziergany w kolorowe kiedyś, a teraz wyblakłe pasy chodnik przykrywał przetartą drewnianą podłogę, która skrzypnęła żałośnie, kiedy tylko postawiłam na niej stopę.

Kobieta, oglądając się na mnie, podreptała do salonu, a ja posłusznie podażyłam za nią. Wskazała mi sofę wyłożoną koronkowymi poduszkami i potrząsając torebką wręczoną przeze mnie Deltę, ni to pytając, ni stwierdzając, oświadczyła:

- Cafe - i zniknęła w drzwiach kuchni.

Nie widziałam jej przez kolejne dziesięć minut. Z kuchni dochodziły tylko co jakiś czas odgłosy - trzask zapalniczki wydobywającej ogień, metalowy stukot łyżki nakładającej kawę do czajniczka, szum lecącej z kranu wody. Miałam kilka minut na zarejestrowanie szczegółów wystroju salonu, ale nie zrobiłam tego, bo całą moją uwagę przykuł owalny zegar wtopiony w ścianę domu stojącego dokładnie naprzeciwko kamienicy. Wkomponowano go w przestrzeń pomiędzy oknami ostatniego piętra a dachem, ale ponieważ kamienica po drugiej stronie uliczki była niższa od tej, w której się znajdowałam, tarcza zegara wisiała dokładnie naprzeciwko mnie, jakby pośrodku otwartych na oścież balkonowych drzwi. Zegar hipnotyzował ruchem wskazówek. Tyk, tyk, tyk... odmierzał sekundę po sekundzie. Jak strażnik pilnujący porządku świata z wysokości drugiego piętra lizbońskiej kamienicy.

Po kilku minutach kobieta wkroczyła do salonu, niosąc na srebrnej tacy dwie kawy w filiżankach wielkości naparstka i talerz wypełnionych kremem ciastek. Postawiła to wszystko na gładkiej powierzchni szklanego stolika i mrużąc coś pod nosem, podsunęła mi porcelanową cukiernicę w kształcie rozpedzonej karocy.

Odważyłam się usiąść nieco głębiej na kanapie i spróbowałam kawy: była wyśmienita. Ale list! List był najważniejszy. Wyjęłam go z torby i pokazałam kobiecie, wskazując palcem na adresata.

Pokiwała głową.

- Sim, sim - powiedziała ze znużeniem przechodzącym w irytację. A potem, bezwzględnie gasząc moje nadzieje, wypaliła: - Rosy nie ma - i zdecydowanie potrząsnęła głową.

- No dobrze, nie ma jej teraz, ale może kiedyś będzie? Mieszka tu w ogóle? - próbowałam ją dopytać.

Kobieta wzruszyła ramionami i wyciągnęła dłoń po list. Nie chciałam jej go oddać, więc zrobiłam unik: położyłam kopertę na stole i sięgnęłam po ciastko. To był błąd. Kobieta znowu mruknęła pod nosem, wyraźnie niezadowolona, i odwróciła głowę w stronę okna, dając mi do zrozumienia, że jestem tylko nieproszonym gościem, którego w każdej chwili można się pozbyć.

Nie miałam pojęcia, co dalej robić. Podziękować za kawę i opuścić mieszkanie? Próbować przebić się przez pancerz niechęci do wnętrza tej oschłej kobiety? Ona chyba też biła się z myślami, bo w końcu odwróciła się do mnie i niby od niechcienia zapytała:

- Co jest w tym liście?

- Nie wiem - odparłam zgodnie z prawdą. - Ale to ważny list do Rosy Moreto. Pani ją zna?

- Rosa była śpiewaczką - oświadczyła, nie zamierzając nic więcej dodać.

- Śpiewała? - chwyciłam się tematu jak tonący brzytwy. - Nigdy o niej nie słyszałam...

- Senhora, nie każdy słucha fado.

- Fado... Niech pani powie coś więcej. Nie znam tej muzyki.

- Kto nie zna fado, nie zna życia! Senhora nie zna życia! - podniosła głos, oburzona, a ja zauważyłam, że w jej pustych do tej pory oczach pojawiła się iskierka życia.

A potem, najwyraźniej odgrzebując w pamięci zasoby dawno nieużywanych słów, zaczęła:

- Słyszałam, jak śpiewają, zamieniając mój chłód w smutek. Nie mam nic, co by dało mi wsparcie, oprócz własnego lamentu (J.J. Slauerhoff, O enjeitado II (tłum. z ang. I. Słabuszewska - Krauze).) - mówiła na jednym oddechu, patrząc gdzieś przed siebie.

Podążyłam za jej wzrokiem. Patrzyła na obrazek zawieszony na ścianie na wprost nas. Było to zdjęcie pięknej kobiety o lekko falujących włosach. Miała wyrazisty nos i głębokie spojrzenie, które rzucała spod mocno wymalowanych rzęs. Pod zdjęciem zamieszczono dedykację: „Dla Teresy”.

Chciałam zapytać, kim jest ta piękność i czy Teresa to ona sama, ale kobieta nie dopuściła mnie do głosu.

- Życie nie zna litości, nie mam nic, co by wypełniło moje puste noce, nic oprócz fado... - ciągnęła.

Spojrzałam na nią. Jej twarz tak bardzo się zmieniła! Miała rumieńce i świetliste oczy. Kąciki jej ust nie opadały już w grymasie znużenia, a zmarszczki na czole jakby się wygładziły. Wyczuwałam jej podniecenie. Coś się zmieniło. Nawet w sposobie, w jaki sięgnęła teraz po filiżankę z kawą, była miękkość i lekkość.

- To Slauerhoff - poinformowała mnie między jednym a drugim łykiem. - Piękna poezja, prawda? Fado jest piękne. Tęskne jak saudade, namiętne jak uczucie, smutne jak... życie. To muzyka ulicy. Prawdziwa, bo zrodzona z wrażliwych serc. Ach, gdyby mieć dzisiejszy rozum i tamte lata... Senhora wie, że Amalia pierwsza zaczęła tak śpiewać? A miała ośmioro rodzeństwa! Senhora wie, co to znaczyło w tamtych czasach? Zawijała cukierki w złotka, by zarobić parę escudo, a kilka lat później dawała już koncerty w całej Europie. Ach, fado nie da się wytłumaczyć ani opisać, fado się czuje. Ale nie wiem, czy senhora umie poczuć - powiedziała, mierzając mnie wzrokiem od stóp do głów. - Senhora pewnie nie pracuje?

- Ja... - zaczęłam, ale kobieta machnęła tylko ręką, chwyciła swoją filiżankę i podniosła się z kanapy, wymownie stękając.

- Mam wszystkie płyty, wszystkie nagrania fado - skinęła głową w stronę regału, na którym piętrzyły się stosy płyt winylowych i starych kaset.

Zbiór był faktycznie imponujący. To musiała być jej prawdziwa pasja.

Nie jest taka martwa, na jaką wygląda, przemknęło mi przez myśl.

- Senhora chce wiedzieć więcej, to niech idzie do domu Amalii Rodrigues. Do jej domu - wskazała palcem portret wiszący na ścianie, ten sam, o który przed chwilą chciałam ją zapytać. - A ja muszę skończyć swoją robotę.

Zdałam sobie sprawę, że moja wizyta właśnie dobiegła końca i nic więcej nie wskóram.

- Dziękuję, senhora Teresa - powiedziałam, upewniając się, że to jej imię. Nie czekając, aż kobieta mnie wyrzuci, co zapewne by uczyniła, gdybym zechciała zostać dłużej, skierowałam się ku wyjściu.

- A senhora skąd tak dobrze zna portugalski? - zapytała mnie, gdy stałam już niemal w drzwiach.

- Nauczyłam się dawno temu. Na kursach, w szkole, od Dominika...

Spojrzała na mnie przenikliwie, kiwnęła głową na pożegnanie i z lekkim wahaniem zamknęła drzwi. Kiedy już schodziłam po pachnących starym drewnem schodach, ponownie wystawiła głowę.

- W domu Amalii można się wiele dowiedzieć - przypomniała mi, jakby to było szczególnie ważne.

Wyszłam na ulicę i spojrzałam w jej okno. Teraz dobrze wiedziałam, gdzie patrzeć - tam, skąd najlepiej widać zegar w przeciwległej kamienicy. Okno nie było puste. Ona w nim stała i sądząc, że jej nie widzę, obserwowała mnie z góry. Miała te same wąskie oczy, którymi mnie przywitała, a jej twarz znowu wyglądała na starą i umęczoną.

Czym prędzej przeszłam za róg najbliższej kamienicy. Przeczynałam, że jeszcze będę musiała tu wrócić.

Było już późne popołudnie, słońce nieśmiało chowało się za niewielkie chmury. Szybko dotarłam do dzielnicy Mouraria leżącej u podnóża zamku. Tutaj kamienice nie przywdziały pięknych azulejos, nie pyszniły się fasadami, nie pozowały do zdjęć turystom. Kolory dachówek nie biły po oczach, a ze ścian niechronionych płytkami odpadała czerwona glina. Tutaj zaułki pachniały wilgocią, drzwi świeciły szczerbami, a pod butami chrzęściły papiery i niedopałki papierosów.

W Mourarii nie ma już twórców jej uliczek i domów, nie ma troskliwych opiekunów zielonych rabatek. Teraz gardłowe głosy dorosłych współgrają z okrzykami niedomytych dzieci. Czasem padnie ostre słowo, czasem słyhać brzęk tłuczonego szkła. Różnokolorowe ubóstwo czai się w każdym zaułku, nawet w śmieciach pozostawionych przed drzwiami domów. Tu żyje się z dnia na dzień - wystając na ulicy, siedząc przed telewizorem, upajając się używkami. To też jest życie.

ROZDZIAŁ 20

Nie oszukujmy się - Joana nie miała serca z kamienia. Jej serce było nawet czulsze i bardziej wrażliwe niż niejednej kobiety. Oczywiście zdarza się, że zalety czułego serca są jednocześnie jego wadami - wrażliwe serca nie nabierają się łatwo, są cierpliwe i odważne, ale kiedy już kierują się w czyjąś stronę, to robią to zawsze z nadzieją na wieczne szczęście. W niesprzyjających okolicznościach zdarza się jednak, że takie serca ulegają skurczeniu. Czasem nawet wydaje się, że zupełnie zanikają. Na szczęście są to tylko pozory. Tak naprawdę czułe serca - jeśli tylko mają okazję zetknąć się z sercami o właściwej wielkości i częstotliwości bicia - rozkwitają bujnie jak wiśnie na wiosnę. Wtedy, i tylko wtedy, zaczynają wydzielać nieśmiertelną energię zwaną miłością.

Joanie też się to kiedyś przytrafiło. On był Hiszpanem, co dało mu szansę na wzbudzenie jej zainteresowania. Niewysoki, ciemnowłosy, w żaden sposób nie wyróżniał się z tłumu. Gdyby w pociągu relacji Porto - Lizbona nie odezwali się do siebie ani słowem, Joana zapamiętałaby tylko jeden szczegół jego wyglądu: złoty sygnet na wskazującym palcu lewej ręki. Niby nic, a jednak utkwіło jej w pamięci. Co prawda, Pedro też nosił sygnet, ale dużo mniejszy i nierzucający się tak w oczy. Poza tym Pedro miał już swoje lata i siwiejące włosy, sygnet bardzo mu pasował.

Mężczyzna w pociągu był młody. Niespecjalnie ciekawy, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Joana nigdy nie odezwałaby się do niego pierwsza, gdyby nie magazyn, który trzymał w dłoniach. Czasem drobiazgi decydują o tym, kto zostanie przez nas zauważony, a kto nigdy nie zaistnieje w naszym życiu. Oni też się o tym przekonali.

Miał bilet z numerem miejsca obok niej. Postawił herbatę na rozkładanym stolyczku i usiadł wygodnie, starając się nie naruszyć przestrzeni należącej do Joany.

W kolorowym magazynie, który trzymał przed sobą, Joana wyczytała, że równo sto lat wcześniej pewien niemiecki hrabia zginął uduszony szalikiem, który miał na szyi, a który wkręcił się w koła wiozącej hrabię dorożki. Nieszczęsny woźnica niemal do końca długiej podróży nie zorientował się, że wiezie trupa, a nie pijanego arystokratę rozbawionego wieczorną wizytą w browarze. Dorożka z powodu tego makabrycznego wypadku trafiła do Muzeum Powozów w Lizbonie i można ją tam oglądać do dziś.

Ten artykuł tak zainteresował Joaną, że co rusz zaglądała siedzącemu obok niej mężczyźnie przez ramię. Tak go to zeźliło, że w końcu oddał jej gazetę. Jego złość nie trwała jednak długo. Kiedy Joana skończyła czytać, dał się poczęstować jednym ze słodkich chlebków, które upiekła dla siebie na powrotną drogę. Zaczęli rozmawiać. Przez kolejną godzinę poruszyli wiele tematów, których zwykle nie porusza się z przygodnymi współpasażerami, w związku z czym Roberto poczuł się zobowiązany, aby zaproponować Joanie kolejne, już zaplanowane spotkanie. Joana wyraziła na nie zgodę zauroczona gorącym spojrzeniem Hiszpana.

Rozpoczął się okres bujnego, choć niekoniecznie stabilnego rozkwitu uczuć Joany. Chodzili, trzymając się za ręce i wymieniając pocałunki. Roberto zawsze odprowadzał Joaną pod drzwi, czasem zostawał dłużej. Całym tym randkowaniem narazili się wścibskiej sąsiadce, której uwaga skupiona zazwyczaj na Antoniu i Clarze, zyskała teraz nowy, może nawet ciekawszy obiekt.

- Wy też zbereźni, jak i reszta! - krzyczała na nich nieraz z okna. - Świat upada! Matka wam w skórę nie dała! - wrzeszczała przez otwarte okno swojej zakurzonej sypialni.

Na szczęście nikt poważnie nie traktował teorii wygłaszanych przez gderliwą sąsiadkę, życie było zbyt absorbujące, żeby się nimi przejmować.

Joana dalej piekła swoje bułeczki i rogaliki, mając nadzieję, że Roberto zajada je ze smakiem i podziwem dla jej umiejętności. Ale Roberto nie lubił ani słynnych brązowych chlebków z rodzynkami, ani rogali z gładkiej, białej mąki.

Joana to czuła. Każdy, kto ma choć krzytną intuicji, też by wyczuł. Roberto należał zresztą do tych osób, które myśli mają wypisane na czole i których opinie można odgadnąć, zanim wypowiedzą słowa pierwszego zdania. Prostoliniorny i w gruncie rzeczy mało subtelny nie stanowił dla kobiet żadnej tajemnicy.

Dlatego któregoś dnia Joana, nie mogąc już dłużej znieść grymasów ukochanego, postanowiła zmienić nieco asortyment piekarni i specjalnie dla Roberta piec nowe specjały. Zaczęła od kruchych ciastek, okrągłych, płaskich jak kartka papieru i słodkich jak marcepan. Wymagały dokładności przy formowaniu i uwagi przy pieczeniu, bo cienkie paliły się łatwo i niespodziewanie. Były wyzwaniem dla piekarza, ale dla zakochanej Joany nie było rzeczy trudnych. Upiekła je i podała jeszcze ciepłe. Roberto spróbował chętnie i bez uprzedzeń, ale mu nie smakowały.

- Kruszą się w ręce i nie donoszę ich całych do ust - skomentował.

Joana kupiła więc świeże orzechy, obtoczyła je w miodzie i sezamie, żeby się nie rozpadały, zanim zostaną zjedzone. Podpiekła je odrobinę, aż nabrały złotego koloru. Roberto powiedział, że o mało nie złamał sobie zęba na jednym z orzechów i że nie zamierza więcej narażać swojego zdrowia.

Porzuciła pomysł miodowych orzechów i włożyła do pieca minibabeczki z masą budyniową w środku. Każdą ułożyła w osobnej foremce i posypała lekko cukrem pudrem. Roberto

oświadczył, że babeczki nie wyglądają jak pełnowartościowe ciastka, bo są tak małe, że starczą zaledwie na jeden kęs, którego smaku i tak nie jest w stanie zapamiętać.

„Co robić?“, zastanawiała się Joana, gdy do drzwi jej piekarni ustawiała się kolejka. Wszystkim nowe wypieki bardzo smakowały. Klienci przychodzili nawet z odleglejszych ulic zwabieni zapachem cynamonu, czekolady i prażonego sezamu. Niektórzy wchodzili do piekarni zauroczeni wystawą z piętrzącymi się pudełkami pełnymi wypieków.

- Mniam - oblizywali palce.

- Pycha - przewracali oczami.

- Niebo w gębie - mlaskali, zachwycając się wirtuozerią Joany.

Ona jednak jakby tego nie słyszała. „Niemal złamałem sobie zęba na twoim orzechu - brzęczały jej w uchu słowa Roberta. - Smaku tych ciastek i tak nie pamiętam“.

Piekła, cukrzyła, słodziła, wygniatała i nadziewała... Ale Roberto ciągle był niezadowolony. A ona tak chciała dzielić się z nim swoją pasją!

I wreszcie nadszedł ten dzień. Wiedziała, że wykorzystała już wszystkie swoje receptury, sięgnęła i po nowe, i po tradycyjne, i po te przekazane jej przez ciotkę, po której odziedziczyła piekarnię, a nawet - o zgrozo! - zdarzyło jej się pójść do Brasileiry, by podpatrzeć, co jedna ze słynniejszych w mieście kawiarni serwuje swoim klientom. Pozostała ostatnia szansa - portugalskie słone ciastka. Solone, pikantne, palące w gardło. Nigdy wcześniej ich nie robiła. Po raz kolejny przejrzała wszystkie swoje receptury, zgromadziła kilka przepisów i zabrała się do pracy. W cienkie ciasto zawijała soloną rybę, kapustę, krewetki, twaróg z ostrą papryką.

Roberto był zachwycony! Usta rozciągał w uśmiechu, oczy mu świeciły, kiedy Joana stawiała przed nim talerz słonych przekąsek. Nareszcie umiała mu dogodzić!

Więc Joana piekła i piekła, on zajadał, a ona... męczyła się coraz bardziej. I coraz mniejszą przyjemność sprawiało jej poranne wstawanie, coraz mniej entuzjastycznie zagniała ciasto i rozgrzewała wielki piec. Marniała z dnia na dzień, jej radość gdzieś przysła. Szybko odkryła, że ciastek dla Roberta po prostu piec nie znosi. „Są słone jak łzy, które zapowiadają cierpienie”, podpowiadało jej serce. A prawdziwa Joana chciała dzielić się z ludźmi słodyczą i wywoływać dobre emocje.

Wtedy też zaczęła podejrzewać, że na trwały związek z Robertem nie ma szans. Że nie zmusi się do zmiany swojego charakteru i nie zmusi też ukochanego, by zmienił swój. Miała rację, wkrótce jej związek ze słonym Robertem przestał istnieć.

ROZDZIAŁ 21

Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz byłam sama w obcym mieście. Na irlandzkie wycieczki zawsze jeździliśmy większą grupą, w Polsce też z reguły byłam z kimś. A w Lizbonie, bez fizycznej obecności bliskiej osoby, otoczenie odbierałam zupełnie inaczej... jakby głębiej, mocniej. Czy dlatego Dominik zawsze podróżował sam?

Siedziałam przy stoliku kawiarnianym wystawionym na zewnątrz i obserwowałam starszą parę przy stoliku naprzeciwko mnie. Rozmawiali żywiołowo, śmiali się, a mężczyzna co rusz całował kobietę w wierzch dłoni. Wyglądali, jakby byli na randce, jakby odnaleźli miłość po latach tkwienia w niewłaściwym miejscu przy boku niewłaściwej osoby i dopiero teraz odkrywali radość, jaką można czerpać z obecności kochanego człowieka.

Spoglądając co jakiś czas na parę, przewracałam kartki lizbońskiego przewodnika. Manuskrypt odnaleziono w stercie pozostawionych przez autora papierów, a wydany został w Portugalii dopiero po sześćdziesięciu siedmiu latach od napisania. Biedny Pessoa najwyraźniej nie znalazł uznania wśród współczesnych.

Przewróciłam kilka kolejnych stron i mój wzrok padł na znajomą nazwę: wzgórze Santa Catarina.

To jeden z najwspanialszych punktów widokowych; gromadzą się tu prawdziwe tłumy, zwłaszcza wtedy, gdy wyjątkowo spektakularna flotyła wypływa na rzekę, albo w te noce, gdy nad Tagiem wybuchają fajerwerki dla uświetnienia jakiejś uroczystości.

Zainspirowana wstałam od stolika i skierowałam się w stronę wzgórza. Było niedaleko mojego schroniska. Flotyli ujrzeć się nie spodziewałam, fajerwerków też raczej nie, ale chciałam zobaczyć panoramę Białego Miasta, jak pisał o nim Pessoa.

Szłam, wdychając obiadowe zapachy rozchodzące się z barów, i myślałam o Teresie. Fado musiało być jej niezwykle bliskie, tak bardzo zmieniała się, kiedy o nim mówiła.

Teresa nie należała do łatwych rozmówców, nie powiedziała mi nic więcej poza tym, że Rosa śpiewała fado. Uświadomiłam sobie, że z całej naszej rozmowy została mi tylko ta jedna wskazówka, jeden ślad - fado i dom Amalii Rodrigues. Teresa powiedziała, że w tym domu mogę dowiedzieć się więcej. Czego dokładnie? Nie wiem. Był to jednak jedyny punkt zaczepienia i nie mogłam go zignorować.

Dotarłam na przystanek Elevador da Bica. Czekający na pasażerów tramwaj wyglądał na stuletni zabytek - żółty, z drewnianymi oknami i jednym reflektorem z przodu. Trasa nie miała więcej niż trzysta metrów, a przejazd nie mógł trwać dłużej niż kilka minut. Motorniczy czekał, aż zbierze się odpowiednia liczba chętnych do przejażdżki. Spacer w dół wzdłuż torów również nie trwałby długo, ale idąc śladem kobiety w błękitnej bluzce, zajęłam miejsce na drewnianej ławce. Koniecznie chciałam przejechać się tym tramwajem. Nie bacząc na to, że zamiast skrócić sobie drogę na Santa Catarina, trochę jej nadkładałam.

Wagon nie był duży. Na przedniej ławeczce mogły usiąść co najwyżej trzy przytulone do siebie osoby, podobnie na dwóch z tyłu. Stanowisko motorniczego znajdowało się na przodzie, tuż przed naszą ławką, nie było oddzielone żadną przegrodą, szybką ani nawet fotelem.

Minuty mijały, a nic się nie działo. Siedziałyśmy tak we dwie: ja wyczekująca i kobieta w błękicie, patrząca gdzieś przed siebie. Po chwili wsiadło małżeństwo z dwójką dzieci hałasujących za naszymi plecami. Wszyscy czekaliśmy na początek podróży.

Gdybym zeszła po stromych schodkach, byłabym już w połowie drogi. Nie miało to jednak znaczenia. Nigdzie

przecież się nie śpieszyłam. Co więcej, miałam nieodparte wrażenie, że od jakiegoś czasu wskazówki zegara biegają w tył zamiast w przód. Czytając przewodnik Pessoa, cofałam się w czasie, próbując zobaczyć to, co widział on, gdy zbierał materiały do swojej książki. Dostrzegałam dzięki temu więcej, a nawet - tak mi się zdawało - czułam więcej. Mijane budynki, przystanki tramwajowe, place, kawiarnie i toczące się w nich codzienne życie - wszystko to nabierało jakiegoś większego znaczenia i większej wartości przez sam fakt, że ktoś tak troskliwie je dawno temu opisał. W chaosie elementów składających się na miasto odnajdywałam harmonię. I ten spokój, ta podróż w czasie, a w zasadzie „przeciw czasowi”, była dla mnie czymś nowym i ekscytującym.

Trzeba przyznać, że zza drewnianych, podsuwanych do góry okien tramwaju świat wyglądał ciekawiej. Motorniczy stojący kilka metrów od nas plotkował z sąsiadem, dzieci krzyczały do siebie z balkonów, ignorując oddzielającą ich domy ulicę, a w oddali trąbiły samochody.

Wreszcie motorniczy, mężczyzna w średnim wieku w nienagannie wyprasowanym mundurze, dzwonkiem przypominającym dźwięk starego telefonu obwieścił odjazd. Ruszyliśmy. Grube liny wiekowego mechanizmu ukrytego pod powierzchnią tramwajowej alejki zaczęły powoli spuszczać nas ku dołowi. W tym samym czasie tramwaj stojący na dole rozpoczął podróż w górę...

- Uwielbiam ten pojazd - odezwała się do mnie nagle kobieta w błękitach.

Spojrzałam na nią zaskoczona.

- Nie jesteś stąd, prawda? Lubię turystów i lubię ten tramwaj - mówiła dalej, nie czekając na moją odpowiedź.

Przyjrzałam się jej dokładniej. Zniszczona twarz zdradzała jej dojrzały wiek i ciężkie życie. Włosy miała spięte niedbale w kok, kosmyki zwichrzonych słonym wiatrem włosów

uciekały spod gumki. Obok, oparta o jej biodro, stała skórzana męska torba, z której, co ze zdziwieniem odkryłam, wystawały cholewki czarnych jak smoła kaloszy.

Kobieta nie patrzyła na mnie, jej wzrok błędził po ścianach pobliskich kamienic. Była spokojna, obecna i nieobecna zarazem. Nie przerywała swojego monologu.

- Tutaj mogę spotkać różnych ludzi i z nimi porozmawiać, podzielić się myślą. Wymienić słowa.

Stojący przed nami motorniczy spojrzał na nas i zagadnął kobietę, jakby ją znał od dawna. Zaśmiała się jak z dobrego dowcipu, po czym zamilkła długą, smutną ciszą. Tramwaj zaskrzypiał i motorniczy pociągnął za sznurek od dzwonka. Byliśmy na dole.

ROZDZIAŁ 109

W taki dzień jak ten, Antonio pozwalał zjadać dzieciom podwójną porcję budyniu. Jego żona Clara była już od kilku godzin w pracy, ale on miał dzisiaj wolne. Dwa razy w tygodniu mógł spać co najmniej do ósmej rano, dopóki najmłodsze z dzieci nie zaczynało nudzić się w swoim łóżku i wołaniem: Papai, venha ca, eu quero comer! (Tato, przyjdź tutaj, chce mi się jeść!), przypominać swojemu papai o codziennych ojcowskich obowiązkach. Takie okrzyki oznaczały, że Antonio musi wstać i przyrządzić śniadanie dla siedmioletnich bliźniaków, pięcioletniego Tita i trzyletniej Madaleny. Najstarsza z rodzeństwa, Beatrice, była już dawno zajęta swoimi sprawami i nie wymagała ojcowskiej uwagi.

Antonio również mieszkał na Rua de Sao Paulo. Był rybakiem. Wypływał kilka razy w tygodniu, niemal w nocy, na morze i łowił morskie przysmaki sprzedawane potem na Mercado da Ribeira (Mercado da Ribeira - jeden z największych targów w Lizbonie, mieści się przy Avenida 24 de Julho.). Nigdy nie znikał na dłużej niż parę dni, ale dawniej, kiedy na większym statku pływali z załogą po oceanie, zdarzało się, że nie było go w domu tydzień albo i dwa. Kiedy wracał, był już tak opętany myślą o czekoladowym ciecie młodej żony, że zaraz po nasyceniu żołądka potrawką ze smażonych papryk, pomidorów i oberżyny (na ryby Antonio już nie mógł patrzeć) lądował w pościeli, łącząc się z Clarą w miłosnym uniesieniu.

Dzieci rodziły się w regularnych dwuletnich odstępach, aż w końcu Clara powiedziała „dość” i zakazała Antoniowi długich oceanicznych wypraw. Kochali się teraz rzadziej, ale Antonio nadal żył pod urokiem żony. Myślał o niej, kiedy wyciągał ciężkie sieci z morza, kiedy w wolne poranki popijał miniaturową bica, gawędząc z sąsiadami, kiedy budził się późnym rankiem, tak jak dziś, i przypominał sobie, że Clara

od kilku godzin jest już w pracy. Oboje szerzyli wśród sąsiadów zgorzienie, podszczypując się i głośno śmiejąc na ulicy.

- Tych dwoje to zboczeńcy - zwykła mawiać ich sąsiadka z kamienicy. - Nie mają strachu przed Bogiem. Tacy starzy, a zachowują się jak dzieci - marudziła, gdy tylko małżonkowie pojawiali się w polu jej widzenia.

Antonio i Clara nic sobie nie robili z podobnych komentarzy. Wzrok Antonia nadal ślizgał się po dekolcie Clary, kiedy ta pochylała się, żeby ucałować na dobranoc któreś z dzieci, i w chwilę potem, gdy ta poważna w pracy i rozsądna kobieta, figlarnie i radośnie przytulała się do niego z nastoletnim raczej niż małżeńskim entuzjazmem.

Jeśli się sprzeczali, ich kłótnie nigdy nie trwały długo. Głównie dlatego, że Antonio nie rozumiał, jakie przekleństwa rzuca na niego Clara w uniesieniu. Clara urodziła się na jednej z Wysp Zielonego Przylądka i w decydujących momentach zawsze przechodziła na kabowerdyjski kreolski. Potoku słów wyrzucanych z zawrotną prędkością nie sposób było zrozumieć. Antonio początkowo bardzo się denerwował, ale później stwierdził, że ta sytuacja jest niezwykle wygodna. Dlatego zwykle czekał, aż temperament małżonki osłabnie i przemówi ona znowu jego językiem.

Od jakiegoś czasu mały Tito, po spałaszowaniu miski popołudniowego budyniu, biegał przed domem w poszukiwaniu towarzyszy przerwanych godzinę wcześniej zabaw.

- Są! - wykrzyknął, widząc grupkę chłopców strzelających zza rogu z pomarańczowych karabinów. - Tratatata! Tratatata!

ROZDZIAŁ 23

- Wyglądam jak encyklopedia nieudanego życia - mówi Fernando, patrząc na swoje odbicie w lustrze wiszącym w sypialni. - Twarz blada, zaszuszone, brwi za grube, a bez okularów oczy małe jak guziki od starej marynarki. Nawet mój szef jest bardziej żywy! Ma dziarskie rumieńce i wyraźnie zarysowany nos.

Chlusta zimną wodą w twarz i pociera ją mocno szorstkim ręcznikiem. Skóra, zamiast się zaróżowić, staje się jeszcze bardziej blada, a mokre włosy ukazują zakola.

- To przez ten upał - spogląda przez okno. - Moje myśli robią się gęste i lepkie. Bujność życia za oknem nie współgra z moim wnętrzem. Wypalam się! I w dodatku jestem spóźniony - uprzytamnia sobie.

Ulica, choć zazwyczaj różnokolorowa, tym razem poddała się słońcu, które skradło jej wszystkie barwy, w zamian dając tylko biel. Jasność jest wręcz nieznośna dla oczu. Fernando mija niewielki kościół, chłodem wnętrza zapraszający do środka.

„Dym z kadzideł wsiąknął w stare ławki, czuć go nawet tutaj”, myśli, nie zwalniając kroku.

Wąski chodnik schodzi ostro w dół, wzdłuż kantorków rzemieślniczych o tej porze pozamykanych. Każdy kto może, chroni się przed upałem w cieniu własnego mieszkania. Koty odpoczywają pod roslymi krzewami przy ruinach Igreja do Carmo.

- Taka piękna budowla, a trzęsienie jej nie ominęło - wzdycha. - Moja Lizbona. Gdzie bym się podział, gdyby jej nie było?

Idzie dalej w dół. Largo do Rossio przeziera już przez dachy niżej położonych domów. Kamienice na placu są bardziej zadbane niż w innych częściach miasta. Czyste okna i

wymiecione chodniki nie pozwalają wątpić, że to tutaj właśnie mieści się główna arteria miasta.

Fernando ustawia się w kolejce na przystanku tramwajowym. Jest tam już kilka osób, pomiędzy nimi zauważa młodą, piękną dziewczynę w zielonej sukience. Nie podziwia jednak jej niebywałej urody i ponętnych ust, gdyż całą jego uwagę przykuwa sukienka z kremowym haftem oplatającym szczupłą talię kobiety oraz jej okazałych rozmiarów piersi. Haft wiję się kształtami łądyg różnorodnych kwiatów i muszli wypełnionych kremową koronką. Faluje przy każdym ruchu ciała. Hipnotyzuje. Fernando próbuje znaleźć jakiś logiczny porządek rozbieganych linii, ale one krzyżują się i płaczą, by zgiąć nagle w jakimś ornamencie, to znów pojawić w zupełnie nowej formie. Zafascynowany tym zjawiskiem Fernando oczyma wyobraźni widzi ręce zręcznej hafciarki wyszywającej w skupieniu wzór białą nicią na zielonej tkaninie. Widzi, jak hafciarka mruży oczy, aby uzyskać większą dokładność, jak kłuje się w kciuk, trafiwszy na zgrubienie materiału. Szwaczek jest kilka. Siedzą w przestronnym pomieszczeniu i nie odzywając się do siebie, wykonują swoją mrówczą pracę. Suknie, które szyją, są podobne, choć każda nieco inna. Gatunek materiału jest ten sam, ale mimo jednolitej faktury tkaniny, zieleń jednej sukni nieznacznie różni się od zieleni wziętej z innej beli.

Tramwaj nadal nie przyjeżdża, ale nikt się nie niecierpliwi. Tylko Fernando w którymś momencie, odrywając wzrok od haftu, mówi:

- Pójdę dalej piechotą. - I rusza przed siebie, choć wolałby przejechać się tramwajem. - Tego nie da się wytrzymać! - wykrzykuje jednak po kilkunastu krokach, rozzłoszczony. - Zajdę najpierw do Cafe Martinho da Arcada. Wolę się spóźnić, niż paść jak mucha w tym skwarze.

Przecina kolejne skrzyżowania, przechodzi pod Arco da Rua Augusta (Arco da Rua Augusta - Łuk Triumfalny na Praça do Comercio.), w który doskonale wpisuje się stojący na Placu Pałacowym posąg konny niezapomnianego Józefa I. Skręca w lewo i wpada prosto w ramiona właściciela kawiarni - Augusta o anielskim sercu.

- Witaj, Fernando! Stolik ten co zwykle, nieprawdaż? Czeka na ciebie nietknięty - Augusto wita go rubasznie.

Kawiarnia wyłożona jest drewnem stwarzającym ciepły, przytulny nastrój. Na ścianach wiszą obrazy, a przez jedno z wąskich okien wpada przytłumione kotarami światło. Stolik, przy którym Fernando zwykł siadać, ma szary marmurowy blat i wciśnięty jest w najdalszy koniec kawiarni, tuż za łukiem podtrzymującym sklepienie. Fernando wybiera to miejsce, bo lubi widzieć całą kawiarnię, nie będąc jednocześnie wystawiony na spojrzenia innych gości.

- Jednego proszę - mówi do kelnera, zajmując krzesło.

W chwilę potem łąduje przed nim szklanka z mocnym absyntem. Podnosi ją szybko, jakby bojąc się, że zawartość zaraz zniknie, i opróżnia całą.

„Jak dobrze”, myśli, czując w gardle przyjemne orzeźwienie rozchodzące się pomału na resztę ciała. Jest już lepiej, ciało osiąga swoją właściwą temperaturę, pot nie spływa już strużkami z czoła.

- Jeszcze jeden - podnosi rękę w geście zamówienia. Oddycha głęboko i rozgląda się po kawiarni. Nie ma tłumy, dwóch mężczyzn popija kawę, opierając się niedbałe o ladę, trzeci pali cygaro, co jakiś czas przepłukując gardło takim jak Fernando napojem.

Poeta czuje, jak wszystkie spięte mięśnie rozluźniają się. Ciało zaczyna odpoczywać. Można wreszcie skupić się na własnych myślach. Sięga po napełnioną po raz trzeci szklanekę

i w tym momencie zauważa siedzącego w przeciwległym kącie sali Maria.

- Tutaj! - woła przez całą salę.

Mario wstaje, gasi papierosa w popielniczce i przenosi się do stolika Fernanda.

- Coś taki markotny? - pyta Fernando, kiedy zauważa na twarzy przyjaciela grymas zmartwienia.

- Nie widziałeś? Zmiażdżyli nas! Nazwali twórcami bezsensu i niewyobrażalnej miernoty! Patrz: krytyka „Orpheu"! Wszyscy protestują! Nikt nas nie kupi, fama poszła w świat! Nienawidzę ich! - wali pięścią w stół, niemal zrzucając przy tym szklanę Fernanda.

Fernando kuli ramiona i spuszcza głowę. Przeczuwał to. Po raz kolejny doznaje tego samego uczucia - kompletnego niezrozumienia przez innych. Jak może nazywać się twórcą, skoro jego tworzenie nie ma racji bytu? Kim on jest? Marnym cieniem swoich własnych wyobrażeń!? Nikt go nie wydaje. Pisze przewodnik, którego pewnie nikt nie przeczyta. Jest zmęczony, wszędzie się spóźnia. Drzewa w parku i kaczki w Tagu go przeżyją! Słuch po nim zaginie, gdy tylko wyda ostatnie tchnienie.

- Tworzyć, by zostać zrozumianym, to prostytuować się - mówi przez ściśnięte gardło do Maria, zadając sobie tymi słowami jeszcze większe cierpienie. - Wolę być uważany za dziwaka, za prostaka, za kogoś innego, niż jestem, niż dążyć za wszelką cenę do tego, by mnie rozumiano. Lepiej się napijmy.

Zamawiają kolejkę. Fernando już więcej się nie odzywa. Wodzi wzrokiem po czarnych literach w gazecie, przekreślających ich pracę. Serce ma ciężkie, ale ręka lekko sięga po kolejne szklanki absyntu. Mario nadal jest wzburzony, co jakiś czas wykrzykuje przekleństwa pod adresem skostniałych, zacofanych krytyków wiodzących

wszystkich za nos. Jego twarz nabiegła krwią, wlewa w siebie alkohol niczym wodę, niemal dorównując tempu Fernanda.

- Nie mam zamiaru zostać w Lizbonie. Ty poprowadź kolejny numer. Ja wracam do Paryża! - oświadcza w przypiływie gniewu.

Kiedy wychodzą z Cafe Martinho, jest już noc. Poświata księżycyca rozświetla lizbońskie niebo. Ulice są ciche, tylko jakiś samochód mknie nadbrzeżem. Trzeba iść do domu.

- W którą stronę jest dom? - Fernando patrzy na Maria, ale ten nie zamierza odpowiadać. Bierze przyjaciela pod ramię i prowadzi go do swojego mieszkania.

ROZDZIAŁ 24

Zjechałam żółtym tramwajem na dół, a po chwili już wspinałam się w stronę wzgórza Santa Catarina. Szłam jednak inną uliczką - węższą, mniej ludną, a przez to ciekawszą. W miarę jak pokonywałam kolejne metry trasy, szum samochodów i autobusów milkł i zaczęły się pojawiać odgłosy domowego życia: z radia na parterze dobiegała muzyka, z drugiego piętra miauczenie kota, który wylegiwał się na parapecie, a teraz w pogoni za przesuwanym się słońcem musiał przenieść się dalej, krzyki dzieci ścigających się w karabinowej bitwie od podwórka do podwórka. Tu też były kamienice nadgryzione przez czas. Kilka domów niezamieszkanymi, popadających w ruinę, stało tuż obok tych zadbanej dzięki przywiązaniu i trosce ich mieszkańców. Wzdłuż uliczki ciągnął się rząd warsztatów ziejących chłodem z ukrytych przed światłem wnętrza. Krawiec, szewc, jakiś kantorek z częściami metalowymi.

Kryjąc się przed gorącym popołudniowym słońcem, dotarłam do małego skwerku z dwoma metalowymi stolikami i krzesłami wtopionymi w chodnik. Moje wyostrzone zmysły rejestrowały wszystko, co się działo. Czułam, jak przestrzeń wokół mnie powiększa się. Widziałam więcej, wyraźniej.

Gołębie gruchały gdzieś na dachach, a tuż za moimi plecami stado wróbli urządziło koncert tak piskliwy, że nawet kot podniósł się z parapetu i rozglądał, sprawdzając, skąd dobiega ten ptasi gwar.

Zajęłam jedno z krzeseł częściowo skrytych w cieniu wielkiego drzewa i wyciągnęłam plan miasta. Tak naprawdę znajdowałam się blisko schroniska. Kilkaset metrów w dół i byłabym przy kiosku w błękitnej bramie, kilkadziesiąt w górę i będę na szczycie Santa Catarina.

Strzelanie z karabinów wyraźnie zbliżało się do mnie, aż jakiś umorusany malec przebiegł przed moim nosem i skrył

się za parkanem oddzielającym ulicę od niewielkiego podwórka. Za nim galopowała trójka innych dzieciaków, krzycząc coś niezrozumiale. Kiedy zniknęli mi z oczu, zapadła cisza. Obejrzałam się za siebie z niejasnym poczuciem, że ktoś mnie obserwuje. I wtedy zobaczyłam JA.

W drzwiach balkonu kamienicy, dwoma przednimi nogami na zewnątrz, a dwoma tylnymi jeszcze wewnątrz, stał fotel. Potężny, zielony, aksamitny. W fotelu siedziała kobieta w szerokiej spódnicy i falbaniastej bluzce. Patrzyła na mnie, obserwowała mnie, a to, że ją na tym przyłapałam, najwyraźniej nie zrobiło na niej żadnego wrażenia. Jej oczy śledziły każdy mój ruch, ale ręce, sprawne i zręczne, dziergały coś na drutach. Wpisała się w krajobraz obdrapanej kamienicy tak dobrze, że początkowo zupełnie jej nie spostrzegłam. Przez chwilę nasze spojrzenia trzymały się siebie kurczowo, jakbyśmy mierzyły swoje siły, po czym obie nagle spuściłyśmy głowy.

Nie był to pierwszy raz, kiedy czułam się w tym mieście tak, jakbym naruszała granicę intymności, lokalności. Bo tutaj podwórko i ulica były przedłużeniem domu. Granice zacierały się, znikwały. Uliczne odgłosy wnikały przez otwarte okna do domów, głosy domowników wychodziły na ulicę. Radio grające w kuchni mieszało się z warkotem samochodów hamujących na światłach. Dym z grilla rozstawionego na podwórku łączył się z zapachem gotowanej w domu kaszy.

Zatrzymanie się w tak mało anonimowym miejscu miało swój urok. Można było przez chwilę poczuć się częścią Lizbony, stałym elementem krajobrazu. Chciałam się tak poczuć! Choć raz być częścią czegoś! Zbyt często czułam się samotna. Miałam wrażenie, że wszyscy wokół wtapiają się w jakiś złożony, większy obraz - rodziny, przyjaciół, powiązań zawodowych, planów na przyszłość... że nie żyją tylko dla

siebie... Że tylko jak tak trwam, czy raczej dryfuję - wolna, samodzielna i zmęczona niezależnością.

Kobieta w oknie nie mogła słyszeć moich myśli, a jednak przez chwilę miałam wrażenie, że patrzy na mnie z litością osoby wiedzącej, co czuję. Złudzenie nie trwało długo. Odplynęło razem ze szczekaniem przebiegającego psa, które zakłóciło chwilowy bezruch.

Ruszyłam dalej. Skręciłam w prawo, tam gdzie droga wspinała się jeszcze wyżej. Kilka kroków i dotarłam na szczyt Santa Catarina. Widok, jaki ujrzałam, niewiele różnił się od opisanego przez Pessoa. Stojąc tutaj, można było poczuć, że miasto leży na wzgórzach. Falująca metropolia, z domami postawionymi niemal jeden na drugim, uderzająca różnorodnością, mamiąca kolorami - pastelami tynków, bielą okien, błękitem i zielenią okiennic. Ciasno zabudowana, opowiadająca wesołe i smutne historie, z góry wydawała się chaosem czerwonych i pomarańczowych dachów. To właśnie Lizbona, pisał w swoim przewodniku Pessoa.

Na skwerku nie było pusto. Grupka niedbale ubranych osób siedziała na ławkach i niskim ogrodzeniu. Dwa psy ocierały się o nogi stojących w oczekiwaniu na chwilę uwagi. Kilku mężczyzn paliło papierosy, jeszcze inny żonglował małymi piłeczkami, dwie kobiety ochrypłymi głosami tłumaczyły coś głośno. Z kieszeni jednej z nich wystawała butelka piwa. W powietrzu unosiła się beczynność i jakaś determinacja w dążeniu do utrzymania się na powierzchni życia.

Otworzyłam torbę. Kiedyś Dominik zapytał mnie, czy jakaś rzecz ma dla mnie wartość inną niż materialna. Wtedy nie zastanawiałam się nad tym. Ale w imię wspomnień, którym z niezrozumiałych powodów pozwoliłam teraz odżyć, przeszukałam plecak. Gdy skończyłam, zdałam sobie sprawę, że w całej powodzi rzeczy tak naprawdę przywiązana jestem

tylko do jednego drobiazgu - małego słonika z kości słoniowej, którego nosiłam od kilku lat w portmonetce razem z brzęczącymi monetami i nachodzącą mnie czasem żądzą posiadania rzeczy zbędnych.

Słonik był kremowy, o ledwo zarysowanych kształtach, z trąbą wbrew przesądom skierowaną w dół. Przez środek jego beczułkowatego brzucha przechodził korytarz, dziura mała, ale wystarczająco duża, by przewlec przez nią rzemyk i w razie potrzeby zawiesić słonika na szyi. Nie byłam przesądna, a to nie był amulet. Kupiłam go dawno temu w indyjskim sklepiku w miejscowości, gdzie spędzałam wakacje, wyjadając oblepione piachem pomidory z ogródka jednej z moich licznych ciotek. Miałam naście lat i żadnego chłopaka. Obracając kremowego słonika w dłoni, powiedziałam sobie wówczas, że podaruję go mężczyźnie mojego życia, jeśli dane mi będzie kiedyś takiego spotkać.

Słonik towarzyszył mi od tamtej pory wszędzie. Miałam go na maturze, nudził się razem ze mną na wykładach uniwersyteckich, pojechał też do Dublina.

Tylko raz przyszło mi do głowy, by go komuś podarować.

To było w Amsterdamie, do którego pojechałam w ramach wymiany studenckiej. Zobaczyliśmy się pod Muzeum Van Gogha. Ja z biletem wstępu w dłoni, kupionym za ciężkie jak na kieszeń studencką pieniądze, czekałam, kiedy otworzą i będę mogła spojrzeć na żywe niemal obrazy podziwianego przeze mnie wówczas malarza. On siedział na placu przed muzeum i patrzył w niebo. Nie zwracał na mnie uwagi, równie dobrze mogło mnie tam nie być.

W pewnej chwili usłyszałam znajomy głos:

- Alicja! Tutaj! - Przyjaciółka, z którą się umówiłam pod muzeum, machała mi z przeciwległego końca placu.

Przemaszerowałam kilkadziesiąt metrów i kiedy przysiadłam się do Agaty, spojrzałam w stronę przeciwległych

ławek, by sprawdzić, czy chłopak nadal tam jest. I właśnie w tym momencie moje spojrzenie natknęło się na jego wzrok i na ułamek sekundy zaiskrzyło.

Chwilę później siedzieliśmy już w trójkę, gadając, dyskutując i licytując się znajomością rockowych zespołów. Miał na imię Marcin i Amsterdam był przystankiem w jego drodze z Polski do Londynu, w którym mieszkał z rodziną od kilkunastu lat.

Nad moją głową przeleciał samolot. Spojrzałam w górę - na niebie po raz pierwszy od mojego przyjazdu do Lizbony pojawiły się chmury. Słońce wychodziło zza nich, to znów się za nimi kryło. Długie cienie w kształcie obłoków kładły się na mieniący się srebrem Tag, który w jednej chwili zmienił barwę na grafitową czerń.

Poprawiłam chustkę na szyi i wróciłam do wspomnień. Moja pamięć rozciągała się jak worek z gumy - mieściła obrazy przeszłości dalszej i bliższej, wrzucone jeden obok drugiego, przykryte tym, co terazniejsze, choć już przemijające.

Pamiętam Marcina, ale wspomnienia z Amsterdamu, zasnuwane niepewnością chwili, rozedrganiem i tęsknotą towarzyszącymi mi od naszej pierwszej rozmowy, niemal zupełnie zniknęły z mojej głowy. Z widoków miasta zostały migawki zaledwie, majaki osoby brutalnie wyrwanej ze snu.

Chodziliśmy ulicami, zajadając szaszłyki z warzyw i kurczaka, i przystawaliśmy przy kanałach, żeby herbatnikami z Polski karmić grube kaczki. Marcin przeniósł się do naszego hostelu i zamieszkał na dolnej części mojego piętrowego łóżka. Przez kilka krótkich dni spędzaliśmy poranki w należącym do hostelu barze, gdzie jedliśmy jajecznicę zawiniętą w serwetki i piliśmy herbatę z mlekiem w małych szklankach, a potem włóczyliśmy się bez celu po mieście.

Poranny Amsterdam był chłodny, jasny i nieznany. Pachnący słodką trawą lump, tego samego dnia, w którym się spotkaliśmy, nienaganną angielszczyzną poprosił nas o drobne. Marcin bez zastanowienia pogrzebał w kieszeni i położył na jego brudnej dłoni dwa guldeny, tak szybko, że nawet nie zdążyłam zaprotestować.

To był drobny gest, ale dla mnie miał kolosalne znaczenie. Uwierzyłam, że Marcin jest dobrym człowiekiem.

Tamtego lata było całkowite zaćmienie słońca. Czekaliśmy nad kanałem ciągnącym się wzdłuż oszczędnych w detale kamienic. Wszyscy czekali, nawet jadący rowerem mężczyzna w powiewającym płaszczu płaczącym się wokół pedałów znalazł chwilę, żeby przystanąć. Nie byliśmy dobrze przygotowani do oglądania tego wyjątkowego zjawiska. W ostatniej chwili odcięliśmy z ocalałej taśmy fotograficznej trzy równe kawałki i przystawiliśmy je do oczu. I nagle się zaczęło - czarny, idealnie równy kształt przykrył gorejącą kulę. W ciągu kilku sekund zapadł zmierzch. Ciężki i groźny, niemal nadnaturalny. Odchyliliśmy głowy, żeby lepiej wszystko widzieć, żeby utrwalić ten moment, zapamiętać go na całe życie. O czym każde z nas myślało? Nie wiem. Przez tę jedną chwilę byliśmy sami z sobą, ze swoimi najskrytszymi pragnieniami i lękami.

Następnego dnia znowu karmiliśmy kaczki, a Marcin paradował w holenderski ziąb w krótkich spodenkach, bo resztę rzeczy oddał do pralni, jakby nie mógł tego zrobić w Polsce.

Wtedy - i chyba tylko wtedy - naprawdę żyłam chwilą. Czulałam, że to nie będzie trwać wiecznie, ale nie przejmowałam się tym. Tkwiące we mnie od zawsze dążenie do utrzymywania w sercu i w umyśle porządku zostało zachwiane i z zaskoczeniem odkryłam, że jest też we mnie pragnienie życia z rozmachem, szaleństwem i bez logiki.

Chciałam tańczyć nad krawędzią przepaści, mając jednocześnie pewność, że w razie czego jest ktoś, kto mnie w porę złapie. I wtedy właśnie balansowałam na krawędzi - przyjmując pocałunki Marcina i dusząc w sobie każde pytanie, które mogło zagrozić tej cudownej bajce.

Agata patrzyła na wszystko z boku, kiwając ze zrozumieniem głową, jakby wiedziała, że nic nie trwa wiecznie i że z tego, co trwa, trzeba czerpać pełnymi garściami.

To był ostatni dzień w Amsterdamie. Siedzieliśmy w hostelowym barze, trzymając się za ręce i nie mówiąc wiele. Tylko ja i Marcin. Na stole leżał błękitny delfinek, breloczek, który Marcin kupił od głuchoniemego wędrującego po knajpach i zbierającego datki na jakiś szczytny cel. Pijąc bawarkę, której smaku wciąż nie lubiłam, pomyślałam, że chciałabym, aby jednak coś w pamięci Marcina po mnie zostało. Jakiś drobiazg, jakieś wspomnienie.

Byłam pewna, że to koniec i ta nieuchronność ciążyła, choć jednocześnie w jakiś sposób cieszyłam się, że tak to wygląda. Że przeżyłam coś fantastycznego, a teraz zbieram się i idę dalej. Nie przewidziałam, że dojmująca samotność przyjdzie do mnie wraz z ostrym gwizdem konduktora oznajmiającego odjazd pociągu, który miał zawieźć mnie w głąb Holandii, już tylko ze wspomnieniem przeżytej przygody.

Kremowy słonik pozostał jednak przy mnie. Zwyciężył rozsądek. Nie chciałam więcej myśleć o Marcinie, nie miałam więc prawa wymagać, aby on o mnie myślał. Żadnych listów, pamiątek, zdjęć - taką podjęłam decyzję i miałam zamiar się jej trzymać.

Po powrocie zawiesiłam amsterdamskie przeżycia na kołku. Bez tęsknoty, obietnic, rozczarowań. Kilka tygodni później kupiłam sobie bordową sukienkę, zwiewną i romantyczną. Stałam w tej sukience przed lustrem i widziałam

kobietę, na którą nie ma kto patrzeć. Której nie ma kto podziwiać. Której nie ma kto dotykać. I wtedy coś we mnie pękło. Popędziłam do najbliższej budki telefonicznej. Przez kilkanaście minut próbowałam wykręcić trzynastocyfrowy numer. Jak w złym śnie plątały mi się cyferki, sygnał milkł, to znów włączał się, zanim dobiegłam do końca. I kiedy wreszcie mi się udało i Marcin na drugim końcu linii powiedział swoje nosowe „halo”, jakiś pijak wyrwał mi słuchawkę, krzycząc: „Kurwa, gadasz już godzinę!”. Potraktowałam to jak znak, choć nie jestem przesądna. Nie zadzwoniłam do Marcina nigdy więcej, pozwalając, by z letniej miłości na jesieni zrobiła się marmolada.

O Marcinie starałam się nie myśleć od tamtego czasu. Nie zastanawiać się „co by było gdyby”, na przykład gdybym się do niego dodzwoniła. Moje serce pozostało puste. Tęskne myśli gasiłam, zanim się pojawiły.

- Stare czasy - westchnęłam, zupełnie jak Dominik przeglądający listy w kufrze. Pewnie, że chciałabym się zakochać. Chciałabym? Tak, raczej tak. Przypuszczam, że byłoby to wskazane. Problem w tym, że nie mogę. Nie ma takiej osoby obok mnie, która miałaby dość cierpliwości, by czekać, aż się przebudzę z zimowego snu. Nie ma takiej, która pociągałaby mnie wystarczająco mocno, zafascynowała. Więc tak sobie żyję i żyję, wygodnie i niewygodnie zarazem, szczęśliwie i ponuro jednocześnie.

Na wzgórzu zapachniało słodyczą świeżo wyciskanych pomarańczy. Rozejrzałam się, szukając źródła zapachu, i wtedy zobaczyłam plakaty. Wisiały rzędem, jeden przy drugim, na płocie okalającym piękną willę, najwyraźniej remontowaną. Było ich mnóstwo. Czarne litery głosiły: „fado concerto”, a mniejszy druk informował o godzinach i datach imprez.

Czy wszyscy tutaj powariowali na punkcie fado?, pomyślałam.

Wstałam z ławki i przeniosłam się na niski murek przylegający do krawędzi tarasu widokowego. Tutaj plakaty nie wchodziły w pole mojego widzenia, ale zapach owoców nadal dochodził do moich nozdrzy. Szybko zlokalizowałam źródło tego zapachu— z maleńkiego sklepu u wylotu ulicy sprzedawca zaczął wynosić kosze z owocami na zewnątrz. Może dopiero teraz otworzył sklepik, a może z powodu braku klientów postanowił przeorganizować sprzedaż. Może właśnie wycisnął za pomocą małej, obecnej w co drugim lizbońskim barze wyciskarki świeży sok pomarańczowy, by uraczyć się nim po obiedzie. W każdym razie aromat tych owoców rozprzestrzenił się na całe wzgórze.

Przypomniałam sobie, jak bardzo lubię słodką woń przejrziałych gruszek i rozdrobnionych widelcem truskawek. Zapach arbuzowego soku ciekącego po brodzie i poziomkach większych niż niejedna truskawka. Ale najbardziej lubię zapach jabłek obieranych jesienią przy kominku. Takie jabłka jeszcze trzy miesiące wcześniej kołysały się wesoło na gałęziach, które unosiły je wysoko do słońca. Leżeliśmy z rówieśnikami na kocach pod drzewami i czytaliśmy pierwsze szkolne lektury, budowaliśmy domki skryte pod liśćmi starych jabłoni, nieprzenikalnymi jak ściany prawdziwego domu. Kiedy zapadał zmrok, wdrapywaliśmy się na gałęzie i bawiliśmy w chowanego. Z początkiem lata regularnie odchorowywaliśmy jedzenie pierwszych, kwaśnych jeszcze i zielonych owoców. A najbardziej smakowało to, co kradzione. Braliśmy więc rowery i korzystając z tego, że nie wszystkie pola były ogrodzone, gnaliśmy na przełaj do wystarczająco odległego cudzego sadu. Tam cichaczem, wyglądając na drogę i nasłuchując, czy ktoś nie idzie, nurkowaliśmy w rzędy drzewek i napychaliśmy sobie kieszenie spodni pysznościami.

Adrenalina uderzała do głowy, czuło się powiew niebezpieczeństwa, ryzyko rosło wraz ze zbliżającym się szczekaniem wiejskich psów. Wtedy należało dobiec do roweru, wskoczyć na niego i pedałowac ile sił w nogach, nie oglądając się na towarzyszy przestępstwa.

Razem z jesienią w mojej rodzinie przychodził czas na obieranie jabłek. Ciocia - babcia, mama i mieszkające razem ciotki zbierały się przy kominku, tuż obok drewnianej skrzynki z owocami, garnków, misek i kilku plastikowych kubłów na obierki. W ruch szły noże i obieraczki.

Pac - pierwsza połowka wpada do garnka, pac, pac - druga i trzecia. Naczynie się zapełnia, a kiedy jabłka zaczynają już z niego wypadać, gar wędruje na gaz i zaczyna chłonać ciemniejsze owoce sownie obsypane cukrem, wciągać je niemal, aż zostaje ich zaledwie połowa - zamieniona w żółtozłotą maź, bulgocząca, kusząca zapachem późnojesiennej słodyczy.

Nigdy nie wiedziałam, co dzieje się dalej, bo na tym moja cierpliwość podsycana ciekawością się kończyła. Wolałam biec na dwór, do głaskania kotów, przekarmiania ślimaków uwięzionych w słoikach, wyciągania dżdżownic patykiem z ziemi i ścigania kretów w ciocinym ogródku.

Mam dużo pięknych wspomnień z dzieciństwa. Zabawne, że tak rzadko o nich pamiętam.

ROZDZIAŁ 25

- Nie mogę myśleć, że inni czują to samo co ja - stwierdza Fernando, kierując się w górę miasta. - Muszę być wieloma osobami naraz, wtedy zbliżę się do prawdy.

Na wprost niego wyrasta kościół, przez półotwarte drzwi widać migotanie palących się świec.

„Wejść? Nie wejść?“, zastanawia się Fernando, ale zamiast udzielić sobie odpowiedzi, przysiada na jednej z ławek na skwerku i okruszynami z kieszeni marynarki zaczyna karmić wszechobecne gołębie.

Wczoraj w jednym z magazynów wydrukowano jego poemat. Jest zadowolony, ale jak zwykle ma też poczucie, że to za mało. Jeden poemat. I to nie najlepszy. Cóż to takiego!

Jest pora obiadowa, ze znajdującego się w pobliżu baru dochodzi aromat Bacalhau a Bras. Kuchnię widać przez okno. Młode, zanurzone w oliwie ziemniaki skwierczą na patelni, czosnek miesza się z zapachem dorsza. Kucharz pociera dłonie z zadowolenia, bo zapach obiadu szybko zwabia głodnych klientów.

Zrywa się wiatr. Wiadro, w którym stojąca niedaleko kwiaciarka trzyma róże, z hukiem przewraca się na bruk, a jego metaliczny brzdęk rozchodzi się po ulicy. Wylana z kubła woda płynie prosto pod nogi Fernanda. Ten nie podnosi się, tylko patrzy, jak powoli przesiakają podeszwy jego butów. Zgina czubki palców, lekko unosząc stopy

- Plusk! - cieszy się i opuszcza stopy z powrotem, a woda rozpryskuje się wokoło. - Plusk! - jeszcze raz to samo...

Kwiaciarka, rzucając przekleństwa, podnosi wiadro. Zgrabnymi ruchami zbiera kwiaty i odchodzi w bardziej zaciszne miejsce.

Fernando traci zainteresowanie wodą, wstaje i bezwiednie kieruje się w stronę kościoła. Otwiera szerzej drzwi.

- Jak cicho - szepcze. - Można by pomyśleć, że się umarło. Siada w ostatniej ławce, oddzielonej od reszty rzędów szeroką

kolumną. W kościele jest pusto, tylko dwie kobiety klęczą przed ołtarzem. Nawy kapią od ozdób. W jednej z bocznych kapliczek różańce, medaliki i inne wotywny dary zajmują całą ścianę. W innych wiszą obrazy świętych ozdobione białymi kwiatami.

„Moje pokolenie straciło Boga - myśli Fernando, obserwując kobiety z zapalem modlące się pod ołtarzem. - Nasi przodkowie nic nam w spadku nie zostawili. Zburzyli to, w co sami wierzyli, nie zostawiając nic w zamian. Nie ma porządku społecznego, nie ma spokoju w polityce ani harmonii w normach moralnych. A ja jestem pomiędzy wiarą a niewiarą. Nie potrafię wierzyć, bo przeciw ślepej wierze buntuje się mój rozum. Ale z tego samego powodu nie potrafię też wiary całkiem wyrugować. Skoro z założenia rozum musi wiarę negować, to nie ma sensu przejmować się tym, co mi podpowiada. Dlaczego nie potrafię żyć zwyczajnie, prosto jak ta kwiaciarka?”

ROZDZIAŁ 26

Nic nie zapowiadało wydarzeń, które rozegrały się tego wieczoru.

Dzień był wyjątkowo mokry, od samego rana szare chmury przykrywały niebo i chociaż było lato, pachniało nadchodzącą jesienią. Ulice jeszcze płynęły wodą po kolejnej ulewie, kiedy gdzieś na tyłach kamienic pojawiła się poświata rzucana przez zachodzące słońce. Na tę ostatnią przedwieczorną chwilę świat zmienił kolory i cała Rua de Sao Paulo oblała się czerwienią.

Antonio wyjrzał przez okno. Krople deszczu bezszelestnie zsunęły się z gzymsu nad balkonem i skapnęły mu na kark. Aura była niezwykła. Gdyby nie zegar, można by pomyśleć, że dzień dopiero budzi się do życia, że to raczej wschód słońca, nie zachód.

- Można zaczynać dzień - powiedział sam do siebie i poszedł zaparzyć pingado.

Dzisiejszy wieczór należał do niego. Clara pojechała odwiedzić mieszkającą w Evora siostrę, która również porzuciła Cabo Verde i już jako małżonka właściciela wziętej firmy stolarskiej zamieszkała w prowincji Alentejo. Siostry, które w dzieciństwie zwykły spędzać całe dni razem na plażach Sao Vicente, nie widziały się od dawna, a dzielące ich kilometry nie sprzyjały częstym wizytom. Dlatego Clara, skoro już do siostry pojechała, postanowiła u niej zanocować.

Antonio lubił swoje samotne wieczory. Kiedy dzieci szły spać i tylko w pokoju Beatrice paliło się światło, zaparzał kawę i włączał radio, by posłuchać swojej ulubionej audycji. Nie przepadał za telewizją, a do radia długie godziny spędzane na morzu skutecznie go przywiązały.

Usiadł na kanapie, zapalił małą lampkę i kładąc nogi na niskim stoliku, rozciągnął mięśnie. Wieczorne, odświeżone deszczem powietrze wpadało przez uchylone okno i było tak

przyjemnie, że Antonio poczuł się dogłębnie szczęśliwy. Przymknął lekko powieki i zanim się obejrzał, ukołysany muzyką płynącą z radia i aromatem kawy, która, nietknięta, zdążyła już dawno wystygnać, odpłynął w krainę snu.

Musiało minąć sporo czasu, bo kiedy ponownie otworzył oczy, na dworze panowały ciemności, a w radiu leciała typowo nocna muzyka. Nie obudził się jednak przypadkiem. Z dołu, z mieszkania jego sąsiadki, rozlegały się jakieś wołania, które jeszcze nieco zaspanemu Antoniowi wydały się wołaniem o pomoc. Otworzył na oścież okno i wychylił się za parapet.

Na balkonie piętro niżej stała zgięta wpół Maria i wołała Clare.

- Co się dzieje!?! - krzyknął Antonio, nie rozumiejąc sytuacji.

- Roodzę!!! - ryknęła Maria i z trudem przechodząc przez próg drzwi balkonowych, zniknęła w swoim mieszkaniu.

- Jezu Chryste! - złapał się za głowę Antonio. - To już? Miało być za tydzień! Clary nie ma - uprzytomnił sobie. - Trzeba do szpitala.

Złapał buty, trzasnął drzwiami i zbiegł po schodach. Maria była w pokoju. Stała oparta o fotel, trzymała się za brzuch, a jej twarz wykrzywił ból.

Podbiegł do niej i podprowadził do łóżka, ale Maria nie chciała się położyć. Ból wzmagął się, nie pozwalał jej leżeć. Nie mogła chodzić, nie chciała też usiąść. Stała pochylona, jakby opierając się o wystający brzuch, i wykonywała niewielkie ruchy biodrami, co najwyraźniej przynosiło jej ulgę. Oddychała coraz głębiej i coraz głośniejszymi oddechami, próbując wdechom i wydechom nadać jakąś regularną powtarzalność, ale mimo jej starań były chaotyczne. Jej ogromny brzuch

falował przy każdym silnym skurczu i zdawało się, że zaraz pęknie jak balon przekłuty nieuważnie paznokciem.

- Zrób coś! - krzyknęła na Antonia. - Do cholery - sapnęła - nie stój jak baran!

- Jezu Chryste! - wydusił z siebie rybak. - Poczekaj chwilę, poczekaj...

- Idioto! Nie mogę czekać! Nie widzisz!? Jose gdzieś zniknął! Jest za późno! Dzwon...

W jakiejś dzikiej konwulsji złapała się nagle za brzuch i przysiadła na krawędzi łóżka. Jej twarz zastygła w bezruchu, oczy zrobiły się wielkie jak dwa obiadowe talerze.

- Rodzę - powiedziała zduszonym głosem. - Musisz mi pomóc.

Antonio znieruchomiał. Teraz nie było już odwrotu. Karetka, żeby zdążyć, musiałaby przyjechać z prędkością światła, a to było raczej niemożliwe.

Zacisnął pięść i przyłożył ją do ust w modlitewnym geście, ale kiedy to uczynił, zauważył, że dzieje się z nim coś dziwnego - nie mógł opanować drżenia kolan. Złapał je obiema rękami, chcąc zniwelować to dziwne zjawisko, ale wtedy poczuł, że trzęsawka przeszła też na jego dłonie, przedramiona, a potem na całe ciało, które teraz drgało, jakby ktoś wprowadził je w wibracje. Spojrzał na swoje ręce - trzęsły się tak mocno, że nie byłby w stanie utrzymać słuchawki telefonu. Miał wrażenie, że jego nogi odseparowały się od reszty ciała i teraz wiodą oddzielne życie, zupełnie ignorując jego polecenia. Poczuł, że robi mu się słabo. Było to straszne uczucie. Gdyby tylko mógł przejść te parę metrów do drzwi, po prostu wyszedłby z pokoju i zamknął je za sobą, myśląc, że to tylko sen, który śni, siedząc w fotelu piętro wyżej.

Kolejne spojrzenie Marii pozbawiło go jednak wszelkiej nadziei. Miała dzikość w oczach - musiał zmierzyć się z rzeczywistością.

Ponownie przeżegnał się, szukając na ścianie jakiegoś świętego obrazka świadczącego o tym, że nie został pozostawiony sam sobie w tej zaskakującej sytuacji, ale żadnego nie znalazł. Zrozumiał, że znikąd nie będzie pomocy. Z przyływem tej świadomości poczuł, jak ogarnia go spokój, jak myśli układają się w jakiś logiczniejszy porządek. W końcu był obecny przy dwóch ostatnich porodach Clary. Widział, co robiły położne, pamiętał widok nowo narodzonego Tita.

- W gruncie rzeczy to nie takie trudne - dodał sobie otuchy, próbując zagłuszyć wszechogarniającą panikę. - Może zechcesz się położyć? - zapytał Marię uprzejmie.

- Nie mo... - zaczęła, ale przerwała, powalona kolejnym skurczem.

Jej twarz na kilka sekund spurpurowiała, jakby Maria toczyła jakąś niehumanitarną walkę. Kobieta otworzyła usta, z których wydobył się przeciągły, drgający dźwięk podobny do buddyjskiej mantry.

Kiedy skurcz przeszedł, Maria poprosiła:

- Odkryj łóżko. - Po czym znowu zastygła, przygotowując się do nadchodzącego skurczu.

Antonio jednym ruchem ściągnął z łóżka koc, odsłaniając białe prześcieradło w beżowe kropki różnej wielkości.

„Jakie ładne”, przemknęło mu przez myśl, ale zaraz powrócił na ziemię. „Jak ona to robiła? - próbował przypomnieć sobie ostatni poród Clary. - Tu stała położna, tu byłem ja... Kontakt wzrokowy! - puknął się nagle w czoło. - Jasne, to najbardziej pomagało!”

- Patrz mi prosto w oczy - zwrócił się do Marii, próbując skupić na sobie jej uwagę. Rozbiegane oczy Marii błędziły bowiem gdzieś ponad jego głową i Antonio miał nieodparte wrażenie, że jej tutaj tak naprawdę nie ma, że odpływa ona

coraz dalej na bezkresne morza i jeśli zaraz nie sprowadzi jej z powrotem, straci z nią zupełnie kontakt.

- Mario! - powtórzył głośnie. - Spójrz na mnie! - przysunął swoją twarz do jej twarzy, próbując znaleźć się w zasięgu jej wzroku. - Spójrz na mnie i oddychaj razem ze mną...

Oczy Marii spojrzały prosto w jego oczy i Antonio, wykorzystując okazję, zaczął głośno, głęboko i powoli oddychać, błagając Marię, by go naśladowała. Wydawało się, że tak prosta czynność nie sprawi jej większego problemu, ale było inaczej. Z trudem podążała za oddechem Antonia, gubiła rytm, odpływała w swój świat i tylko nieustanne przypominanie Antonia, by na niego patrzyła, było w stanie ją zatrzymać.

Ale oddychanie zadziało. Maria była przygotowana na kolejne skurcze, przyjmowała je z wdechem, a kiedy zaczynała powietrze wydychać, odchodziły. Spędzili więc na rytmicznym oddychaniu kolejne trzydzieści minut, a może i trzy kwadranse, zupełnie nie wiedząc, ile czasu minęło, nie rejestrując niczego ponad to, co było absolutnie konieczne. W końcu Antonio uświadomił sobie, że dziecko zdążyło już zmienić pozycję.

„Zaraz wyjdzie”, pomyślał, starając się opanować drzenie rąk. Znowu sięgnął pamięcią wstecz i przywołał słowa, które często powtarzała położna pomagająca urodzić Clarze:

- Rozluźnij szczękę...

Maria spojrzała na niego jak na wariata.

- Rozluźnij szczękę, wtedy rozluźni się twoje ciało i dziecku będzie łatwiej - wytłumaczył. Czuł jednak, że Maria już go nie słucha, że ponownie odpłynęła, bo skurcze stały się jeszcze silniejsze.

Rzeczywiście, sekundę później Maria przymknęła oczy i w tej samej chwili zapomniała o istnieniu Antonia. Miała za to

wizję, bardzo realistyczną. Była wysokim, pustym kielichem, z każdym wdechem wypełniała się wodą. Kielich wypełniony był do połowy, do trzech czwartych... A kolejny głęboki wdech i przeciągły wydech zgromadziły tyle wody, że jej ciężar rozbił dno kielicha i cała zawartość wylała się na gładką posadzkę domu. I wtedy Maria poczuła, że coś się zmienia. Że jej ciało otwiera się, zmuszone do tego przez jakąś kosmiczną, rozpierającą ją od środka energię. Że jej kości rozsuwają się, tworząc drogę rodzącemu się dziecku, a siła grawitacji wypycha je ku dołowi.

„Ono też pracuje - w chaosie jej głowy pojawiła się zamglona myśl - muszę mu pomóc”.

Nie otwierała oczu, bojąc się, że wizja zniknie. Była wyłącznie sama z sobą. Twarz Antonia rozplynęła się, zniknęły sprzęty domowe, otwarte okno balkonowe, pokój, ściany i cała kamienica. Maria nie wiedziała, gdzie jest, chwilami wydawało jej się, że lewituje, to znów, że kielich jej ciała rozpryskuje się na milion małych drobinek, a ona sama przestaje istnieć.

Zupełnie bezwiednie, ulegając odwiecznym prawom natury, otworzyła usta i w pokoju rozległ się krystalicznie czysty krzyk. Ten krzyk, ten ostatni wysiłek, nie był krzykiem rozpacz, ale radości. I to nie ona krzyczała, ale oblepiona białą mazią maleńka czarnowłosa dziewczynka.

ROZDZIAŁ 27

Zafascynowana życiem ulicy szłam, osłaniając się przed coraz bardziej napastliwym słońcem, wachlując się od czasu do czasu gazetą i zastanawiając, czy podobny żar jest w Lizbonie czymś naturalnym.

Atmosfera sennego miasta wypełnionego ludźmi umykającymi do zacienionych bram i chłodzącymi się w klimatyzowanych sklepach coś mi przypominała. Nie wiem co. Może jakieś marzenie z czasów, kiedy słuchałam opowieści Dominika o gorących krajach i tropikalnym powietrzu. Jest tak wiele obrazów, które tkwią we mnie niemal od zawsze i przebijają się przez barierę świadomości w najmniej oczekiwanych momentach.

Żałuję, że Dominik nigdy nie odwiedził mnie w Irlandii. Ciekawa byłabym jego spostrzeżeń, sposobu, w jaki przetransformowałby je w swoje barwne opowieści. Chciałabym wiedzieć, czy święci irlandzcy z czasów monastycyzmu zrobiliby na nim takie wrażenie, jakie wywarli na mnie. Czy stojąc w dolinie Glendalough, pośród ruin klasztoru, krzyży i grobów porośniętych szorstką trawą, potrafiłby wyobrazić sobie świętego Kevina, który tak gorliwie modlił się do Boga, wznosząc ręce, że ptak zdążył uwić w zagłębieniu jego dłoni gniazdo i złożyć w nim jaja? Albo czy przepływając się szarpaną falami łódką na Skellig Michael, doceniłby hart ducha mnichów, którzy w kamiennych clochans (Clochans (ang.) - domy - cele budowane z kamiennych ciosów bez użycia zaprawy, przypominające kształtem ule; wznoszone były w Irlandii od VII wieku.) w półmroku przepisywali na tej oddalonej od lądu wysepce święte księgi, nie bacząc na zimno przeszywające ich umęczone postami ciała ani na porywiste wiatry gaszące wotywny płomień w monasterze?

Człowiek jest zdolny do wielkich poświęceń, tylko rzadko kiedy ma okazję się o tym przekonać. Podobne historie zawsze poruszały moje sumienie. Zupełnie jakbym żyła w przekonaniu, że nie jestem zdolna dokonać czegoś równie wzniosłego. Oczywiście najprościej jest się oszukiwać, mówiąc, że na nic nie ma się wpływu. I biernie poddawać się biegowi wydarzeń. Kostek, który podtrzymuje mnie na duchu w chwilach zwątpienia, twierdzi, że od przedumanych nocy nigdy nie stanę się szczęśliwa. Myślę, że ma rację. Mogłabym więcej działać, a mniej myśleć. Wiele razy długie zastanawianie się i rozmyślanie przeszkodziły mi w podjęciu konkretnych działań. Ale ja zawsze dbałam o to, żeby za nieprzemyślane działanie nie zapłacić zbyt wysokiej ceny.

Dom Amalii niczym się nie wyróżniał spośród innych budynków. Była to wąska, dwupiętrowa kamienica o popielatych murach. Ulica natomiast charakteryzowała się tym, że było na niej mnóstwo sklepów ze starociami. Powinna nazywać się ulicą Antyków, a nie Rua de Sao Bento.

Wielkie dwuskrzydłowe drzwi na parterze były otwarte. Za biurkiem, w zacienionym miejscu, starszy mężczyzna niespiesznie zaciągał się smolistym papierosem. Ze skupieniem obserwował wypuszczany przez siebie dymek. Co jakiś czas odchyłał głowę do tyłu i rozciągał zbolące mięśnie karku.

- Dzień dobry. Czy to dom Amalii? - zapytałam, choć osobnik do zadawania pytań raczej nie zachęcał.

- Zgadza się - odpowiedział. - Chcesz wejść? Jeśli tak, muszę pójść po klucze - podniósł się ciężko z krzesła i nie czekając na moje potwierdzenie, zniknął w korytarzu z tyłu pomieszczenia.

Mijały kolejne minuty. Rozejrzałam się - na wszystkich ścianach wisiały oprawione plakaty z koncertów fado. Czarno

- białe i kolorowe, o różnych wymiarach i zapewne też różnym wieku.

„Lubię śpiewać, nie wiedząc o tym - głosił napis pod jednym z plakatów oprawionych w antyramę. - Lubię, kiedy słowa wychodzą ze mnie same. Tylko tak umiem śpiewać. Amalia”.

Odwróciłam wzrok. Przede mną stała kobieta z gładko zaczesanymi, srebrnymi włosami.

- Proszę tędy - uśmiechnęła się, poprawiając na nosie okulary w srebrnej jak jej włosy oprawce.

Wyszliśmy na zewnątrz, przeszliśmy do sąsiednich drzwi i znalazłyśmy się na dole klatki schodowej z kamiennymi schodami. Przez chwilę wspinałyśmy się po nich, niemal w całkowitej ciemności, dotykając zimnych ścian dla złapania równowagi. Pachniało wysuszoną gliną, która przywoływała na myśl pustynne krajobrazy, tak bardzo klójące się ze słodkim zapachem perfum idącej obok mnie kobiety.

Wreszcie u szczytu schodów rozjaśniło się. To promienie słońca prześlizgiwały się przez lekko rozsunięte aksamitne kotary. Szum ulicy, odgłosy samochodów, szmery rozmów przechodniów, które atakowały mnie na parterze domu, tutaj, do salonu na pierwszym piętrze, nie docierały.

Światło przemykało po gładkiej politurze fortepianu, muskało portrety śpiewaków ustawione na półce, bawiło się odbiciami kryształów ozdabiających ciężki kredens i kończyło żywot na ścianie wyłożonej do połowy wysokości błękitnymi azulejos.

Przedmioty były martwe, ożywiała je tylko pieśczoła światła. Zastygły na swoich miejscach, tak jak pozostawiła je ich właścicielka. Miałam ochotę usiąść na miękkiej kanapie i rozgościć się w tym pokoju wypełnionym duchami muzyki i minionych namiętności oraz echem głosów niegdyś licznie odwiedzających to miejsce osób. Nie zrobiłam tego jednak.

Głos przewodniczki wyrwał mnie z zamyślenia.

- To salon Amalii - wyjaśniła, ponownie poprawiając zsuwające się z nosa okulary. - Była bardzo towarzyska, lubiła ludzi, a ludzie lgnęli do niej. Do dzisiaj w Lizbonie mówi się o wieczorach u Amalii, nocnych dyskusjach, słuchaniu poezji i zabawach, w których uczestniczyli jej przyjaciele. A to fortepian, przy którym ćwiczyła nowe teksty - wskazała na instrument.

Przez chwilę żałowałam, że nie ma ze mną Kostka. Umiał grać na fortepianie, a przynajmniej wiedział, do czego służą klawisze. Instrument Amalii na pewno by mu się spodobał.

- Wie pani, jak to się zaczęło? - kontynuowała przewodniczka. - Jej dziadek zauważył, że jest bardzo muzykalna. Kazał jej śpiewać w domu, a kiedy to robiła, otwierał okna na ulicę i obserwował, ilu przechodniów zatrzyma się, by posłuchać jej śpiewu. „Sześciu zatrzymałaś swoim głosem!” wykrzykiwał, kiedy kończyła śpiewać. Był z niej bardzo dumny i to ją zachęcało do śpiewania. To jej sypialnia, a obok garderoba - otworzyła kolejne drzwi.

Zajrzałam do środka - dziesiątki butów w różnych kolorach stały rzędem na półkach. Torebki wszelkich możliwych krojów zajmowały dolną część szafy. Lubiłam porządek, ale ten tutaj trochę mnie przerażał. Stroje pachnące naftaliną wisiały na drewnianych wieszakach. Gładkie jedwabie ocierały się o szorstką materię płaszczy i okryć wierzchnich, nie roszcząc sobie pretensji do oddzielnych szaf.

Niemal widziałam Amalię - stoi na scenie, piękna i dramatyczna, w którejś ze swoich cudownych sukni, na stopach ma czarne czółenka na wysokich obcasach, mocny róż na policzkach i bardzo długie rzęsy, umalowane tak jak na licznych fotografiach rozwieszonych w salonie.

- Kochała piękne stroje - wyjaśniła kobieta, przerywając moje zamyślenie - ale na koncerty zawsze ubierała się

klasycznie: długa suknia, czarne szale, piękna biżuteria, bo biżuteria była bardzo ważna.

- Zawsze była taka zamożna? - zapytałam, próbując lepiej sobie Amalię wyobrazić.

- O nie, nie. Dopóki nie zaczęto doceniać jej śpiewu, żyła na skraju nędzy. Wychowywali ją dziadkowie, bo matka nie mogła zajmować się wszystkimi dziećmi. Miała ich dziewięcioro! Zostawiła Amalię, gdy ta miała czternaście miesięcy, dziewczynka wróciła do domu rodziców dopiero jako nastolatka. W szkole Amalii było dużo biednych dzieci, ale ona była zawsze najbiedniejsza. Kiedy nauczyciel kazał kupić jej podręczniki, surowa zawsze babka spytała: „Kupiłam ci już jeden. Po co ci więcej?”. Amalia była przyzwyczajona do pracy od małego. W domu dziadków prasowała, sprzątała, zarabiała w fabryce ciastek, sprzedawała w porcie cytrusy. Dopiero potem zaczęła być samowystarczalna. O, ona dobrze wiedziała, o czym śpiewa się w fado. Pochodziła ze środowiska, w którym fado się narodziło. Ci biedni ludzie rzadko kiedy narzekali, bieda była dla nich czymś naturalnym. Jak przeznaczenie. Jest takie portugalskie przysłowie: „Jeśli pada, po prostu przesun się dalej”. To o nich.

- Fado narodziło się z biedy...

- Tak się uważa, ale potem bohema artystyczna zaczęła podsłuchiwać te nostalgiczne pieśni. One były jak magnes. Kto usłyszy fado, już zawsze będzie je kochał. Więc oni przysłuchiwali się po kryjomu, schodzili do biedniejszych dzielnic, nadstawiali uszu... I w końcu zaprosili fado na salony. Głębokie uczucia, fatalizm, tajemniczość ubrane w słowa poruszały serca. Potem fado rozprzestrzeniło się dalej. W latach trzydziestych dwudziestego wieku śpiewacy mogli być już uważani za artystów. Chociaż kiedy Amalia próbowała śpiewać w lokalach, jej rodzina ostro oponowała. Dla nich to nie był zawód, czy raczej przeciwnie: to nadal był

bardzo zły zawód, jednoznacznie kojarzony ze złym prowadzeniem się, złym stylem życia. Kiedyś fadistka to była prostytutka. Ale potem pojawiło się radio, a w nim fado, potem filmy z tą muzyką... Fado przestało być anonimowe, muzycy zaczęli zapisywać piosenki... Fado zostało nobilitowane. Proszę spojrzeć, Amalia pierwszy raz wystąpiła na ekranie w 1947 roku, o, tutaj jest scena z tego okresu - wskazała na fotos wiszący w przedpokoju.

- Była też aktorką?

- Ależ oczywiście. Wystąpiła w kilku filmach, jako wokalistka i aktorka. Była bardzo utalentowana. Śpiewacy fado muszą być urodzonymi aktorami. Fado to nie tylko muzyka, ale też jednoosobowy teatr. Fadistka musi umieć okazać silne emocje, a ma do dyspozycji tylko gest, wyraz twarzy, ruch głowy, spojrzenie. A zapewniam panią, w saudade jest i radość, i smutek, spokój i szaleństwo, zazdrość i czystość uczucia. To wszystko trzeba przekazać. Idźmy dalej - zachęciła mnie.

Minęliśmy przedpokój i znalazłyśmy się w pomieszczeniu przypominającym bibliotekę, tyle tam było książek. Usłyszałam sączącą się z ukrytego głośnika muzykę, najpierw cichą, potem nabierającą mocy. Była żywiołowa i jednocześnie lekka. Melodia zataczała koło, dźwięki powtarzały się, tylko nieznacznie zmienione.

- Znane są trzy odmiany fado - wyjaśniała przewodniczka, nie zważając na to, że okulary niemal zupełnie zjechały jej z nosa - Corrido, Mouraria to właśnie ta, której słucha pani teraz, oraz bardziej melancholijne fado Menor, które zaraz puszczę. Różne rodzaje fado pochodziły z różnych dzielnic, różniły się nastrojem, ale podstawowe zasady muzyczne były te same: wokalista improwizuje wokół podstawowej melodii. Wczuwa się w rytm melodii, powoli snuje wokół niego opowieść. Śpiewającemu wtóruje

instrumentalista grający na gitarze portugalskiej, a czasem też drugi muzyk, grający na niżej nastrojonej violi.

Podeszłam do gabloty, w której ustawiona była gitara przypominająca kształtem przeciętą gruszkę. Miała dwanaście strun - w przeciwieństwie do sześciostrunowej gitary klasycznej. Była też dużo mniejsza od znanych mi gitar.

- To gitara portugalska, ma podwójne struny, dzięki czemu brzmi bardzo dźwięcznie, czasem ostro. W Lizbonie wytwarzaniem gitar zajmowały się całe rody, ale pierwszy tak wysoko nastroił gitarę Carlos Paredes, prawdziwy wirtuoz.

Skończyła mówić i na chwilę ogarnęła nas zupełna cisza. Jakby dom wstrzymał oddech w oczekiwaniu. A potem dobiegł mnie chrobot podobny do skrzypienia starego adapteru i muzyka popłynęła ponownie. Była jednak inna. Wolniejsza i bardziej przejmująca. Słyszać było tylko jedną gitarę. Snuła swoją własną opowieść.

Z kolejnymi dźwiękami w mojej wyobraźni pojawiło się miasto i stroma, kręta uliczka. Prowadziła do placu ukrytego w cieniu drzew, takiego, jaki widziałam wczoraj, wędrując na wzgórze Santa Catarina. Plac był pusty, tylko gołębie gruchały, wydziobując ze szpar między płytami chodnikowymi niewidzialne dla ludzkiego oka okruszki.

Nagle pomiędzy jeden a drugi obraz wdarły się nowe dźwięki. Druga gitara dołączyła do pierwszej. Muzyka nabrała rumieńców, przyśpieszyła, zadrżała... i z werwą popłynęła dalej. Na uliczce i placyku pojawili się ludzie. Warsztaty i kantorki były otwarte. Szewc czekał na klientów chcących zmienić fleki w sandałach, a stolarz heblował deski na elegancki stół do jadalni. Dzieci biegały po ulicy, nie mogąc ustalić, kto pierwszy ma jechać na rowerze. Uliczka mijała kościół, z którego rozchodził się zapach kadzideł palonych podczas wieczornej mszy. W kościele panowała cisza, tliły się

małe, dające czerwonawą poświatę świeczki, zapalane pod wizerunkiem ojca Pio.

Obraz był jednak niemy. Ludzie milczeli jak zakłęci - dopóki do gitarowej melodii nie dołączył śpiew. Miękki głos, przenikający ściany pokoju i wirujący w zagęszczonym od upału powietrzu, dodał opowieści nowego wymiaru. Szewc nagle zaczął rozmawiać z pomocnikiem, stolarz nucił sobie pod nosem rzewną piosenkę, a dzieci sprzeczały się głośno. Głos wokalistki, budując opowieść, udzielił głosu też im. Opowiadał o tym, co ich zajmowało, czym zaprzątnięte były ich myśli, zaglądał do ich serc i odkrywał ich niewypowiedziane marzenia. Dopiero teraz trzy składowe - viola, gitara portugalska i śpiew - połączyły się w opowieść o prawdziwym życiu.

- Podoba się pani? - przewodniczka uśmiechnęła się do mnie. - Amalia zapoczątkowała nową epokę fado. Łączyła to, co tradycyjne, z ogromną emocjonalnością i dramatyzmem. Zawsze miała skłonność do melancholii, do fatalizmu nawet. Wie pani, ona dużo myślała o śmierci, zwłaszcza w dzieciństwie miała takie skłonności. Kiedyś połknęła nawet trutkę na szczury. I była okropnie nieśmiała, z tej nieśmiałości wynikały zmiany, które wprowadzała. Stresowała się, stojąc sztywno, uczepiona własnego szala, jak robiły to dawne fadistki, więc wprowadziła na scenę więcej ruchu, więcej gestów, ale takich swoich. Ona nawet ręki na biodrze nie trzymała, bo to była dla niej, wychowanej w surowym domu, zbyt frywolna poza. Uwielbiała flamenco i jego elementy, jego nastrój włączyła w swoje fado. To wszystko było nowe. Zaczęła śpiewać poezję, łączyła ją z popularnymi pieśniami. Nobilitowała fado. Miała mnóstwo naśladowców.

- Chętnie posłuchałabym jakiejś płyty - powiedziałam. - To wszystko jest bardzo ciekawe.

- Płyt mamy mnóstwo w naszym sklepiku, coś sobie pani wybierze.

Zeszliśmy na dół, gdzie „mężczyzna z za biurka” puszczał dymek z kolejnego papierosa.

- Tutaj proszę - kobieta otworzyła szklaną gablotkę z setkami płyt. - Cała kolekcja, wszyscy najważniejsi, i ci mniej znani również. Mafalda Arnauth, Fernando Farinha, Miguel Silvera, wielcy ludzie - westchnęła.

Przerzuciłam kilka płyt. Amor, Passion, Fado Curvo - przewijały się tytuły. Może będzie tutaj też Rosa?, przemknęło mi przez myśl. Skoro są wszyscy, ona też powinna być. Może ją usłyszę!

Przekopałam kolejną przegródkę i kolejną, ale żadnej Rosy wśród fadistek nie było. Musi być jakiś ślad, nie traciłam nadziei.

- Mam jeszcze jedno pytanie - zwróciłam się do przewodniczki zajętej teraz dyskusją z nagle ożywionym palaczem.

- Tak? - podniosła głowę.

- Kiedyś słyszałam o takiej artystce... Nazywa się Rosa Moreto, może pani ją zna?

- Moreto... Słyszałeś o Moreto? - powtórzyła pytanie palaczowi, ale on wzruszył ramionami i puścił kolejny dymek w kształcie idealnego kółka.

- Zajrzę do bazy w komputerze - powiedziała, wypraszając palacza z miejsca przy biurku. - M jak Moreto. Nazwisko jakbym wcześniej słyszała, ale nie kojarzę tej osoby. Moreto Rosa, Rosa Moreto. Jeśli śpiewała, to musi tu być. Uzupełniamy bazę na bieżąco, mamy wszystkich, którzy kiedykolwiek mieli coś wspólnego z fado. Bo wie pani, ja tu pracuję od lat. Amalia śpiewała kilkadziesiąt lat, przez całe moje życie, jakże mogłabym pozostać na to obojętna. Jestem uzależniona od muzyki. Mam! - wykrzyknęła nagle,

rozpromieniając się. - Moreto, Olhos Fatais! No proszę, wydała nawet płytę, ale bardzo dawno temu. Teraz sobie przypominam, faktycznie była taka śpiewaczka. Jak mogłam nie pamiętać!? Znam tę płytę. Pamiętasz Olhos Fatais? - spojrzała na palacza.

- Mhmm - mruknął mężczyzna, marszcząc czoło. - Była taka. Cud poezja.

- Tak, bardzo zdolna wokalistka. O płycie było swego czasu głośno. To musiało być jakieś dwadzieści lat temu, dlatego wyleciało mi z pamięci. To jej indywidualna płyta, ale ona często występowała z inną fadistką, Teresą - kobieta wodziła wzrokiem po ekranie komputera. - Nie mamy tej płyty, nie wydają jej od lat. Ciekawe dlaczego? Moreto miała prawdziwy talent, szkoda, że potem gdzieś zniknęła.

- Ta druga wokalistka nazywała się Teresa? - zapytałam, bo nagle zapaliła mi się czerwona lampka. Teresa, tak jak sąsiadka Rosy, wielbicielka fado i Amalii Rodrigues, przemknęło mi przez myśl.

- Tak, tak mam zanotowane. Ale nie kojarzę tej fadistki.

Czy to może być ta sama kobieta?, myślałam gorączkowo. Jeśli to jest ta Teresa, to...

Zrobiło się już późne popołudnie i słońce zlitowało się nad spalonym miastem. Zerwał się nawet leciutki wiatr, który przyjemnie schładzał powietrze. Chciałam rozkoszować się tą miłą zmianą, ale podejrzenia nie dawały mi spokoju.

ROZDZIAŁ 28

Dotarłam na Rua de Sao Paulo. Sprzedawca siedzący w błękitnej bramie prowadzącej do schroniska jak zwykle zupełnie mnie zignorował. Nie podniósł nawet wzroku znad gazety rozłożonej na maleńkiej ladzie kiosku. Było w nim coś odpychającego i przyciągającego jednocześnie. Może właśnie ta sprzeczność prowokowała mnie, aby przełamać jego obojętność.

Położyłam na ladzie drobne i poprosiłam o bilety. Gdy mężczyzna szukał ich w szufladzie, miałam czas, by przyjrzeć mu się bliżej. Miał ostre rysy i z siwiejącymi włosami było mu nawet do twarzy. Mógł mieć dobrze ponad pięćdziesiąt lat albo być młodszy - ślady działania portugalskiego słońca i wiatru często myliły. Pachniało od niego przetrawioną kawą, którą zapewne pił w dużych ilościach. Mógł być nawet miłym człowiekiem, ale było oczywiste, że sprawianie dobrego wrażenia nie znajdowało się na liście jego priorytetów. Nie odezwał się słowem, tylko w milczeniu podał mi bilety. Dłonie miał duże jak łopaty. Skórę szorstką i gdzieś tam popękana, jego ruchy były energiczne i pełne młodzieńczej werwy. Chciałam jeszcze o coś zapytać, lecz stanowczość, z jaką zagarnął drobne, sprawiła, że pożegnałam się uprzejmie. Zdawało mi się, że zobaczyłam uśmiech na jego twarzy, ale może to tylko promień zachodzącego słońca rzucił na niego mylącą poświatę.

Następnego dnia zapchany do granic możliwości tramwaj wiózł mnie do dzielnicy Belem.

Belem nie jest labiryntem krętych uliczek jak stara Alfama ani realizacją wizji markiza Pombala, który zaprojektował uporządkowaną i nieco monumentalną Baixę. Zamiast tego Belem, rozciągnięte wzdłuż brzegu Tagu, poraża pełną powietrza przestrzenią. Jest tu klasztor Hieronimitów, który - jak pisał Pessoa w swoim przewodniku - trzeba zwiedzać bez

pośpiechu, w przeciwnym razie w ogóle nie ma sensu [...] wchodzić, są ogrody i pałacyki przekształcone w muzea i słynna Antiga Confeitaria de Belem z najlepszymi w mieście portugalskimi babeczkami (Pasteis de Belem - chrupiące babeczki wypełnione kremem, produkowane od początku XIX wieku przez mnichów z klasztoru Hieronimitów; przepis na te ciastka jest pilnie strzeżonym sekretem.). Wszystkie te miejsca ulokowano w wystarczająco dużych, bezpiecznych odległościach od siebie.

Wysiadłam z tramwaju i przeszłam na drugą stronę ulicy, gdzie trawnik ciągnął się aż po brzeg Tagu, a stare drzewa nawet o poranku zapewniały chłodny cień pod swoimi konarami. Spośród tej zieleni, zlewającej się z błękitem porannego nieba, wyłaniała się biała budowla - wieża o niespotykanym kształcie, przypominająca nieco statek cumujący u nadbrzeża. Tak wyglądać mogła tylko Torre de Belem.

Podeszłam bliżej. Budowla miała ażurowe balkony wystające z kamiennej ściany, finezyjne blanki w kształcie tarcz i lśniącobiałe wieżyczki rozmieszczone na szczycie i wokół tarasu. Jasny kamień mienił się mnóstwem odcieni bieli.

Ktoś, jakby podążając moim śladem, podszedł pod wieżę. Rozłożył kurtkę na trawie, usiadł i wyjął karton.

Kostek!?, przemknęła mi przez głowę absurdalna myśl. Kostek tak siadał, kiedy coś wartego narysowania przykuło jego uwagę. Nawet sylwetkę miał podobną, ten sam sposób odwracania głowy... Ale Kostek był przecież oddalony ode mnie o setki kilometrów. Przez chwilę pragnęłam, by to był on. Nieczęsto takie pragnienie pojawiała się w mojej głowie, ale tutaj, w tym dziwnym mieście, czułam jakąś bliższą więź z przyjacielem. Ta chwila nie trwała jednak długo. Odpłynęła, pozostawiając po sobie ślad rozczarowania.

Znalazłam dogodne miejsce pod drzewem, z dala od promenady, ale wystarczająco blisko, by widzieć zdobione łuki w nielicznych oknach wieży. Widziałam też chłopaka tak bardzo przypominającego mi Kostka, mogłam obserwować ruchy jego ręki szkicującej wieżę.

Zmrużyłam oczy, chcąc zobaczyć wieżę tak, jak być może widział ją rysujący. Kontur był wyraźny. Zamknęłam oczy i otworzyłam je. Teraz wszystko wyglądało inaczej. Nad wodami rzeki snuła się poranna, delikatna mgła, a lekko rozmyte postacie, których wcześniej nie dostrzegłam, przesuwały się wzdłuż brzegu. Poczułam spokój i wyjątkowość tej chwili.

Zółcią oddzieliłam rzekę od jaskrawej zieleni trawy. Kształt wieży pociągnęłam szarością, rozbieliłam ją jednak w paru miejscach - wszędzie tam, gdzie słońce rozmywało granice ścian. Chłodem fioletu zaznaczyłam obszar, które okrył głęboki cień padający z jednego z murów na rozciągający się niżej taras. Tego samego koloru użyłam też do zaznaczenia mroku wyzierającego z łukowatych okien i balkonów. Uprościłam kształty i zniwelowałam szczegóły.

W miarę jak powstawał mój nieistniejący obraz, przypominałam sobie słowa Pessoa, opisujące Torre de Belem:

To prawdziwa koronka, przy tym niezwykle delikatna koronka, wyrzeźbiona w kamieniu, połyskującym biało z oddali i przyciągającym spojrzenia wszystkich, których statki wypływają na rzekę. Wewnątrz jest nie mniej zachwycająca, a z jej balkonów i tarasów roztacza się niezapomniany widok na rzekę i morze.

Z każdą chwilą widziałam więcej, dostrzegałam więcej - teraz czeluść okien nie była już tylko czarną plamą, miała swoje odcienie, a rzeźbienia nie były prostymi ozdobami, tak naprawdę przypominały ludowe wycinanki, które niegdyś robiło się na lekcjach plastyki w szkole.

Miałam dziwne wrażenie, że to miejsce zapamiętuje mnie, tak jak ja zapamiętuję je. Że odsłania się przede mną i pozwala, bym poczuła i odkryła więcej. Nie mogłam zaprzeczyć, że tak się działo. Nawet trawa zaczęła pachnieć i łaskotać mnie w odkryte stopy, a lekki wiaterek przyniósł zapach ryb.

ROZDZIAŁ 29

Zapada zmrok. Sprzedawcy w sklepach z rozświetlonymi wystawami obsługują ostatnich klientów. Odgłosy dnia cichną, trzeszczące tramwaje robią ostatnie kursy, przekupki zbierają stragany z owocami. Z każdym krokiem Fernanda zapala się kolejna uliczna latarnia. Miasto przybiera nocną twarz.

Fernando mija aleje Chiado i kieruje się w stronę Baixy. Jest już prawie w domu, ale zamyślony mija uliczkę, w którą powinien skręcić, i wędruje dalej. Kilka dni temu dowiedział się, że matka miała atak apopleksji. Ostatnio nie czuła się dobrze, ale chociaż lekarz zalecił jej odpoczynek, ona po swojemu krzątała się w domu. Taką ją właśnie pamięta. Wiecznie w ruchu: przy dzieciach, z lekturą w dłoni, na obiedzie z przyjaciółmi albo przy pianinie, na którym tak pięknie grała. Ojczym wiele czasu spędzał poza domem, bycie konsulem zobowiązywało. Matka wynagradzała jego nieobecność z nawiązką.

Nie widział matki od dawna, dzielą ich przecież tysiące kilometrów. Podobno w ten feralny dzień wybrała się z ojczymem i dziećmi do Pretorii. Ojczym musiał załatwić służbowe sprawy, a matka uparła się, że zrobią sobie przy okazji wycieczkę. Już w drodze dostała strasznych bólów głowy i nudności, ale przyczyn szukała w trudach podróży. W Pretorii poszli na jedno ze wzgórz, chcieli zobaczyć panoramę miasta. Tam matka straciła przytomność, upadła na ziemię.

„Żyje, ale jak się czuje?“, zadrecza się Fernando.

W chwilę potem zauważa, że dawno minął swój dom. Zawraca, czując, że od przeszywającego zimna skostniały mu palce. Jest przecież grudzień.

„W Durbanie teraz gorąco“, przypomina sobie ciepłe afrykańskie słońce odbijające się w wodach Oceanu

Indyjskiego. Przyśpiesza kroku i stawia kołnierz, nie chce wpaść w pułapkę wspomnień.

Następnego dnia Fernando idzie do biura. Na jego biurku leży sterta papierów do tłumaczenia, ale go to cieszy. Nie będzie musiał za wiele myśleć. Koło południa szef, Vasques, prosi go o nowe rozliczenia. W takich sytuacjach Fernando zawsze odmawia, ale tym razem godzi się na dodatkową pracę.

Od kilku dni odczuwa wzmożone napięcie, a w zakamarkach jego umysłu czai się jakiś niepokój, który zakłóca jego myśli, kieruje ich bieg na inny tor.

- Pewnie dlatego nie mogę ostatnio pisać - tłumaczy sobie samemu. - Słowa gdzieś odeszły. Moi przyjaciele, Ricardo, Alberto, dawno już się nie pojawiali.

Wraca do domu, ogarnia swój pokój wzrokiem, myśląc, że w mieszkaniu panuje taki sam bałagan jak w jego duszy. Chce nawet zabrać się do uporządkowania skrawków papieru, starych pocztówek i barowych serwetek, na których zwykł notować swoje myśli, ale przeszkadza mu pukanie do drzwi. Otwiera. Listonosz podaje mu telegraf i prosi o postawienie parafki.

„Czy gdybym mu nie otworzył, to by się nie zdarzyło? - myśli potem. - Co za bzdura, na życie i śmierć nie ma się wpływu. Życie jest ci dane, czy tego chcesz czy nie, i zostaje ci odebrane, bez względu na to, jak bardzo starasz się je zachować. Niektórzy boją się śmierci, więc o niej dużo myślą, inni nie czują strachu, więc rzucają się w wir życia. Ja tylko czekam. Wszyscy czekamy.

Po wszystkich nas przyjdzie noc. A kiedy już przyjdzie, będzie nam trudno rozstać się z dniem”.

Telegram jest ostemplowany zagranicznymi pieczętkami. Fernando poprawia swoje okulary w cienkich oprawkach i wczytuje się w druczek.

- To z Paryża - rozszyfrowuje. - Pewnie od Maria! Stary drań znowu siedzi na Montmartrze - wzdycha. - A biedę klepie jak ja tutaj. Ech, może będzie miał więcej szczęścia. Tutaj się dusił. Tutaj nasze dumne „Orpheu” nie znalazło odbiorców. Pieniądze, krytycy i stara tradycja, to tylko się liczy.

Starając się nie pognieść marynarki, siada wygodnie na krześle i rozdziera list. Kartka jest żółta, zupełnie inna niż te, jakie zwykły przychodzić z portugalskiej poczty.

W linijkach przeznaczonych na słowa ktoś czarnym atramentem skreślił trzy zwięzłe zdania: „Mario de Sa - Carneiro nie żyje. W Hotelu de Nice wypił 100 miligramów strychniny. Pogrzeb za dwa dni”.

Czyta jeszcze raz. „Mario de Sa - Carneiro nie żyje”. Jego Mario nie żyje.

ROZDZIAŁ 30

Drogę powrotną z Belem znowu pokonałam tramwajem. Był niemal pusty. Zająłam miejsce przy oknie, ciesząc się, że spokojnie obejrzę miasto z tramwajowej perspektywy. Na siedzeniach po przeciwnej stronie siedziała para nastolatków. Wyglądali na bardzo zajętych sobą. Zupełnie nie przeszkadzało im, że zawiesiłam na nich swój wzrok, nie mogąc oprzeć się pokusie obserwowania ich ekspansywnego zachowania. Biła od nich jakaś niesamowita ufność. Byli zakochani? Chyba tak. I chyba po raz pierwszy ich serca były mocniej. Patrzyli na siebie, uśmiechając się i robiąc sobie wzajemnie żarty. Chłopak próbował rozwiązać sznurówkę w bucie dziewczyny, ona mu nie pozwalała. Dużo gestykulowali, jakby chcąc wyrazić wszystko ruchami ciała i spojrzeniem oczu. Ręce kreśliły w powietrzu znaki, twarze wyrażały radość i wzajemną fascynację. Dopiero po paru minutach dotarło do mnie, że ta nadmierna gestykulacja nie jest przejawem nastoletniej nadpobudliwości, ale jednym z koniecznych sposobów porozumiewania się. Byli głuchoniemi, ich świat był zaklęty w ciszy.

Nagle dziewczyna zaśmiała się. Jej śmiech był tak bardzo inny od śmiechu osoby świadomej swojego głosu, jego barwy i charakteru. Nie mogła wiedzieć, jak czysto brzmi. Jak dźwięcznie zachłystuje się rozpierającą ją radością. Był w tym wszystkim nieodparty urok, który niemal przykuł mnie do fotela. Śmiech dziewczyny pozostał we mnie jeszcze długo po tym, jak oboje wysiedli z tramwaju, unosząc z sobą jedno z najsubtelniejszych wyznań szczęścia, jakie kiedykolwiek słyszałam.

ROZDZIAŁ 31

Chęć dowiedzenia się, czy Teresa, o której wspominała przewodniczka w domu Amalii, i Teresa - plująca kobieta, to ta sama osoba, ponownie przywiodła mnie pod drzwi, zza których rozlegało się szczekanie białego psa. Szczekanie trwało dobrą chwilę, aż wreszcie drzwi otworzyły się i stanęła w nich kobieta o wąskich oczach. Była ubrana we wzorzystą sukienkę, zarzuciła na nią ciemny fartuch kuchenny przyprószony białą mąką.

Byłam przygotowana na każde jej zachowanie - czułam, że jest osobą w jakiś sposób nieobliczalną, gotową zachowywać się w najdziwniejszy sposób. Jeśli przeszkodziłam jej w jakimś ważnym zajęciu, mogła od razu odesłać mnie z kwitkiem.

Tak jednak się nie stało - kobieta wpuściła mnie, najwyraźniej zaciekawiona.

- Obtaczam rybę - rzekła lakonicznie, wskazując mi kanapę. Ogarnęłam spojrzeniem pokój. Zapamiętałam to miejsce jako bardzo uporządkowane, teraz jednak dostrzegłam kurz unoszący się w promieniach wpadającego przez balkon światła, sierść psa wbitą w dywan i rozstawione na stole, półce i komodzie brudne filiżanki. Nie wiem, czy pokój był taki też za pierwszym razem, czy wtedy, oszołomiona nieco rozmową z kobietą, nie zauważyłam tych wszystkich szczegółów.

- Odwiedziłam dom Amalii - zaczęłam. - Bardzo interesujący. Słuchałam też fado.

- O, to pięknie - powiedziała uprzejmie. - Mam nadzieję, że się spodobało. Nie lubię ludzi niewrażliwych na piękno muzyki.

- Nie, nie... jestem pod dużym wrażeniem fado - zapewniłam. - Kupiłam nawet płytę. To bardzo emocjonalna muzyka. Mam wrażenie, że Amalia żyła tym, o czym

śpiewała. Że jej uczucia przenikały muzykę, a muzyka uczucia.

- Nie ona jedna tak robiła - mruknęła kobieta. - Ale nie wszyscy mają komfort postępowania zgodnie z własnymi uczuciami. Senhora zapewne ma lekkie życie i nie wie, o czym mówię.

Zaniemówiłam. Co ona może o mnie wiedzieć, pomyślałam. Co może wiedzieć o wieczorach spędzonych na szukaniu tych wszystkich cienkich nitek wystarczająco mocno łączących mnie ze światem, żeby chciało mi się dalej działać. Co może wiedzieć o pragnieniu miłości, którego nie można zaspokoić. Czy znana jej jest tęsknota za człowiekiem, którego nie miała szansy nawet poznać? Czy młody wiek czyni mnie szczęśliwszą od niej, która pewnie przeżyła życie otoczona kochającą rodziną, mężem, dziećmi, a rozkoszując się portugalskim słońcem spędzała dni na śpiewaniu romantycznego fado?

- W zasadzie przyszłam zapytać o jedną rzecz - wróciłam do rozmowy, nie chcąc już na wstępie uprzedzić się do tej kobiety z taką łatwością szafującej opiniami.

- Tak? - podniosła brwi w oczekiwaniu.

- Pani zna Rosę, prawda?

- Co senhora tak uparła się na Rosę. Rosa i Rosa - zniecierpliwiła się. - Już na ten temat rozmawialiśmy.

- Pytam, bo w domu Amalii dowiedziałam się, że Rosa śpiewała przez pewien czas razem z Teresą.

Kobieta zaczerwieniła się i odwróciwszy wzrok zaczęła ścierać okruszki ze stołu. Przez chwilę milczała, choć widać było, że złość, a może podniecenie, zaczyna brać górę nad spokojem, który tak usilnie próbowała zachować. Atmosfera gęstniała z każdą mijającą chwilą.

- Myślisz, że to ja? - szczerknęła.

- Taka zbieżność... - zaczęłam cicho.

- Z moim głosem? Śpiewać z moim głosem? Senhora oszalała chyba. Nie wszystko jest takie proste, jak się na pierwszy rzut oka wydaje - mówiła coraz wyższym tonem, krew napływała jej do twarzy. - Senhora myśli, że ją oszukuję, co? Wyobraża sobie Bóg wie co! Przychodzi tutaj i pyta! Pyta!

- Przepraszam - chciałam załagodzić sytuację, widząc, że poruszyłam jakąś czułą strunę. Najwyraźniej ta kobieta nie była ze mną szczerą. Z jakichś powodów nie chciała rozmawiać otwarcie. Nie miałam jednak pomysłu, jak wydobyć z niej więcej informacji. - Gdyby pani ją знаła, może mogłabym zostawić u pani list dla Rosy...

Oczy Teresy zabłysły. Jej oddech zrobił się płytszy, a ja wystraszyłam się, że rozmowa, która tak bardzo działała na jej emocje, może obrócić się w dramat.

- Senhora... - odetchnęła głębiej i poprawiła zmierzwione włosy. - Senhora ma rację. Znałyśmy się. Mieszkamy obok siebie. Dziwne byłoby się nie znać, prawda? Dawno jej nie widziałam, a jestem stara, zgrzybiała i nie mam głosu - wyrzuciła z siebie ze złością.

- A... wie pani, gdzie ona jest?

- Niby skąd? Przyjaźniłyśmy się dawno temu. Od kogo jest ten list?

- Od mojego kuzyna Dominika. Oni się znali. To coś ważnego.

- A tak, senhora już przecież mówiła. Ten Dominik to jakiś bliski senhory? - zapytała, udając obojętność, chociaż silne drganie lewej powieki zdradzało jej zdenerwowanie.

Zamyśliłam się. Bliski? Bardziej niż bliski. Najbliższy. Dla kogoś bez znaczenia nie przyjeżdżałabym do Lizbony. Tylko dla kogoś, kto miał tak duży wpływ na moje życie, mogłam chodzić po mieście w poszukiwaniu Rosy. Tylko dla kogoś, kto pokazywał mi świat, kiedy inni o tym zapomnieli,

dla kogoś, kto stał się dla mnie matrycą, do której przykładałam wszystkich innych mężczyzn, mogłam zrobić tak wiele.

- Tak, to ktoś bardzo mi bliski, jak przyjaciel.

- Od przyjaźni do miłości niedaleko. Niech senhora uważa, bo do nienawiści też blisko. Wiem, co mówię - ściszyła nagle głos i jakby posmutniała.

Pomyślałam, że może nie jest taką kobietą, na jaką wygląda. Może ma w sobie również odrobinę uczuć, o których tak chętnie wspomina.

- Czemu pani tak mówi?

- Och, swoje przeżyłam. Też kiedyś byłam młoda i się zakochałam. Kochałam bardzo mocno. Jak nigdy przedtem ani nigdy potem. Nie człowiek jednak rozdziela strzały Amora - powiedziała, jakby czytając w moich myślach. - Senhora też zapewne była nieraz zakochana. Może nawet jest teraz?

- Nie, nie jestem.

- Ale zapewne ma jakichś przyjaciół?

- Niewielu. Jednego - pomyślałam o Kostku, to on przyszedł mi pierwszy do głowy.

Czy był moim przyjacielem? Chyba tak. Mogłam na niego liczyć. Mogłam z nim rozmawiać otwarcie. Dobrze czuliśmy się w swoim towarzystwie.

Podobało mi się jego podejście do życia. Pasja, z jaką podchodził do malowania. Zapał, z jakim zabierał nas na wycieczki po irlandzkich wrzosowiskach. Lubiłam jego poczucie humoru. Potrafił być bardzo złośliwy, ale mnie ta złośliwość zamiast denerwować, zupełnie rozbijała. Lubiłam odkrywać z nim nowe rzeczy. Zarażał mnie spontanicznością, dążeniem do czerpania przyjemności z życia. Dobrze się z nim czułam. Lubiłam tę przyjacielską atmosferę, która między nami panowała, swobodę i lekkość, z jaką rozmawialiśmy. Mogłam się na niego złościć, mogłam z nim dyskutować,

milczeć przy nim albo się z nim śmiać - u podstaw naszej przyjaźni leżało coś głębszego, niezależnego od nastrojów czy różnic poglądów. Nie było w moim życiu drugiej takiej osoby. Po Dominiku, po tej nieobjętej żadną kategorią osobie, nie było nikogo oprócz Kostka.

- Przyjaciel może stać się miłością.

- To niemożliwe - zaprzeczyłam.

Zakochać się w Kostku? Nigdy nie chciałam przekroczyć tej granicy, za którą znajduje się niewiadome. Tak wydawało mi się bezpieczniej dla nas obojga.

- Niech senhora pamięta: nie płaczemy, kiedy przestajemy kochać, ale kiedy inni przestają nas kochać. Serce raz złamane, już nigdy nie jest tak ufne. Proszę pamiętać, zanim senhora pozwoli sercu wybrać. Ja tego nie wiedziałam, głupia byłam - zaśmiała się cynicznie.

- Pani przeżyła wielką miłość?

- A co senhora myśli? Że naprawdę zamiast serca mam tylko kawał mięsa?

- Ale pani ma chyba rodzinę? Widziałam dziecięce buty w przedpokoju...

- O to senhora pyta... To mojego wnuczka. Malutki jest, a pociecha wielka. Mam jedynego syna. Mnie nawet dziecko zdarzyło się tylko raz. Ale syn nie przychodzi często. Myślę, że go drażnię, bo mam swoje zdanie. A on chciałby ciągle prawić mi morały, jakbym swojego rozumu nie miała. Wnuczka nie przyprowadza. Tylko czasem. Mówi, że mam na Miguela zły wpływ i że karmię go cukierkami. Ojciec mojego syna, mój mąż... ech... Wyszłam za szybko za mąż. Ale to dlatego, że chciałam zapomnieć... - zawahała się, jakby się zastanawiając, czy może powiedzieć więcej. - Mój mąż był młody i jurny, jak ogier. Wydawał się porządny, aż pewnego dnia postanowił wyjechać na łowienie pereł. Nie wiodło nam się najlepiej, dziecko maleńkie, a wygód prawie żadnych.

Perły łowili na Oceanie Spokojnym, miało to trwać tylko rok. Zgodziłam się, bo co miałam zrobić. Już nie śpie... - ugryzła się w język, ale za późno. Zdradziła się. - To znaczy już nie pracowałam wtedy - dokończyła. - Więc pojechał po te perły, to były dobre pieniądze. Senhora wie, skąd biorą się perły? Nie z zapłodnienia kroplą wody oceanicznej, bynajmniej - znów się zaśmiała, tym razem brzmiało to trochę jak rechot żaby. - Mąż łowił młode małże do drewnianych klatek zanurzonych w wodzie, a ponieważ małże nie lubią światła, łatwo do tych pułapek wchodziły. W klatkach spędzały kilka miesięcy. Gdy urosły, przenosili je do większych klatek, czyścili i wkładali drobinki mięczaków słodkowodnych, wokół których małże mogły odkładać masę perłową. Mąż miał niezdarne dłonie, więc do implantowania już go nie dopuścili...

- I co się stało? - zapytałam, bo kobieta wyraźnie oczekiwała zachęty.

- Nic. Więcej go nie zobaczyłam. Mówili, że hodowla została zniszczona przez nadmiar morskiego planktonu, który zabrał mięczakom tlen, a pracowników rozpędzili na cztery wiatry. Mogło tak być, tylko że drań już do nas nie wrócił. Skorzystał z okazji, by poszaleć po świecie. Do Ameryki było przecież niedaleko. Nie byliśmy najszczęśliwszym małżeństwem. Senhora wie? Gdy się pokłóciliśmy, to mogliśmy nie rozmawiać przez tydzień. Im dalej, tym było gorzej.

- Przykro mi. Musiało być pani ciężko.

- W życiu nic tak nie boli jak kolejna porażka. Zostałam sama z dzieckiem, bez pieniędzy. Szukałam męża, a jakże, niechby chociaż do dziecka się poczuwał. Ale traciłam na to siły i nerwy, aż w końcu dałam sobie spokój. I senhora wie co? Postanowiłam sobie, że już nigdy w życiu nie zaufam rozsądkowi. Wyprowadził mnie na manowce!

Wstała i poszła do kuchni. Zostałam sama, z historią, którą ta obca kobieta postanowiła się z jakichś względów ze mną podzielić. Wydała mi się tak bardzo samotna i smutna, że zaczęłam rozumieć, skąd bierze się jej nieznośna zgorzkniałość. Ja też za szybko ją oceniłam, w dodatku, jak mi się teraz wydawało, niesprawiedliwie.

- Tak się rozgadałam - Teresa ukazała się w progu. - Rzadko mam okazję, a senhora nie wydaje się tak nudna, na jaką wygląda. Proszę jeszcze przyjść kiedyś w odwiedziny. Opowiem więcej o Rosie. Aha... - zawiesiła głos - niech senhora zostawi u mnie ten list, jak Rosa się pokaże, to go jej oddam.

- Nie mam go przy sobie - skłamałam, mając nadzieję, że brzmiało to szczerze. - Ale dziękuję za dobre chęci i za zaproszenie. Następnym razem go przyniosę - powiedziałam pośpiesznie i wyszłam na klatkę schodową pachnącą świeżo krojonym koperkiem.

ROZDZIAŁ 32

Zadzwoiłam do Kostka. Chciałam upewnić się, że nic się nie zmieniło, że nadal mogę wykrecić jego numer o dowolnej porze dnia i nocy. Teresa wzbudziła we mnie jakiś niepokój. Nie mogłam wątpić, że byliśmy z Kostkiem przyjaciółmi. Nigdy nie sądziłam, że mogłoby być inaczej. On był, i już. Bez niego Dublin nie byłby taki sam, cały mój pobyt poza Polską mógłby wyglądać inaczej. Istnienie Kostka przyjąłam jako coś oczywistego, nie analizowałam naszej relacji. Ale teraz, po rozmowie z Teresą, zaczęłam się zastanawiać... Więc wykreciłam numer jego telefonu. Odebrał, a moje usta rozciągnęły się w uśmiechu. Miałam wrażenie, że on też się ucieszył.

- Alicja, już myślałem, że nigdy się nie odezwiesz! - wykrzyknął. - Nudno tu bez ciebie! Opowiadaj! Spotkałaś Rosę?

Nie rozmawialiśmy długo. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, jaką przyjemność sprawia mi słuchanie jego głosu. Opowiedziałam mu o Teresie, o tym, że nie mogę oddać Rosie listu i że oglądam Lizbonę oczami Pessoa. Kiedy odłożyłam słuchawkę, poczułam jeszcze większy niepokój. Wszystko było w porządku, Kostek nadal istniał, świat w Dublinie niewiele przez ten czas się zmienił, ale we mnie zakiełkowało nieznane mi dotąd uczucie zazdrości. A jeśli Kostek znajdzie swoją drugą połówkę, zakocha się, tak jak mówiła Teresa? Czy go stracę? Zapewne tak. Ludzie przyjaźnią się, dopóki czują się samotni. Kiedy odnajdują miłość, tracą zainteresowanie przyjaciółmi. Zwłaszcza jeśli mają taką naturę jak Kostek, który jeśli coś robi, oddaje się temu całkowicie. Więc moglibyśmy przestać się widywać? Na pewno nie spotykałibyśmy się tak często. Nie tak intensywnie. Nie mogłabym otwarcie z nim rozmawiać. Przecież wtedy

ktoś inny byłby ważniejszy, bliższy mu, moje sprawy byłyby na dalszym planie.

Nigdy nie rozmawialiśmy z Kostkiem o miłości. Może to źle? Ale czy o miłości trzeba rozmawiać? Miłość jest albo jej nie ma. Jeśli jest, można ją pielęgnować, jeśli nie istnieje, żadne starania nie pomogą. Nawet nie wiem, czy Kostek kiedyś był zakochany. Przynajmniej nigdy o tym nie wspominał. Jakbyśmy tematu miłości unikali. Może tak właśnie było.

Szczerze mówiąc, nigdy nie chciałam przyznać się, nawet sama przed sobą, jak bardzo potrzebuję uczucia. Ile razy próbowałam przestać myśleć „rozsądnie”, odpuścić sobie i choć odrobinę się zatracić? Ale z reguły takie momenty po prostu przesyślałam.

Niewielu ludzi nie ustaje w poszukiwaniu miłości. Większość kapituluje w połowie drogi, a potem, być może, zalewa swoje serce goryczą jak Teresa.

A Dominik i Rosa? Czy oni też skapitulowali?

ROZDZIAŁ 33

Antonio spojrział zaskoczony. Córka Marii była tak mała, że zupełnie ginęła w jego wielkich dłoniach. Bał się, że ją upuści, że jej nieskoordynowane ruchy sprawią, że wymsknie mu się z rąk. Stał tak przez kilka sekund, nie mogąc się ruszyć. Miał w rękach nowe życie. Kiedy Clara rodziła, to położna pierwsza widziała dziecko, a on dostawał je, kiedy było już umyte, nakarmione i ubrane. Teraz nie było położnej, był tylko on. Pomógł dziewczynce przyjść na świat, pierwszy na nią spojrział, poczuł jej niewielki ciężar.

Przeszedł go dreszcz. Wydarzyło się coś wielkiego, pięknego, ale gdyby zaszła taka potrzeba, nawet nie umiałby tego przeżycia opisać.

Wreszcie ocknął się i podał Marii dziecko, a sam opadł na stojące w rogu krzesło.

Oddychał z nie mniejszym wysiłkiem, niż czyniła to jeszcze przed chwilą Maria. Krew mu pulsowała, jakby ktoś przetoczył ją przez szalony kołowrotek, a serce z pewnością już dawno wyskoczyłoby z piersi, gdyby tylko miało taką możliwość. Przez chwilę znowu miał wrażenie, że zaraz straci przytomność, a drgające przed jego oczami przedmioty przygniota go swoim ciężarem.

Spojrział ponownie w stronę Marii i dziecka. Dziewczynka, zmęczona porodowym wysiłkiem, przyssała się do piersi mamy najwyraźniej chcąc zapomnieć o gigantycznej pracy, jaką wykonała, przychodząc na świat. Wyglądała jak przybysz z innej planety. Zauważył to dopiero, kiedy podawał ją Marii. Miała zamknięte oczy, kości jej czaszki nasunęły się na siebie, by główka łatwiej mogła przecisnąć się przez kanał rodny, przez co wciąż jeszcze pozostawała w swym spłaszczonym, nienaturalnym kształcie.

Maria leżała oparta o poduszki i w duchu dziękowała za szybkie rozwiązanie. Pochlipywała, z jej policzków

skapywały łzy. Wszystko działo się tak szybko, że nie zdążyła nawet pomyśleć o tym, co ma robić, nie miała czasu na zastanawianie się i analizowanie sytuacji. Dopiero teraz, wiedząc, że cud się dokonał, zdała sobie sprawę z tego, że właśnie urodziła dziecko, i to nie w wygodnym szpitalu pod opieką lekarza, jak sobie wcześniej wyobrażała, ale w domu, z pomocą sąsiada, który wylawiał ryby, a nie dzieci, i o porodach miał bardzo nikłe pojęcie. Urodziła bez pomocy medycznej, bez męża u boku, bez wyczekującej na radosną nowinę rodziny. Nie wszystko mogło zakończyć się tak szczęśliwie. „Gdyby nie było tutaj Antonia - pomyślała, czując znowu przyływ adrenaliny - albo gdyby spanikował bardziej niż ja... albo gdyby uciekł...” Odgoniła jednak szybko od siebie te ponure wizje i objęła czułym spojrzeniem dziewczynkę, która nadal ssała jej pierś, jakby nic innego w życiu nie miała zamiaru robić.

- Witaj na świecie, malutka - powiedziała Maria, całując córeczkę w główkę.

Antonio ukrył twarz w dłoniach, czuł, jak ogarnia go fala rozczulenia. Nie chcąc jej ulec, potarł mocno oczy i zacisnął je kilka razy. Poczul drapanie w gardle, więc czym prędzej wstał i podszedł do telefonu, by wykręcić numer pogotowia.

Kiedy pojawili się sanitariusze, Antonio zniknął w łazience, gdzie umył się i ściągnął z siebie zabrudzoną koszulę, po czym skierował swe kroki do kuchni. Musiał ochłonać, pobyć sam ze sobą i uspokoić mocno bijące serce, ale gdy przekroczył próg kuchni, poczuł przede wszystkim potężny głód, który zagłuszył wszelkie inne pragnienia. Otworzył lodówkę, wyjął spodeczek z masłem, pokroił je grubo i położył na wielkiej kromce chleba. Zatopił zęby w maślanej kanapce i to doznanie było tak orzeźwiające, że ponownie ugryzł chleb, a potem powtórzył tę czynność jeszcze wiele razy, aż cała kromka zniknęła z jego dłoni. W

ciągu niecałego kwadransa z chlebaka ubyło pół bochenka chleba. - Antonio jadł zapamiętale, jakby chciał w ten sposób pozbyć się całego stresu, którego właśnie doświadczył. Wreszcie poczuł się zaspokojony i nasycony do tego stopnia, że mógł powrócić do salonu.

Sanitariusze zabierali Marię i dziecko do szpitala. Otulona kocem czekała, aż przyniosą nosze. Emanowała niezwykłym spokojem i Antonio był pewien, że żadna postronna osoba nie uwierzyłaby w to, że przed chwilą zwijała się w porodowych bólach.

- Byłeś bardzo dzielny - odezwała się wreszcie do niego.

- Wiem - potwierdził z uśmiechem i w duchu powtórzył: „Byłem dzielny. Mój Boże, naprawdę przyjąłem poród. Antonio, uwierzysz w to, stary?”.

A potem zwrócił się do Marii:

- Ale proszę, nie rób mi tego nigdy więcej. I oboje wybuchnęli gromkim śmiechem.

ROZDZIAŁ 34

Fernando od dłuższego już czasu obserwuje gołębie, które drepczą po Praca de Dom Pedro IV. Nie śpieszy mu się do domu, bo czeka go porządkowanie nowego mieszkania. Dwa dni wcześniej zmuszony został do przeprowadzki.

„Może to znak - myślał, kiedy właścicielka kamienicy na Rua Bernardim Ribeiro zgodziła się obniżyć mu proponowany za pierwszym razem czynsz. - Ribeiro to kolejny nieszczęśliwy na tej ziemi. Ofiara miłości. Nie mogąc oprzeć się własnemu sercu i urodzie kuzynki, wdał się w zgubny romans. Joana, choć przychylna mu, została rzucona w ramiona mężczyzny z lepszą linią genealogiczną. Romans zakończył się tragedią: ją zamknięto w klasztorze i oszalała, jemu odebrano posadę na dworze Manuela I Szczęśliwego i wiele lat później również zmarł w szaleństwie.

- Bierze pan czy nie? - wyrwała go z zamyślenia gospodyni mieszkania.

Miała włosy przewiązane sznurkiem i nie wyglądała na zamożną. A jednak to ona była właścicielką całego piętra kamienicy usytuowanej niedaleko Avenida da Liberdade, a nie on.

- Oczywiście, biorę. Myślałem tylko, że gdyby szesnastowieczna moralność była mniej restrykcyjna, być może biedny Ribeiro nigdy nie stworzyłby literatury, która ulżyła jego cierpieniu i przetrwała całe stulecia.

- O czym pan mówi, senhor? - kobieta zrobiła wielkie oczy.

- Menina e moca - odkopuje z pamięci Fernando. - Dzieło wieczne, naznaczone ludzką tragedią i oplakane szczerymi łzami. Bernardim Ribeiro, droga pani, poeta. Ten sam, którego imieniem ochrzczona jest ta ulica. Przypomniałem sobie, kim był.

Kobieta podniosła rękę, jakby chciała popukać się w czoło, ale zrezygnowała z tego pomysłu i wypaliła:

- Płatność z góry.

- Nie inaczej - potwierdził spokojnie Fernando i ku zdumieniu kobiety położył na jej dłoni dokładnie odliczoną sumę.

Pieniądze się Fernanda nie trzymają, ale czynsz płaci regularnie - choć nie zawsze swoimi pieniędzmi. Często ratuje go szef biura, dając wcześniej wypłatę, pożycza też drobniejsze sumy u nielicznych przyjaciół. Rzadko kiedy oddaje gotówkę. Częściej dług przeliczany jest na kieliszki absyntu o smaku anyżu, kopru włoskiego i piołunu, które Fernando stawia przed Antoniem czy Carlosem. Zieloną Wróżkę, jak nazywają ten trunek, najlepiej pije się w towarzystwie. Przy stole w Café Martinho da Arcada zastawionym szkłem mijają im szybko długie godziny, a kiedy pierwsi rybacy wypływają na połów, Fernando wygrzebuje ostatnie centavo i zostawia barmanowi szczodry napiwek. Potem chwiejnym krokiem wraca do domu i nie zdejmując znoszonej koszuli, pada na wypożyczone od właścicielki mieszkania łóżko. Nie śpi długo i tuż po otwarciu powiek zawsze dopada go uczucie, że ledwo zasnął, a już się obudził. Boli go głowa i czuje ucisk w wątrobie, ale bagatelizuje te dolegliwości, jakby fizyczne bolączki były niczym w obliczu cierpień duszy.

W takie poranki staje w oknie i patrzy na budzącą się Lizbonę. Łuna wschodzącego słońca zachwyca go jak doskonale skomponowany wiersz. Zdarza mu się wtedy przyznawać rację tym, którzy mówią, że jego życiowe niechlujstwo wynika tylko i wyłącznie ze świadomego zaniedbania.

Jego twarz z biegiem czasu zmienia się - powoli, ale nieubłaganie. Na czole pojawiają się zmarszczki, raczej wynik

ciągłego myślenia niż upływającego czasu. Pogarsza mu się wzrok - nie rozstaje się już z okularami ani na chwilę, a praca nad stertami papierów w biurze i długie noce spędzone na zapisywaniu ulotnych wersów wcale nie poprawiają jego stanu. Nie dba o to, jak wygląda. Choć podobają mu się dobrze skrojone marynarki i płaszcze, które widzi w eleganckich domach handlowych Chiado, jego własne można by wziąć za element garderoby zbiedniałego urzędnika.

W czytanych przez Fernanda gazetach pojawiają się wiadomości o bliskim końcu wojny. Tak naprawdę, chociaż we Francji i koloniach w Afryce giną portugalscy żołnierze, w samej Portugalii nie czuć wojennej zawieruchy. Nie znaczy to, że jest spokojnie, wręcz przeciwnie - kraj pogrąża się w coraz większym chaosie. Trzykrotny premier Afonso Costa zostaje obalony i zastąpiony przez Sidonia Paisa. Ale jego władza nie trwa długo: 14 grudnia 1918 roku Pais ma zamiar wsiąść do pociągu jadącego do Porto. Dociera na peron Estacao do Rossio, ale tam jego podróż się kończy - ginie od kuli zamachowca, krewnego Costy.

Fernando czuje rozczarowanie - widział w Sidonia Paisie króla Sebastiana I, który poprowadził wyprawę krzyżową do Maroka; wyprawę zakończoną sromotną klęską i utratą suwerenności Portugalii. Król nigdy z wyprawy nie powrócił, ale pieśni i legendy rozpały nieprzemijalną wiarę w to, że - nieśmiertelny - pojawi się na białym koniu i wybawi Portugalię z wszelkich kłopotów.

Szalony, tak szalony, bo chciałem wielkości,
Jakiej nie daje Los - zapisze wkrótce Fernando, myśląc o królu. -

Ta pewność przerastała moje możliwości;
Dlatego w piasku pustyni zostało,
Czym byłem, nie czym jestem wciąż

(F. Pessoa, wiersz Przesłanie z poematu Mensagem, tłum. A. da Silva i H. Siewierski.).

- Kto z nas ma odwagę czynić rzeczy wielkie? Kto rozproszy mroki ogarniające Portugalie i wznieci jej prawdziwego ducha? Pomyliłem się co do Sidonia Paisa - wzdycha z żalem.

ROZDZIAŁ 35

Najbardziej ze wszystkich jogurtów lubię cytrynowy. Przypomniałam sobie o tym, patrząc na dojrzałe cytryny leżące na straganie w małym sklepie tuż przy moim hostelu. Rua de Sao Paulo miała wszystko, co niezbędne - piekarnię z pysznym chlebem, w który regularnie zaopatrywałam się przez ostatnie dni, sklep z wystawionymi na zewnątrz koszami pełnymi owoców i warzyw, kiosk z prasą w błękitnej bramie, przystanek autobusowy, posterunek policji, a za rogiem wielkie targowisko, na którym można było kupić wszelkie spożywcze produkty.

Ulica była samowystarczalna i tacy też wydawali się jej mieszkańcy. Ciekawa byłam, jak wyglądała za czasów Pessoa. Czy mieszkali tutaj podobni ludzie? Czy kościół pobłyskujący w słońcu bielą również stanowił drogowskaz dla nieznających okolicy przechodniów?

W Dublinie zdarzało mi się robić zakupy z Kostkiem. Tak było przyjemniej, a Kostek był niezłym kucharzem i często podpowiadał mi, co mogłabym ugotować na obiad. Nie zawsze pamiętałam o tym, żeby kupić sobie cytrynowy jogurt, wystarczyło jednak, że Kostek pamiętał. Czasami, gdy nie patrzyłam, chował kubek z jogurtem pod stertą innych produktów w swoim koszyku i nie dawał nic po sobie poznać, dopóki nie znaleźliśmy się przy kasie. Tam opróżniał koszyk i w końcu na taśmie lądował też jogurt. A Kostek cieszył się jak dziecko z mojego zaskoczenia. Takie drobiazgi są w naszej relacji bardzo istotne. Bez nich obróciłaby się pewnie w zwykłą znajomość, jakich w życiu wiele.

Wstąpiłam na chwilę do hostelu, wzięłam szybki prysznic i wyszłam z powrotem na ulicę. Pobyt u Teresy trwał dłużej niż mi się zdawało, dzień zbliżał się ku końcowi. Skierowałam się w górę ulicy i przecinając jak zwykle ruchliwy Praca Luis de Camoes, dotarłam do Elevador de Santa Justa. Wieczorem

ta wzniesiona przez ucznia Gustave'a Eiffela konstrukcja wyglądała jeszcze dostojniej niż zazwyczaj i faktycznie, charakterem przypominała najświetniejszą budowlę Francji. Winda została w całości zbudowana w żelazie, wyróżnia ją to, że jest lekka i bezpieczna. Funkcjonują dwie kabiny zasilane elektrycznie - informował Pessoa w swoim przewodniku. - Winda wiezie pasażerów do Largo do Carmo, gdzie wznoszą się ruiny kościoła do Carmo [...]. Trzeba mieć specjalne pozwolenie, by wjechać na samą górę, ponad poziom, gdzie kabiny zatrzymują się samoczynnie [...].

Odcinała się wyraźnie od ciemniejącego błękitu nieba. Ale dzisiaj chętnych do wjechania na poziom górnego miasta było niewielu, winda wykonywała ostatnie kursy.

Mijając idealnie prostopadłe do Rua Augusta uliczki, dotarłam do Praca do Comercio. Skrzyłam w lewo, idąc za głosem intuicji. Było tutaj dużo puściej, a od Tagu wiał lekki wiatr pachnący melancholią mijającego dnia. To tutaj, pod filarami, miała mieścić się Cafe Martinho da Arcada, tak często odwiedzana przez Fernanda Pessoa. I faktycznie, wkrótce stałam pod wyrazistym szyldem i zapraszająco otwartymi drzwiami.

W środku było pustawo. Kawiarnia najwyraźniej nie leżała na szlaku popularnych miejsc - zbyt skrętnie ukryta za kolumnadą, oddalona od barwnych i ciasnych uliczek Baixy. Niskie sklepienie i zapewne śnieżnobiałe niegdyś, lecz pożółkłe z upływem czasu azulejos również nie dodawały jej uroku.

Zamówiłam „obiad dnia” rekomendowany przez kelnera i popijając lekko gazowany sumol, pozwoliłam spokojnie mijać kolejnym minutom. Na posiłek czekała również grupka przyjaciół przy stoliku w głębi sali, mężczyzna palący papierosa i młoda kobieta z kilkuletnią dziewczynką. Kelner był obrotny, młody i najwyraźniej doświadczony. Krążył

między stolikami, zbierając zamówienia, rozdawał uśmiechy i z wprawą mistrza zgrabnymi ruchami ścierał niewidzialny kurz ze stolików.

Wyjęłam stary przewodnik i otworzyłam go na stronie z opisem Campo Grande, do którego Pessoa lubił zaglądać. Park Campo Grande to jedno z najpopularniejszych miejsc niedzielnych spacerów - przeczytałam. - Tłumy ludzi rozpraszają się po artystycznie wytyczonych alejkach, często można też obserwować zaciekle wyścigi jeźdźców i powozów na drodze biegnącej wzdłuż lewego skraju parku.

Podniosłam wzrok. Tak zaciszna przed chwilą kawiarnia nagle jakby ożyła i bliżej nieokreślone, rosnące napięcie nie pozwoliło mi spokojnie czytać. Pojawili się kolejni klienci i zajęli podłużną ławę pod lustrem. Kelner szybszym krokiem przemierzał teraz posadzkę, bardziej zamaszystymi ruchami stawiał szklanki i szerzej się uśmiechał. Wydawał mi się nawet wyższy niż przed chwilą. Wyraźnie rósł. W miarę jak pojawiali się kolejni goście, pewność siebie kelnera była coraz bardziej widoczna. Im więcej było osób, tym więcej było kelnera. Zdawał się władcą kawiarnianej przestrzeni. Każdy jego ruch był uzasadniony, dłoń z tacą pełną talerzy wirowała po sali, błyszczące lakierki stukały o podłogę i hipnotyzowały rytmem, a furkot kelnerskiej marynarki wprawiał w drganie kieliszki stojące na stolikach. Pochłaniał swoją obecnością wszystko wokół, karmił się obecnością gości, mamił ich gładko wypowiedzanymi słowami i akuratnymi ruchami. Bystry, pojawiający się tam, gdzie potrzeba, uprzejmy i coraz bardziej zajmujący. Żaden szczegół nie umykał jego uwadze, żadne drgnienie ust klienta nie przeszło niezauważone. Był na swoim miejscu, w swoim królestwie.

I nagle wielki już jak balon kelner spojrzął na zegarek. Szepnął kilka słów do stojącego za ladą kolegi, zafurkotał ponownie marynarką i wyszedł. Odprowadziłam go

wzrokiem, ale w chwili, kiedy przekroczył próg kawiarni... po prostu zniknął! Rozpłynął się w świetle zapalających się lamp i światłach przejeżdżającego tramwaju... Spojrzałam jeszcze raz. Ależ był tam nadal! Minął tramwaj i przeszedł przez plac. Wyglądał zupełnie inaczej, tylko marynarka była ta sama. Jego lakierki już tak nie błyszczały, krok był niepewny, a ramiona skurczyły się żałośnie, nadając postaci karykaturalne proporcje. Gdzie podziała się jego wielkość i siła?

Zniknęły... razem z krzykiem wron bijących się o okruch chleba, który wypadł mu z kieszeni.

ROZDZIAŁ 36

„Iluż ich było!”, myślała Joana, kiedy pochyłona nad księgami rozliczeniowymi wypełniała kolejne rubryki kosztami, przychodami i nadprogramowymi wydatkami piekarni.

Młodzi i starzy, mili i wzbudzający respekt lub wprost przeciwnie - odrażający i napięci jak struny dobrze nastrojonej gitary. Wielu zrezygnowało po kilku spotkaniach, inni nie chcieli tak szybko się poddać i przychodzili, dopóki nie stracili ostatniego grama cierpliwości, ostatniej kropli współczucia i wyrozumiałości dla Joany.

Korepetytorzy.

Pierwszy był studentem, młodym i pełnym wiary, że uda mu się wlać do głowy Joany rozległą wiedzę matematyczną. Miała wtedy już trzynaście lat, ale ów student wydawał jej się niezmiernie poważnym i statecznym człowiekiem. Zaczęli od zadań z jedną niewiadomą, potem próbowali przejść przez ułamki, sinusy i cosinusy, aż wreszcie oboje, pocierając czoła z wysiłku, dotarli do geometrii trójwymiarowej. Niestety w żadnym z tych tematów Joanie nie szło dobrze. Zawsze była słaba w cyferkach, nawet wtedy, gdy szło o liczenie cukierków, którymi miał się z nią podzielić brat. Więc i wtedy niczym nie mogła zabłysnąć, nijak zdobyć pochwały zapalonego studenta. Widziała, jak z każdym kolejnym spotkaniem jego entuzjazm gaśnie niczym zbyt szybko wypalająca się świeca.

Naprawdę się starała! Chciała przecież zdać do następnej klasy, była dobrą uczennicą, tylko matematyka nie mogła znaleźć miejsca w jej głowie. Ile nocy przepłakała! Ile razy łudziła się, że tym razem zaliczy klasówkę, że tym razem nie zapomni wszystkiego, stojąc przy tablicy! Zawsze jednak kończyło się tak samo: niezaliczona praca, ironiczny uśmiech

pedantycznej pani profesor, która - jak się Joanie zdawało - z satysfakcją odsyłała ją za karę do ostatniej ławki.

Wydatki na korepetycje były sporym obciążeniem dla niezbyt zamożnych rodziców Joany, ale nie mieli innego wyjścia. Pragnęli, by ich córka, idąc w ślady brata, który został lekarzem, również skończyła studia.

Entuzjastycznie nastawiony student przyszedł jeszcze kilka razy, ale widząc, że jego praca nie przynosi żadnych efektów, a Joana coraz częściej szuka wymówek, by zajęcia się nie odbyły, zrezygnował, pozostawiając rodziców dziewczyny w przekonaniu, że dla ich córki ratunku już nie ma.

Potem pojawił się znajomy ojca. Profesor wykładający na uczelni, uczony z krwi i kości. Ten również zabrał się do pracy z zapałem godnym rasowego nauczyciela. Kiedy jednak Joana, zapytana o wzór na długość przekątnej kwadratu, po raz kolejny odpowiedziała: „nie pamiętam”, rzucił trzymany w dłoni zeszyt i klnąc pod nosem, wykrzyczał jej do ucha, żeby zapamiętała, że „to do skończenia świata będzie długość boku pomnożona przez pierwiastek z dwóch!”. Joana, zamiast zapamiętać, wybiegła z pokoju z płaczem, a profesor pośpiesznie opuścił mieszkanie i nigdy więcej się w nim nie pojawił.

Ostatni korepetytor, który utkwiał jej w pamięci, był inżynierem, pasjonatem matematycznym i założycielem lokalnego Koła Miłośników Algebry. Udzielał lekcji z czystej chęci krzewienia matematyki wśród młodszych, mniej zdolnych bądź też nie tak bystrych jak on osób. Wszedł do pokoju Joany pewny siebie, przekonany, że bez trudu sprosta zadaniu, jakie postawili przed nim rodzice dziewczyny. Nonszalancko rzucił na stół podręcznik Matematyka jako hobby i zabrał się do pracy. Szybko jednak zorientował się w stanie wiedzy Joany i jej nieuleczalnej niechęci do liczb.

Zamiast jednak zrezygnować, na następne spotkanie przyniósł cały zestaw pomocy naukowych. Nie wypisywał równań w brulionie, tylko kroił jabłko, aby zobrazować naturę ułamków, kleił modele brył, by pokazać trójwymiarowość figur geometrycznych, analizował rozwiązywane zadania, zamiast zmuszać Joannę do samodzielnego rozplątywania ciągów cyferek. To działało najdłużej. Na tyle skutecznie, że Joanna - ku zdumieniu profesor od matematyki - prześlizgnęła się do kolejnej klasy. Wciąż potrzebowała pomocy, niestety inżynier, pochłonięty sprawdzaniem przydatności generatora Van de Graaffa, wycofał się całkowicie z udzielania lekcji. A Joanna zmagająca się z matematyką do końca szkoły, dopóki umęczona reumatyzmem profesor nie odeszła na zasłużoną emeryturę.

Pocąc się nad cyferkami ponad dwadzieścia lat temu, Joanna nie mogła spodziewać się, że w przyszłości kiedyś tak sprawnie będzie szło jej prowadzenie własnego interesu i że znieawidzone cyferki zupełnie utracą swoją zniechęcającą aurę. A trzeba przyznać, że piekarnia działała świetnie. Funkcjonowała bez zarzutu, przynosiła przyzwoity dochód i pozwalała Joannie realizować swoją pasję.

Roberto, kiedy jeszcze zajmował istotne miejsce w sercu Joanny, mówił, że w życiu nie można być niczego do końca pewnym. Wspominając swoich dawnych korepetytorów i zamykając poprawione księgi rachunkowe, Joanna pomyślała, że Roberto miał rację - najmniej w życiu można być pewnym własnych możliwości.

ROZDZIAŁ 37

Fernando mawia, że życie jest jak oczekiwanie na dyliżans z zaświatów. Nie wiadomo dokąd nas zawiezie, ale wiadomo, że po wszystkich przyjedzie. Wiadomość o śmierci Maria nie powinna być dla niego szokiem. A jednak jest.

„Przemijanie jest stanem naturalnym, ale nie znaczy, że pożądanym”, myśli Fernando, opuszczając ławkę w ogrodzie botanicznym Ajuda. Konary drzew posadzonych jeszcze z rozkazu markiza Pombala ocieniają tylko boczną alejkę. Na głównej Fernanda oślepią słońce, mruży więc oczy i poprawia rondo kapelusza.

Ogarnia go zmęczenie. Właściwie nieustannie czuje się zmęczony. Kiedy nie pisze, kiedy pisze, kiedy pracuje w biurze i kiedy budzi go w nocy przenikliwe miauczenie kotów za oknem.

Chociaż od śmierci przyjaciela minęło wiele miesięcy, Fernando nadal go wspomina. Nigdy nie przypuszczał, że to Mario pierwszy odejdzie z tego świata.

„To przez nasze »Orpheu« - robi sobie wyrzuty. - To przez zgubny pociąg do Paryża”.

Tak naprawdę nikt nie wie, dlaczego Mario, ubrany w czarny frak, o dwudziestej dwadzieścia w Hotel de Nice sięgnął po fiolkę ze strychniną. Nikogo przy nim nie było, gdy jego ciałem targały kolejne skurcze.

Teraz nie ma to już znaczenia. Mario odszedł, a Fernando zмага się z życiem dalej. Ta śmierć wzmacnia w nim jednak odczucie, że wszyscy, którzy coś dla niego znaczą, odchodzą wcześniej, niż powinni. Najpierw ojciec, z którym tak dumnie paradował po alejach Lizbony i który dawał mu poczucie wyjątkowości, niezwyklej dla małego dziecka. Potem brat. Teraz Mario, najbliższy jego sercu, jedyny przyjaciel, jedyny człowiek, z którym odważył się coś wspólnie tworzyć.

Fernando dochodzi do zakątka, w którym odurza go zapach tymianku i rozmarynu. Rozgląda się - stąd widać jego ukochany Tag.

Tak naprawdę powinien być w domu i przygotowywać materiał do kolejnego wydania Portugal Futurista. Dzisiaj jednak po raz pierwszy od dawna czuje, że nie postawiłby już ani jednej litery. Dzisiaj czuje, że życie boli jeszcze bardziej.

Opuszcza park i kieruje się w stronę Chiado, gdzie czeka na niego przyjaciel, Guilherme Santa - Rita Pintor.

Niewielka pracownia mieści się na ostatnim piętrze starej kamienicy ukrytej na tyłach handlowej części Rua Garrett. Klatka nie wygląda na zadbaną, ale Fernanda to nie dziwi. Jemu samemu zdarzało się mieszkać w znacznie gorszych domach. Wchodzi powoli, mijając kolejne piętra. Zapach terpentyny, ledwo wyczuwalny na dole, staje się coraz intensywniejszy, coraz bardziej nieznośny, osiągając apogeum tuż przed drzwiami pracowni malarza.

- Jak można tutaj pracować? - Fernando pyta sam siebie. Już chce zapukać, ale zauważa, że drzwi są lekko uchylone. Wchodzi więc, nie robiąc hałasu, i staje tuż za plecami przyjaciela.

Guilherme nie od razu zauważa gościa. Ubrany jest w marynarkę i spodnie w kratę, siedzi na małym stołeczku pod oknem. Jego postać ginie w bałaganie atelier, rozplywa się w jasnym świetle wpadającym przez otwarte okno.

Zaciekle szkicuje. Fernando zagląda mu przez ramię - kilka linii, geometrycznych figur i plam tworzy mozaikę układającą się w ludzko - ptasią twarz.

- Ach jesteś! - podskakuje nagle Guilherme. - Ależ mnie przestraszyłeś!

- Nie chciałem ci przeszkadzać, przepraszam.

- Przeszkadzać? Skądże znowu. Siadaj, potrzebuję przerwy.

Fernando rozgląda się po pracowni. Gdzie ma usiąść? Na stercie obrazów złożonych w kącie? Na blaszanym wiadrze odwróconym dnem do góry?

Guilherme zauważa jego zmieszanie.

- Proszę - podsuwa mu stołeczek wyjęty z za zasłon związanych po jednej stronie okna.

- To portret? - domyśla się Fernando.

- Tak, spójrz, pokruszyłem formę. Próbuję w ten sposób pokazać sedno przedmiotu, a nie jego fotograficzny obraz.

- Niezwykle. Czy bez Paryża też byś tak malował?

- Mam nadzieję, że tak! Chociaż z drugiej strony czasami myślę, że gdybym malował inaczej, opływałbym teraz w dostatki, a nie chodził w dziurawych butach.

- Ale czy wtedy miałbyś poczucie, że malujesz tak, jak wiesz już, że można malować? Przecież to my musimy uczyć ludzi, jak odbierać świat, nikt inny tego nie zrobi. Właśnie dlatego wzniesamy zamęt i obalamy stare konstrukcje! Dobrze wiesz, że to cenniejsze.

- Wiem, wiem - mruczy Guilherme i znowu spogląda na swój szkic. - Nie mam już dzisiaj siły. Chodźmy do Marty - zachęca.

Fernando nie ma jednak ochoty odwiedzać obskurnego mieszkania w dzielnicy Alcantara. Wykręca się.

- Innym razem, mam kilka spraw do załatwienia, lepiej już pójdę.

Żegna się z przyjacielem i schodzi po skrzypiących schodach.

„Bez wątpienia Pintor jest jednym z nas - myśli Fernando. - Jego prace powinny też ukazywać się w »Portugal Futurista«. Porozmawiamy o tym następnym razem”.

Wychodzi prosto na dom handlowy Paris em Lisboa. W oknie wystawowym ekskluzywnego butiku poukładane są bele importowanych materiałów, a ciemnoczerwoną tkaninę

udrapowano w kształt kobiecej sukni. Fernando ze zdziwieniem uświadamia sobie, że chociaż Paris em Lisboa mija niemal codziennie, nigdy nie wszedł do środka. Przekracza więc próg sklepu. Tutaj nie pachnie terpentyną, ale mieszanina wód toaletowych, tych sprzedawanych za kontuarem i tych na ciałach kupujących, tworzy trudną do wytrzymania kompozycję. Kiedy Fernando wciąga w nozdrza różanojaśminowe powietrze, dostaje niemal zawrotu głowy, a gdy dociera do niego woń piżma, chce wybiec ze sklepu. Zmusza się, by zostać jeszcze chwilę i starając się odwrócić swoją uwagę od zapachów, spogląda na szklane gabloty i półki uginające się od nadmiaru tekstyliów - bel satyny, aksamitów, bawełny, jedwabiu i wełny.

Wybór towarów jest ogromny, i to nie tylko tkanin. Obok lady wystawiono też kolekcję parasolek, a w gablocie - wachlarzy i piór egzotycznych ptaków, które wykorzystuje się do zdobienia torebek i sukni. Bezsprzecznie jest to miejsce, w którym można ubrać się od stóp do głów.

Fernando kieruje się w stronę schodów z ciemnego drewna prowadzących na pierwsze piętro. Tutaj można nabyć gotową koszulę lub uszyć ją u krawca pracującego w oddalonej od wejścia części sklepu. Są też garnitury i męska bielizna. Jego wzrok przykuwa jednak lada, na której wystawiono fulary i muszki. Gładkie i wzorzyste, stonowane i krzykliwe - stanowią o męskiej elegancji.

„Jeśli nie kupię zbioru poezji, który widziałem dzisiaj w księgarni, będę mógł pozwolić sobie na nową muszkę - kalkuluje. - Ile lat noszę tę moją? Nawet nie pamiętam”.

Już ma wołać ekspedientkę, kiedy nagle reflektuje się: „A po co mi właściwie nowa muszka? A tam”. Macha ręką i pośpiesznie, jakby się bał, że zaraz zmieni zdanie, wychodzi ze sklepu.

Jeszcze tego samego dnia w księgarni na Rua da Prata
zostawia całą tygodniową pensję.

ROZDZIAŁ 38

Mężczyzna zamknął srebrny pojemnik z tabakę. Kobieta stanęła w półcieniu obok niego.

On szarpnął struny i rozległy się pierwsze, przenikliwe dźwięki gitary.

Ona wciągnęła do płuc chłodne powietrze i przymknęła oczy. Brzmienie instrumentu na ułamek sekundy ucichło.

Odchyliła głowę do tyłu i zastygła w bezruchu, jakby chciała utrwalić tę chwilę ciszy. Jej twarz rozluźniła się, usta pozostały przymknięte.

Nie trwało to jednak długo. Gdy struny znowu zabrzmiały, opuściła głowę i omiotła wzrokiem słuchających. Czuć było, że zbiera w sobie siłę, a odprężenie, którego przed chwilę doznała, zastąpi siła emocji. Wciągnęła ponownie powietrze i napinając przeponę, wydobyła z siebie miękki dźwięk. Jej głos był aksamitny, choć miał w sobie moc. Były w nim tęsknota i żal.

W przygaszonym świetle wyglądała jak zjawa. Czarne frędzle jej chusty zakołysały się, kiedy zrobiła krok do przodu, dając znak gitarze, by ustąpiła jej miejsca. Drżała.

Podniosła rękę do góry, zacisnęła powoli dłoń w pięść i zaśpiewała słowa przenikające prosto do serca. Młodzińczy głos, choć przecież nie była już tak młoda, wirował nad głowami słuchających. Śpiewała, a słowa układały się w tysiące wierszy.

Teraz w sali nie było nikogo oprócz niej. Żaden niepotrzebny szelest, żaden zbędny ruch nie zakłócał tego, co działo się na scenie.

Jej twarz zdradzała narastające emocje, cierpienie wycięło bruzdę na czole... Jej dłoń otworzyła się i znów zamknęła w rytm wewnętrznej opowieści. Była piękna. Piękniała, w miarę jak rozwijała się historia, jak pojawiały się w niej czekanie, miłość i obłęd.

Wyrażała gwałtowne uczucia głosem i ciałem, a ta gwałtowność wkradała się też w dźwięki melodii. Z każdym akordem, z każdym jej gestem słuchający wiedzieli więcej. Czuli więcej. Przyłączali się do jej uniesienia, przeżywali promienną radość, zaciskali dłonie w rozpacz, milkli w oczekiwaniu na oddech, na najmniejsze westchnienie solistki.

Kiedy opowieść na moment cichła, fadistka odchyłała głowę, przymykała lekko oczy i pozwalała, by historia zatoczyła koło i wróciła, uderzając z siłą w nas, zasłuchanych, wyzwolonych na tę jedną chwilę z całej swojej stateczności i dystansu.

- Senhora pewnie nie uwierzy, ale napisał to mój przyjaciel po koncercie Rosy Moreto - powiedziała Teresa, kiedy następnego dnia, korzystając z jej być może pochopnie wypowiedzianego zaproszenia, ponownie ją odwiedziłam. - Umieszczono potem ten tekst w folderze zapraszającym na jej kolejne koncerty.

Tak bardzo chciałam usłyszeć ten śpiew na żywo. Rosa niemal stała przed moimi oczami, frędzle kołysały się u jej bioder. Głosu Rosy jednak nie było. Musiałam zadowolić się przeczytanym przez Teresę tekstem.

Siedziałyśmy w salonie, a z magnetofonu sączyła się cicha melodia starego fado. Nie mogłam ufać wszystkiemu, co mówiła ta kobieta, nie była przecież ze mną szczerą od początku. Teraz, co prawda, przyznała się do znajomości z Rosą, ale kiedy już wydawało mi się, że nawiązałyśmy nic porozumienia i dowiem się czegoś więcej, ona znowu zrobiła krok do tyłu.

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła - pouczyła mnie kąśliwie, kiedy zaczęłam dopytywać się o szczegóły. - Mówiłam już, że się znałyśmy - podniosła się z fotela, otworzyła kredens z imponującą kolekcją porcelanowych

figurek oraz niezliczoną ilością postaci Matki Boskiej i wróciła do mnie z tekturowym pudełkiem.

- Senhora chce zobaczyć, to niech patrzy. Kurz na nich osiadł, ale nie każdy chce marnować czas na sprzątanie.

Podniosła pokrywkę pudełka, pozwalając, by warstwa szarych drobinek zawirowała w powietrzu i podrażniła nasze nozdrza.

W środku były zdjęcia, dziesiątki zdjęć, niektóre z nich tak stare, że postacie niemal zniknęły z powierzchni papieru, tak jak niemal zniknęła pamięć o nich. Były tu czarno - białe fotografie z początku wieku, z wyraźnie wyretuszowanymi twarzami głównych bohaterów, kilka zdjęć ślubnych, wszystkie z brzegami ozdobionymi białym szlaczkiem, a także najnowsze - kolorowe odbitki dziecka z ufnością patrzącego w przyszłość.

Teresa wysypała zdjęcia na stół. Przerzucała jedno po drugim, aż znalazła fotografię dwóch roześmianych dziewczyn w czarnych swetrach. Patrzyły w obiektyw, bawiąc się zainteresowaniem robiącego zdjęcie.

- Jest - sapnęła. - To ja - wskazała na dziewczynę po lewej. Nie mogłam uwierzyć, że szczęśliwa dziewczyna widniejąca na fotografii i sarkastyczna kobieta, z którą rozmawiałam, to ta sama osoba. Krój ust i oczu nie pozostawiał jednak wątpliwości - to była ona.

- Senhora mnie porównuje, co? - syknęła. - Dobrze, dobrze, też kiedyś się zestarzeje. - A to - wskazała na dziewczynę obok - to Rosa, której tak szukasz. Jakieś trzydzieści lat temu.

Rosa. Nasze spojrzenia po raz pierwszy się spotkały. Miała ciemne oczy i długie, spięte w wymyślny kok włosy. Ile mogła mieć lat? Dwadzieścia? Osiemnaście? Było w niej coś pięknego, choć nie należała do klasycznych piękności. Śmiała się, może do stojącej obok Teresy, a może do fotografa.

W salonie zapanowała cisza. Teresa obserwowała mnie, czułam to. Ale ja też nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Ta chwila, kiedy zobaczyłam Rosę, tak obcą, choć przecież przez ostatnie wydarzenia tak mi bliską, była zbyt cenna, aby ją zagłuszać słowami.

Czy w takiej Rosie zakochał się Dominik? Musiała być trochę starsza, kiedy ją spotkał. Może wyglądała trochę inaczej. Co w niej tak go zauroczyło, co sprawiło, że stała się tak ważną postacią? Czy naprawdę się kochali? Dlaczego to uczucie nie przetrwało? Gdybym miała szansę spotkać Rosę, być może znalazłabym odpowiedzi na te wszystkie pytania.

- Niech senhora je odłoży - powiedziała wreszcie Teresa, wyciągając swoją szorstką dłoń po zdjęcie. - Przyjaźniłyśmy się od czasów szkolnych. Chodziłyśmy do tej samej szkoły, choć Rosa była młodsza. Miałyśmy tych samych znajomych i tych samych nauczycieli. Mogłyśmy na siebie liczyć. Senhora wie, wtedy słuchało się bluesa, jazzu i bossa novy, więc my też. Fado nie było Rosie w głowie. Zresztą tego rodzaju muzyka należała do starszego pokolenia.

- Dlaczego się tym zainteresowała? - zapytałam, starając się nie spłoszyć Teresy, skoro zaczęła opowiadać.

- Bo na dziewiętnaste urodziny dostała od ojca płytę Amalii.

- Tak po prostu?

- Tak. Ale niech senhora nie myśli, że ja nie miałam w tym udziału. Pewnie by tej płyty nawet nie odsłuchała, ale mnie coś ciągnęło do fado, choć o tym nie mówiłam. Zabrałam jej płytę, a kiedy oddałam ją jakiś czas później, wiedziałam już, że wsiąknie tak samo jak ja. Słuchałyśmy coraz więcej i więcej, aż w końcu, niemal w tym samym czasie, odkryłyśmy... Rosa odkryła - poprawiła się - że też chce śpiewać. A żeby śpiewać fado, trzeba mieć głos i serce. Nic więcej. I ona to miała. Próbowaliśmy swoich sił przez

jakiś czas... - przygryzła wargę, ale było już za późno. Zdała sobie sprawę, że mówi w liczbie mnogiej, że niechcący wymknęła się z jej ust prawda, której i tak się domyślałam.

Teraz byłam pewna: nie tylko przyjaźniły się z Rosą, ale i śpiewały razem, tak jak powiedziała mi kobieta w domu Amalii.

W powietrzu zawisła cisza, Teresa, nerwowo poruszając wargami, zastanawiała się, co powiedzieć dalej. Zaprzeczanie oczywistemu faktowi nie miało już sensu. Musiała sobie to uświadomić, bo dalej mówiła już bez ogródek, jakby to, że śpiewała z Rosą, było czymś najbardziej oczywistym na świecie, jakby nigdy, ale to przenigdy tej rzeczy wcześniej w naszej rozmowie się nie wypierała. Było w jej zdolności do fałszowania rzeczywistości coś fascynującego, coś, co odrzuciłoby mnie od każdej innej osoby, ale nie od niej.

- Występowaliśmy w różnych małych casa tipica (Casa tipica (lub casa do fado) - lokal, najczęściej o tradycyjnym wystroju i z tradycyjną portugalską kuchnią, w którym śpiewane jest fado.), zawsze ktoś tam siedział przy stoliku. Ale w którymś momencie zaproszono nas do Café Luso na próbę. O! To był najbardziej znany Dom Fado. Tam zaśpiewaliśmy po raz pierwszy razem. Co to było za przeżycie! - rozmarzyła się.

Spojrzałam na nią. Wydała mi się jakaś łagodniejsza niż wcześniej, pozbawiona jadu i złośliwości. Nic już nie mogło mnie tego wieczoru zadziwić.

- Rosa była towarzyska - ciągnęła Teresa - ale potrafiła też być odludkiem. Czasem znikwała na cały dzień, szła na Aqueduto das Aguas Livres albo jechała gdzieś dalej.

- Aguas Livres? Czyli akwedukt?

- Akwedukt, który niegdyś zaopatrywał Lizbonę w wodę. To było jedno z ulubionych miejsc Rosy. Często tam chadzała, choć to kawał drogi stąd. Ale Rosa miała takie miejsca,

wynajdywała je podczas samotnych wędrówek, a potem często do nich wracała. Ja też uważam, że to dość niezwykle miejsce, senhora sama może się o tym przekonać. Potem drogi Rosy i moja rozeszły się, również w przyjaźni. Straciłyśmy z sobą kontakt niemal zupełnie. Życie z reguły płata nam figle, których zupełnie się nie spodziewamy. Miesza role i odwraca kota ogonem, senhora się zgadza?

- Tak - bąknęłam, choć nie byłam pewna, co Teresa ma na myśli. - Zapewne tak właśnie jest.

Wychodząc od Teresy, czułam, że zbliżyłam się w jakiś sposób do tajemnicy Rosy. Widziałam ją. Była realna na fotografii, choć tak mglista na jawie. Podarunek od ojca Rosy zdecydował o losach tych dwóch kobiet. Być może nigdy nic nie miało tak wielkiego wpływu na ich życie jak ta winylowa płyta, puszczana na adapterze aż do zdercia.

ROZDZIAŁ 39

Upał w mieście znosi się zupełnie inaczej niż na wsi, myślałam, szukając ochłody na ławce ukrytej pomiędzy dwiema wysokimi kamienicami Chiado. Przyjemnie byłoby teraz znaleźć się w cieniu rozłożystego dębu albo starej jabłoni... na przykład takiej, jaka rosła w sadzie babci Anieli.

Aniela całe życie przemieszkała w maleńkich, ale urokliwych Leginach. Została w rodzinnym gospodarstwie, a ciocia - babcia przeniosła się z mężem na Żoliborz. Babcia i dziadek mieli piękny sad i sporą łąkę dla krów. Podróżowali jedynie do Warszawy albo do Poznania, odwiedzić rodzinę. Za to do nich zjeżdżali wszyscy. Było to bowiem idealne miejsce do oderwania się od codziennej gonitwy, smrodu ulicznych spalin i porannej niewygody w zapchanym autobusie. Dominik spędzał tam większość swoich dziecięcych wakacji, bo siostry lubiły się bardzo, a ich dzieci, dopóki nie dorosły, tworzyły zgraną paczkę. Ja też często tam przyjeżdżałam.

Babcia była staromodna, dziadek nowoczesny, przez co często dochodziło między nimi do scysji. Aniela całe życie orała pole koniem, nie rozumiała więc, dlaczego nagle mąż uważa, że potrzebują traktora. Za czasów jej młodości nie było telewizorów, jakiemu celowi miałby jej więc telewizor służyć na starość? Najwięcej sprzeczności dotyczyło jednak sposobu prowadzenia gospodarstwa. Rodzinna wieść głosi, że pierwszym pomysłem dziadka Wacława była chęć wymiany czerwonych krów na dające więcej mleka krowy holenderskie.

- One żyją trzy wycielenia! - krzyczała babcia. - Rozum ci odjęło! Naszej mućce idzie dziewiętnasty rok, a jeszcze mleko daje!

- Ale mało - argumentował dziadek. - Tamta da dwa razy tyle.

- Jakiego mleka!?! No powiedz, jakiego? Chude ono, jak byś wodę pił! A krowy głupie, niecharakterne!

Dyskusje, przerywane okresami małżeńskiej ciszy, toczyły się przez kilka tygodni. Wygrała babcia Aniela. Czerwone mućki zostały w gospodarstwie razem z kurami zielononózkami, które dziadek również chciał wymienić na „nowsze modele”.

Kontrowersje budziły też drzewa - dziadkowie nie mogli dojść do porozumienia w kwestii rodzaju dobieranych sadzonek. Sad, który odziedziczyli po rodzicach Anieli, był prawdziwym skarbcem jabłkowej różnorodności - rosły w nim papierówki, grafsztyнки, kronselki...

Wiosną w sadzie zieleń kiełkującej trawy walczyła o moją uwagę z różowobiałymi pąkami. Był to cudowny widok. Gdybym miała wtedy aparat, na pewno uwieczniłabym ten obraz na kliszy. Byłam jednak zbyt młoda, by mieć cokolwiek oprócz marzeń. Kiedy przychodził czas dojrzewania owoców, ciepłe powietrze pachniało słodkimi sokami. Wszystko było zielone - trawa, liście. Ta zieleń pobudzała zmysły, mieszała w głowie i odurzała, pozwalając zapomnieć, że poza sadem istnieje jeszcze inny świat.

Późnym latem i jesienią sad nabierał życia. Dziadkowie zatrudniali ludzi do pomocy przy zbieraniu owoców, żółto - czerwone rzędy drzew wypełniały się głosami pracujących, drewniane skrzynki rozstawiano co parę metrów, a trójkątnie stojaki sięgające niemal czubków drzew przenoszone były pod kolejne wysokie konary.

Drzewa były dojrzałe i rodziły co roku, ale jeśli dziadkowie chcieli dodać nowe sadzonki, musieli czekać siedem lat, aż drzewa dadzą owoce. Anieli zupełnie to nie przeszkadzało, uważała, że i tak mają co robić, Wacław jednak postanowił pójść z duchem czasu i zaopatrzyć się w nowe, coraz popularniejsze odmiany jabłoni. Wbrew

protestom żony wyciął kawałek starego sadu. Zaorał go, wykopał korzenie i posadził modne lobo i mekintosze. Na owoce czekał nie siedem, lecz zaledwie trzy lata. Zanim jednak zebrał pierwsze plony, przeżył prawdziwe rozczarowanie. Pierwszego roku zawiązki owocowe zostały zjedzone przez larwy owocnicy. Nie wiedział, skąd owe larwy się wzięły. W lokalnym oddziale związku sadowników powiedziano mu, że uniknąłby rozczarowania, gdyby tuż po kwitnieniu spryskał drzewka odpowiednim preparatem chemicznym.

Drugiego roku spustoszenie zrobił czerwony przędziorek owocowiec. Okazało się, że i tym razem wina leży po stronie dziadka - powinien był on użyć odpowiednich preparatów chroniących drzewka przed szkodnikiem.

W czasie kiedy Waław kupował kolejne specyfiki do ratowania sadzonek, Aniela spokojnie zbierała owoce ze starych jabłoni. Te drzewa, choć rodziły mniej i nie aż tak dorodne jabłka jak późniejsze okazy męża, potrafiły obronić się same. Aniela chwaliła nam się wielokrotnie, że jej owoce nigdy nie poznały smaku mocznika ani sylitu. Zawierały w sobie tylko ciepło słońca, smak i siłę życiodajnych soków ziemi, która je zrodziła.

Zawsze przyznawałam babci rację. Uwielbiałam stary sad i gdyby to zależało ode mnie, nigdy nie pozwoliłabym doprowadzić go do takiej ruiny, do jakiej został doprowadzony w późniejszych latach. Kiedy pojechałam tam ostatnio, chwasty sięgały pasa, pokrzywione i nieprzycinane konary splatały się z sobą w bolesnych uściskach, zdziczałe drzewa rodziły maleńkie, nienadające się do jedzenia owoce. Jediną zadbaną część sadu stanowiły jabłonie, które zasadził dziadek. Ciocie i wujkowie mieszkający w Leginach wymieniali na nowe te drzewka, które już umarły, opryskiwali je co roku coraz większą ilością preparatów, by rodziły coraz

więcej coraz większych owoców. Jabłka były soczyste i rumiane, nie mogłam jednak oprzeć się wrażeniu, że smakują jak stary papier. Przestałam tam przyjeżdżać. Nie było po co - Arkadia przestała istnieć.

ROZDZIAŁ 40

Z zamyślenia wyrwał mnie zgrzyt nadjeżdżającego tramwaju. Na ulicy coś się działo. Sznur ludzi wyłaniał się z bocznej uliczki. Postanowiłam zobaczyć, co się dzieje, i skręciłam w lewo. Kilkanaście metrów dalej, na środku drogi, stały trzy osoby, wstrzymując ruch tramwajów.

Podeszłam bliżej. Jakaś kobieta w kaloszach dyrygowała dwójką mężczyzn stojących po jej bokach jak strażnicy. Tramwaj czekał. Jeden z mężczyzn zgiął się wpół, a ja ze zdumieniem zauważyłam pod jego nogami dziurę, przypominającą nieco większą miejską studzienkę. Mężczyzna poświecił latarką w głąb otworu i z jego wnętrza wyłoniła się damska dłoń. Mężczyzna chwycił ją i przyciągnął do siebie. Chwilę potem właścicielka dłoni stała na zewnątrz i z wypiekami na twarzy opowiadała o wrażeniach z pobytu pod ziemią.

Teraz tramwaj mógł przejechać. Z jego okien wyglądali ciekawscy, a motorniczy nie przyspieszał, pozwalając, by z wysokości siedzeń mogli zajrzeć do tajemniczej dziury.

Kobieta w kaloszach machnęła ręką w stronę kolejki i następna osoba zaczęła wchodzić do otworu. Wysokie kalosze, które „kierująca ruchem” miała na nogach, wydały mi się znajome.

Takie same wystawały z torby należącej do pasażerki jadącej ze mną Elevador da Bica przy wzgórzu Santa Catarina. Przyjrzałam się twarzy kobiety w kaloszach - ależ oczywiście, to była kobieta z tramwaju. Teraz obecna, odważna, męska niemal. W jej oczach nie dojrzałam melancholii ani dramatyzmu. Teraz wyzierała z nich siła i determinacja. Musnęła mnie wzrokiem, zatrzymując go na chwilę na mojej twarzy, po czym odwróciła się, jakbyśmy nigdy wcześniej się nie spotkały.

Kolejka przesunęła się odrobinę do przodu.

- Następna taka okazja może się zdarzyć za rok - podśluchałam rozmawiających ludzi.

- Tak, tak - kilka osób ze zrozumieniem pokiwało głowami.

- Ale co tam jest? - ktoś zapytał.

- Mnóstwo korytarzy.

- Może to antyczne łaźnie.

- Równie dobrze ruiny podziemnego miasta.

- Tego nikt nie wie. A podobno nauka posuwa się do przodu! Korytarze.

Przypomniałam sobie wycieczkę na zachód Irlandii, kiedy nie bacząc na deszcz, coraz bardziej wsiąkający w nasze ubrania, szliśmy z Kostkiem ścieżką na pasmo wzniesień Carrowkeel, by zobaczyć megalityczne grobowce. Grobowce nietrudno znaleźć, wystają ponad połacie traw, tworząc różnej wielkości kopce. Mało kto tam jednak dociera, wędrówka jest wyczerpująca, a torfowa ziemia uginająca się pod butami utrudnia wspinaczkę.

Grobowce były otwarte. Wchodziliśmy do nich na klęczkach i siedząc w środku, w półprzysiadzie, czuliśmy przez chwilę atmosferę sprzed kilku tysięcy lat. Kamienna konstrukcja tych budowli przetrwała wieki bez większych uszczerbków, w świetle latarki można było dostrzec ślady pracy rąk ludzi, którzy tysiące lat temu układali kamień na kamieniu, aby utworzyć idealnie półokrągłe sklepienie. Nie zostaliśmy w grobowcach długo, nie chcieliśmy zakłócać niezwykłej aury tego miejsca.

To była pamiętna wycieczka. Wzbudziła w nas jakiś cichy, trudny do określenia lęk, ujawniający się potem przez wiele tygodni w dziwnych snach, które oboje śniliśmy. Błądzenie po grobowcach zmusiło mnie do myślenia o własnych korzeniach. Czy byłam gdzieś naprawdę zakotwiczona? Nie wiem. Żadne miejsce na ziemi nie

wydawało mi się wystarczająco bliskie, aby nazwać je domem.

Tramwaj zabręczał, odjeżdżając. Ruszyłam dalej.

ROZDZIAŁ 41

Kiosk w niebieskiej bramie był miejscem bardzo spokojnym - takim, które nie przysparza sprzedającemu wielu stresów, nie dostarcza mu też większych emocji i życiowych dylematów. Może dlatego Pedro nigdy nie był człowiekiem specjalnie porywczym. Rzadko krzyczał, nigdy też nie podniósł ręki na żadne z dwójki swoich dzieci. Kiedy jednak jego córka po raz kolejny wróciła do domu po północy i chcąc pozostać niezauważona, zamiast zapukać, chrobotła w ciemności kluczem w zamku drzwi wejściowych, wyskoczył z łóżka i pąsowy ze złości stanął w progu, z wysiłkiem powstrzymując się przed użyciem przemocy.

Podobne sytuacje zdarzyły się w ciągu ostatnich tygodni kilka razy. Córka, niesprawiająca do tej pory żadnych kłopotów - w przeciwieństwie do swego wiecznie niespokojnego brata Inacia - była ulubienicą Pedra. Nawet jeśli dziewiętnaście lat wcześniej doznał prawdziwego rozczarowania, kiedy odbierający poród lekarz oznajmił mu, że jego pierwszym potomkiem nie jest chłopiec. Trzeba przyznać, że rozczarowanie to zostało szybko stłumione przez ojcowską miłość i - choć może tego akurat nie było widać - autentyczną dumę, której Pedro doznawał za każdym razem, gdy nieznajoma kobieta pochylała się z zachwytem nad dziewczynką jadącą w pchanym przez niego wózeczku.

Żona Pedra, Adelaida, pragnęła mieć dziewczynkę od samego początku. Adelaida nie była najmłodsza, kiedy wychodziła za Pedra, i w skrytości ducha martwiła się, czy zdoła jeszcze zostać matką. By wyprosić niezbędne łaski, modliła się nawet do Matki Bożej z Guadalupe. Tak uczyła ją jej latynoska matka, która miała to szczęście, że stanęła na wzgórzu Tepeyac w odległym Meksyku i spojrzała na cudowny obraz Matki Boskiej. Obawy Adelaidy okazały się jednak niepotrzebne. Już w noc poślubną jej łono zostało

zapłodnione życiodajnym nasieniem, a niespełna dwa lata po przyjsciu na świat Lucii urodził się upragniony przez Pedra chłopiec.

Wszystko układało się pięknie, dopóki dzieci nie zaczęły dorastać. Wraz z pierwszym śladem zarostu na twarzy Inacia pojawiły się kłopoty. Chłopak przejawiał bowiem niezwykłą niechęć do nauki. Pedro palił się ze wstydu, kiedy po raz kolejny wzywano go do szkoły i musiał wysłuchiwać listy skarg i zażaleń pod adresem swojego syna. Nie ulegało wątpliwości, że chłopak był dość inteligentny, by się kształcić, niestety górę brało jego lenistwo.

Wkrótce wyszło na jaw, co Inacio robił w czasie, który powinien spędzać w szkolnej ławce.

Jeździł na... cyrkowym rowerze.

W niewiadomy dla Pedra sposób Inacio zaprzyjaźnił się z chłopcem mieszkającym w przyczepie cyrkowej ciężarówki parkującej co roku w Campo Grande, miejscu dość odległym od ich domu na Rua de Sao Paulo. Ów chłopiec, rówieśnik Inacia, miał dotąd za towarzyszy zabaw rysia udającego na arenie tygrysa oraz parę papużek z upodobaniem powtarzających każde zasłyszane słowo. Nowy przyjaciel był więc dla niego niezwykle atrakcyjny. Dla Inacia natomiast najważniejszy był rower - pięknie skrzący się w słońcu, jednokołowy, pozwalający na wykonywanie zaskakujących ewolucji i sztuczek. Inacio przyjeżdżał więc kilka razy w tygodniu do cyrku i tam pod okiem kolegi, zdrapując kolana do krwi, próbował posiąść tajniki akrobatycznej jazdy.

Kiedy wagary Inacia wyszły na jaw, Pedro zaczął odprowadzać syna do szkoły i go z niej odbierać, przez co na jakiś czas chłopiec zyskał opinię maminsynka. Metoda była jednak na tyle skuteczna, że Inacio przekształcił swoją rowerową pasję w bardziej dla ojca akceptowalną - to znaczy przerobił swój górski rower i uzbrojony w kask oraz

ochraniacze wykonywał na nim podniebne salta i piruety na specjalnie przygotowanym do tego torze.

Z Lucią sprawa wyglądała nieco inaczej.

Dziewczyna, najwyraźniej porażona pierwszym płomiennym uczuciem, zaczęła chadzać swoimi ścieżkami i przestała informować rodziców o swoich poczynaniach. Pedro zniósł wybryki Inacia, zniósłby też Lucii, ale z jakichś powodów pokrętne tłumaczenia córki bolały go o wiele bardziej niż oszustwa syna i może dlatego nie potrafił traktować ich jak kolejnego przejawu bolesnego okresu dorastania. Dlatego teraz, stojąc w progu i siłując się wzrokiem z równie stanowczą jak on córką, miał uczucie, że toczy walkę na śmierć i życie.

- Gdzie byłaś!? - wybuchnął, niechcący się opluwając.

- Dobrze wiesz gdzie - odpowiedziała Lucia, tym razem nie ukrywając prawdy. - Z Mauriciem i przyjaciółmi.

- Umawialiśmy się, że będziesz wracała wcześniej!

- Nie spojrzałam na zegarek.

- Zabraniam ci w ogóle wychodzić! - ryknął.

- Nie pozwalasz mi się usamodzielnąć!

- Bo nie mogę ci zaufać!

- Właśnie! Nie ufasz mi! Traktujesz mnie jak dziecko!

- Bo nie dajesz mi powodów, żebym myślał, że jesteś dorosła!

- O matko, nie znoszę cię! Ucieknę z domu i tyle mnie zobaczysz! - wycodziła przez zaciśnięte zęby i potracając Pedra, pobiegła do swojego pokoju. Trzasnęła drzwiami, tłukąc przy okazji wazon stojący tuż przy futrynie. Pedro nadal stał przy drzwiach wejściowych, nie mogąc wyjść z osłupienia.

ROZDZIAŁ 42

Fernando przyglądał się kobiecie, która razem z prawie dwoma tysiącami innych pasażerów opuściła pokład parowca właśnie przybyłego do portu. Wyglądała staro. Starzej, niż się spodziewał. Lekko kręcone włosy, które zawsze podziwiał, zupełnie posiwiały. Twarz, spalona afrykańskim słońcem, straciła świeżość, a czoło, szyję i skórę wokół oczu pokryła nieregularna siatka głębokich zmarszczek. Była inna, niż pamiętał, niż sobie wyobrażał, a jednak wystarczyło jedno słowo powitania, by odnalazł w jej głosie ciepło i matczyną miłość, której siłę tak dobrze znał od najmłodszych lat.

- Zmężniałeś - powiedziała, kiedy zapakowali jej liczne walizki do samochodu i podali adres, pod który miał zawieźć ich kierowca.

- To dobrze czy źle? - zażartował, zdawszy sobie sprawę, że matka zauważyła także zmiany, jakie przez lata zaszły w nim.

- Dobrze, synku, dobrze. Najważniejsze, że widzę cię zdrowym. Dawno nie pisałeś, bałam się, że coś się stało.

- Byłem zmęczony, dużo pracowałem.

- Wiem, wiem. Zawsze tyle pracujesz. A cóż co to jest!? - wykrzyknęła nagle i wychyliła się przez okno auta.

Przejeżdżali właśnie przez Praca dos Restauradores. Plac nigdy nie stanowił wyjątkowej atrakcji Lizbony, był po prostu łącznikiem pomiędzy dwoma ważniejszymi elementami układu miasta - starym Largo do Rossio i nową Avenida da Liberdade. Jednak teraz plac przykuwał uwagę ze względu na nieuprzątnięty gruz zajmujący całą jego zachodnią stronę.

- O czym ty mówisz? - zapytał.

- Zburzyli hotel Avenida!?

- Ach! Nie. Kto by chciał burzyć najdroższy w Portugalii hotel. Jest tam, z tyłu, od trzydziestu lat w tym samym miejscu. A tu ma powstać nowy, reprezentacyjny teatr.

- Teatr? Twój ojciec by się ucieszył.

- Nie wątpię - potwierdził, nie będąc jednak pewny, czy się nie myli. Swojego ojca przecież ledwo pamiętał. A ten, który mu go zastępował, był odleglejszy niż najdalsza planeta. Zresztą on też już nie żył. Układy gwiazd, które Fernando zwykle studiował w ważnych życiowych momentach, już dawno tę śmierć zapowiadały, więc nie była ona dla niego zaskoczeniem. Zaskoczyła za to jego matkę, która nigdy nie podzielała astrologicznych zainteresowań Fernanda i w nic, co gwiazdy mówiły, nie wierzyła.

Ojczym zmarł ponad rok temu, co zmusiło matkę do powrotu do Portugalii. I tak, dwukrotna wdowa wraz z przybyciem do lizbońskiego portu po raz kolejny rozpoczynała nowy rozdział w swoim życiu.

Jak ustalili wcześniej listownie, wprowadzali się do sześciopokojowego mieszkania, które specjalnie dla nich zwalniała przyrodnia siostra Fernanda, Teca. Był to gest niezwykle potrzebny i doceniony - szukanie lokum przez umęczoną podróżą i ostatnimi przeżyciami matkę nie wchodziło w grę, podobnie jak jej wprowadzenie się do ciasnego mieszkanca, które Fernando obecnie zajmował.

Pomysł wspólnego zamieszkania wygrał ze wszystkimi innymi głównie ze względów ekonomicznych. Tak było po prostu taniej.

Istniała też duża szansa, że Fernando nie będzie musiał co parę miesięcy zmieniać lokum, jak było do tej pory.

Wprowadzili się na Rua Coelho da Rocha w dzielnicy Campo de Ourique. Choć leżała ona w granicach miasta, mieszkańcy starych dzielnic Lizbony postrzegali ją jako osobną miejscowość. Otaczały ją łąki i farmy, a w nowych kamienicach mieszkali głównie przedstawiciele klasy średniej.

Mieszkanie mieściło się na pierwszym piętrze dwupiętrowego budynku o gładkiej, kremowej fasadzie. Jego

okna wychodziły na zadbaną uliczkę prowadzącą do targu, na którym okoliczni mieszkańcy zaopatrywali się w soczyste owoce, świeże mięso, jaja i sery. U wylotu ulicy stał też kościół, do którego natychmiast po obejrzeniu nowego mieszkania udała się matka.

Mieszkanie było puste, pozbawione mebli i sprzętów zabranych przez Tecę, ale matka szybko zadbała o jego urządzenie. Wstawiła przywiezioną z Afryki komodę i kilka małych hebanowych stolików. Zawiesiła lustro w ciężkiej posrebrzanej ramie.

Pokój, który zajął Fernando, był mały, ale komuś tak przyzwyczajonemu do ciasnych klitek jak on w zupełności wystarczał. Pokój miał tylko jeden minus - aby go wywietrzyć, należało otworzyć drzwi, przejść do sypialni naprzeciwko i w niej otworzyć okna. Pokój Fernanda był bowiem okien pozbawiony. To też specjalnie by mu nie przeszkadzało, gdyby nie nałóg palenia, który sprawiał, że zajmowane przez niego pomieszczenie często wypełniała gęsta tytoniowa chmura uniemożliwiająca mu czytanie, pracę, a nawet spanie. Urządzenie pokoju nie zajęło Fernando wiele czasu - uznał go za umeblowany po wstawieniu prostego łóżka, szafy, ciężkiej komody z czterema szufladami i regału wypełnionego niezliczoną ilością książek.

„Może tutaj dożyję swoich dni - myślał, przypominając sobie przepowiednie astrologa, że będzie żył krótko. - A może wyemigruję do Anglii, jak moi przyrodni bracia”.

Mieszkanie było przytulne i wystarczająco przestronne, aby zapewnić komfort jego lokatorom, a mimo to matka jeszcze długo po przyjeździe nie mogła dojść do siebie. Dużo odpoczywała, zwłaszcza że mniej sprawna od ataku apopleksji ręka teraz znowu zaczęła dawać się jej we znaki. Z tego powodu matka obawiała się, że lekarze mogą przepisać jej elektrowstrząsy, tak jak tuż po wypadku. Choć nie było

żadnych wskazań do powtórzenia terapii sprzed niemal pięciu lat, wspomnienie tamtego okresu było dla niej tak traumatyczne, że na samą myśl o nim wpadała w głębokie przygnębienie. Nie chodziło jednak tylko o niedomagania fizyczne. Tak naprawdę ciężko było jej przyzwycząić się do wilgotnych, zimnych wiatrów szarpiących okiennice w ich nowym, lizbońskim mieszkaniu. Wbrew temu co mówiła, tęskniła do dni spędzonych w Durbanie i Pretorii, do przewidywalnej pogody, do splendoru otaczającego żonę dyplomaty. Narzekała na ludzi. Ci, których niegdyś znała, odeszli, nowe twarze nie wzbudzały w niej zaufania, a najbliższa jej sercu siostra Anica wyemigrowała wraz z córką do Szwajcarii.

Lizbona wydawała jej się obca, inna niż zachowana w pamięci. Nie podzielała zachwyty Fernanda nad zmianami zachodzącymi w mieście, nie była ciekawa nowych ulic, kamienic i pomników, a ten brak zainteresowania bolał z kolei Fernanda. Dlatego idylliczna koegzystencja syna i matki rozdzielana była okresami sprzeczek i nieporozumień. Za każdym razem gdy tak się działo, Fernando wyrzucał sobie:

- Nie umiem współżyć z innymi. Nie umiem być nawet z tymi, którzy są we mnie, a przecież są po części mną. Powinienem uciec od wszystkich, ale żeby to zrobić, musiałbym uciec też od siebie.

Rzadko bywał w domu. Spędzał długie godziny w Cafe Martinho, zapisując kolejne kawiarniane serwetki. Jego postać, pochylona nad stołem, była dobrze znana bywalcom kawiarni. Nikt nie dziwił się, że gdy inni opuszczali zamykany przez właściciela lokal, on dostawał kolejny kieliszek absyntu. Miał specjalne względy i stali klienci o tym wiedzieli.

Jest późny wieczór. Fernando stara się pracować, ignorując uciążliwe towarzystwo, które zebrało się w przeciwległym końcu lokalu. Mężczyźni najwyraźniej coś

świętują, co rusz wznoszą toasty, poklepują się po plecach, głośno wykrzykują pozdrowienia w kierunku dołączających do nich towarzyszy.

Ciężko się myśli w takich warunkach, zazwyczaj w Cafe Martinho jest spokojnie. Fernando nie ma jednak pieniędzy, żeby przenieść się gdzie indziej i zapłacić za następną kolejkę alkoholu. Siedzi więc z zaciśniętymi na piórze palcami i oszukuje samego siebie, wmawiając sobie, że pracuje. Ma wrażenie, że im bardziej się stara, tym mniej mu wychodzi, a jeśli już coś wychodzi, to i tak nie jest z tego tak naprawdę zadowolony.

„Co się dzieje?“, zastanawia się.

Ociera chustką pot z czoła, czując pulsujące pod skórą gorąco. Od kurzu przywianego spod kół tramwaju kursującego do Placu Pałacowego lepi się jego stolik, przez co Fernandowi przychodzi na myśl, że rzeczy martwe też się pocą. Zaraz jednak jego myśli zbaczają na inny tor.

„Może powinienem zająć się czymś nowym. Może powinienem otworzyć własne wydawnictwo. Wydawać to, czego wydawcy nie chcą wydawać...“, rozważa.

Mężczyźni po drugiej stronie sali nie milkną. Fernando nie może się skupić, przeszkadza mu też uporczywie brzęcząca mucha. Kiedy ta wreszcie siada na brzegu stolika, Fernando uśmiecha się.

- Chwila ciszy - zauważa, po czym chwyta gazetę i zdecydowanym ruchem zabija owada. - Nareszcie.

Ale chwila ciszy jest krótka. Pojawiają się kolejne głosy, coraz bardziej natarczywe. Fernando słyszy je doskonale w swojej głowie. Pomocne niegdyś, teraz tylko mu przeszkadzają. Tak jest już od jakiegoś czasu. Nie może ich zrozumieć, przemawiają nieskładnie, a z potoku słów nie sposób wyłowić żadnej treści.

„Może absynt tak miesza mi w głowie“, myśli.

Nie może też pozbyć się męczącego przekonania, że wszystko zmierza ku przepaści, znad której nie ma już odwrotu. Boi się, że dzieje się to, czego obawiał się przez całe życie - że traci rozum jak jego babka Dionisia.

Bo ostatnimi czasy Fernando nie czuje się dobrze. Spędza beczynnie godziny i dni. Postacie, które kiedyś stworzył, teraz mu przeszkadzają. Ich głosy denerwują go. Zamiast tworzyć, niszczą, zamiast być źródłem natchnienia, przynoszą cierpienie. Kiedy Lizbonę ogarnia jesienna apatia, Fernando przechodzi najcięższy kryzys. Nocne wędrówki po coraz zimniejszym, coraz bardziej wyludnionym mieście nie służą poprawie jego nastroju. W głowie kłębią mu się najróżniejsze pomysły, ale tylko jeden powraca jak bumerang: należy się zamknąć w szpitalu psychiatrycznym.

Ponieważ Fernando ograniczył kontakty towarzyskie, żaden z jego przyjaciół nie zauważa, w jakim poeta jest stanie. Tylko matka, zdolna dostrzec każdą zmianę nastroju syna, widzi jego przygnębienie. Nie wie jednak, co jest przyczyną stanu, w którym Fernando coraz bardziej się pogrąża. On sam zresztą też nie bardzo rozumie, co się dzieje. Przecież jeszcze niedawno wydawało mu się, że jest szczęśliwy.

Jednak to, co dobre, minęło. Przyszło odrętwienie i chaos, które zabrały mu najcenniejszą w życiu rzecz - słowa.

ROZDZIAŁ 43

Czułam, że Teresa nie powiedziała mi wszystkiego. Dlaczego była taka tajemnicza? Od kilku już minut stałam pod drzwiami jej mieszkania, czekając, aż mi otworzy. Wiedziałam, że tam jest. Słyszałam jej nerwowe kroki na starym drewnianym parkiecie. Nawet pies szczeknął dwa razy. Czy nie miała zamiaru więcej ze mną rozmawiać? Czekałam cierpliwie, licząc na to, że tą cierpliwością ją pokonam.

Oplącało się - drzwi w końcu zostały otwarte.

- Nie mam czasu - wysyczała Teresa, zanim zdążyłam o cokolwiek zapytać. - Proszę przyjść do Santa Engracia, będę na głównym tarasie o czternastej.

- Ale... - zaczęłam.

- Senhora głucha? Nie mam czasu - i zatrzasnęła drzwi zupełnie jak podczas naszego pierwszego spotkania.

Nigdy nie spotkałam wcześniej tak trudnej kobiety. Ile wysiłku musiało kosztować codzienne życie z nią! Czy była taka dla wszystkich? Czy gorycz zjadła całą jej życzliwość?

Było jeszcze wcześniej i do czternastej pozostawało dużo czasu. Wróciłam na „swoją” ulicę. Pastelaria na Rua de Sao Paulo była pełna. Miałam nadzieję spotkać kogoś znajomego - może sprzedawcę z błękitnej bramy, a może dziewczynę z piekarni. Chociaż zamieniłam z nimi tylko kilka słów, wydawało mi się, że znam ich dużo lepiej niż Teresę. Niestety zamiast nich w kafejce widziałam zupełnie obcych ludzi.

Nikt nie zostawał na dłużej. Ludzie wchodzili i wychodzili, jakby wypicie kawy było dla nich zaledwie krótkim, ale niezbędnym do życia oddechem. Proces złożenia zamówienia, otrzymania kawy i wypicia jej nie trwał dłużej niż kilka absolutnie niezbędnych minut.

- Byłeś na dole? - usłyszałam głośne pytanie gdzieś zza moich pleców. Obejrzałam się za siebie. Przy ladzie stał lekko przygarbiony mężczyzna.

- W korytarzach? Nie, Tito się bał. Zresztą Clara nie miała wolnego - odpowiedział mężczyzna przy ladzie.

- Oj, Antonio jak zwykle pod pantoflem - zaśmiał się barman, a potem z dumą dodał: - Ja byłem. Wszystko z rzymskich cegieł. Poza tym: ciemność.

- Antonio, nie zapomnij przyjść jutro na sardynki - odezwał się trzeci mężczyzna.

- Dajcie spokój z sardynkami. Jestem rybakiem, na Boga! Chcę mięsa!

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem, a ich głosy rozpląnęły się w szumie innych rozmów.

Ten, którego nazywano Antonio, spojrział na barmana.

- Urna bica proszę.

Otrzymał filiżankę wielkości naparstka z czarną kawą i jaśniejszą nieco pianką pośrodku. Liczyła: wsypał do kawy trzy łyżeczki cukru, zamieszał dwa razy równie małą jak filiżanka łyżeczką - na tyle filigranową, by jej główka zmieściła się w minifiliżance. Nad ladą rozszedł się aromatyczny zapach, a płyn nabrał konsystencji rozpuszczonej czekolady. Mężczyzna odłożył łyżeczkę na brzeg spodeczka.

Teraz nadeszła odpowiednia chwila. Antonio wyprostował się, ściągnął łopatki i nie próbując nawet wcisnąć palca w igielne niemal ucho filiżanki, podniósł ją na wysokość ust. Odchylił głowę w tył i wysączył odrobinę naparu. Na chwilę znieruchomiał, jakby próbując przytrzymać cenną myśl, która nagle pojawiła się w jego głowie. Oblizał wargi, zlizując zapewne resztki cukru, który osiadł na krawędzi filiżanki. Uśmiechnął się, opuścił dłoń i stukając o porcelanowy spodeczek, odstawił filiżankę. Przesunął się krok do przodu, aby zrobić miejsce dla nowego klienta, który właśnie zza jego pleców zamawiał swoją porcję małej czarnej. Potem znów podniósł filiżankę. Skosztował.

W tym czasie barman ustawiał na ladzie kolejne filiżanki, a klienci wlewali w siebie dawki kofeiny. Szum ekspresu do kawy, gwar głosów, stukanie łyżeczek tworzyły atmosferę podniecenia i relaksu jednocześnie - chwili tylko dla siebie.

Ostatni łyk. Te same ruchy. Filiżanka uniesiona do ust, łopatkę ściągnięte, głowa odchylona. Mężczyzna odstawia filiżankę, macha barmanowi na pożegnanie, po czym spogląda na mnie, gdy nieudolnie próbuję naśladować jego sposób picia kawy. Wychodzi, uśmiechając się lekko.

ROZDZIAŁ 44

Gdyby Joana nie była całkowicie pochłonięta prowadzeniem piekarni i wymyślaniem coraz to nowych przepisów, z pewnością poświęciłaby się zielarstwu.

Świat kwiatów, krzewów i drzew od zawsze ją fascynował, co z czasem przekształciło się w zainteresowanie ziołami i zielarstwem. Dźwigając podręcznik ziołolecznictwa, który dostała na dwudzieste urodziny od bliskiej kuzynki, jeździła daleko poza Lizbonę, aby brodząc w mokrej o poranku trawie, wypatrywać rzadkich ziół i przekopywać łąki w poszukiwaniu leczniczych korzeni. Zioła sadziła także w małym ogródku na dziedzińcu, utworzonym przez kilka przylegających do siebie kamienic.

Znajomość roślin wielokrotnie jej się w życiu przydała. Na przykład wtedy, gdy wspomniana kuzynka, będąc w ciąży, cierpiała na bolesne hemoroidy. Joana słyszała co prawda o cudownej metodzie polegającej na umieszczeniu w odbycie surowego ząbka czosnku, jednak metoda ta wydawała jej się zbyt brutalna, by ją zastosować w wypadku delikatnej kobiety. Zamiast tego zaaplikowała kuzynce czosnek w diecie, wzmacniając tym samym ściany żył, a poza tym podawała jej napary z oczaru wirginijskiego, kwiatów arniki górskiej i korzenia żywokostu lekarskiego.

Umiejętności Joany przydały się także jej starej sąsiadce, która wymyślała sobie różne choroby, a tak naprawdę nie mogła uwolnić się od uporczywych migren. Joana ulżyła jej cierpieniom dzięki mierznicy czarnej, którą sąsiadka zgodziła się zażywać w formie naparu trzy razy dziennie.

Joana zbyt dobrze знаła Pedra, aby nie zauważyć, że od dwóch dni nie jest sobą. Był dziwnie roztargniony i jakby nieobecny, miał worki pod oczami i bardzo różnił się od Pedra złośliwca, którego zawsze tak lubiła. Co dziwniejsze, zwykle nieskory do zwierzeń, tym razem - zapytany o powód

zmartwienia - bez owijania w bawełnę opowiedział Joanie o problemach z dorastającą córką.

- Jesteś kobietą, powiedz, co mam robić? - pytał Joanę. - Przecież nie jestem tyranem - biadolił.

Joana nie chciała mieszać się w rodzinne sprawy Pedra, ale z uwagą go wysłuchiwała, po czym - wiedząc, że od trzech nocy nie zmrużył oka, a jego nerwy rwą się jak zleżące płótno - zaoferowała mu jedyny znany jej skuteczny sposób pomocy - kurację męczennicą, która mimo niefortunnej nazwy, miała właśnie Pedra od zmęczenia uwolnić.

- Nigdy nie miałam dzieci, ale wydaje mi się, że czasem warto przeczekać, zamiast rozpętywać wojnę - powiedziała. - Zrobię ci nalewkę, która postawi cię na nogi, bo źle wyglądasz.

Następnego dnia wzięła trzy kwiaty i pięć liści zebranej w pełnym słońcu i wysuszonej w cieniu męczennicy, zalała je spirytusem i odstawiła „do przegryzienia”.

- Pij trzydzieści kropli trzy razy dziennie - poradziła, wręczając Pedrowi buteleczkę z półprzezroczystą cieczą.

Kioskarz nie bardzo wierzył w moc ziołowych specyfików, ale był już niemiłosiernie wyczerpany domowymi kłótniami i postanowił posłuchać rad Joany. Dzięki temu jeszcze tej samej nocy, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki, jego powieki ciężko i bezwiednie opadły, skurczone mięśnie rozprężyły się, a umęczony umysł wyprodukował wizję, w której śnił o tym, że jego stosunki z córką uległy poprawie.

ROZDZIAŁ 45

Santa Engracia to kościół położony we wschodniej części miasta, pełniący obecnie funkcję narodowego panteonu. Jego budowę rozpoczęto w siedemnastym wieku i do czasów Pessoa nie została ukończona. Pessoa pisał, że za jego czasów mieścił się tu skład wojskowy. Przypuszczałam, że ta informacja jest już nieaktualna, i nie myliłam się.

Widziałam ten budynek już wcześniej, kiedy przypadkiem trafiłam na targ staroci i kupiłam swój wyjątkowy przewodnik. Wtedy jednak nie zajrzałam do środka. Pamiętam tylko, że kościół błyszczał w słońcu bielą ścian i emanował spokojem.

Kiedy dotarłam do Santa Engracia, trawniki, na których w dzień targowy leżały koce z bogactwem drobiazgów, były puste i nie pozwalały domyślać się panującego tutaj czasem gwaru. Jedynym odgłosem była syrena odpływającego z portu statku.

Kościół był otwarty. Wspięłam się po schodach, wciąż jeszcze oślepiona wszechogarniającą bielą. Mój wzrok długo nie mógł przywyknąć do nagłego mroku, który panował we wnętrzu świątyni.

Samotne wędrowanie po mieście wciągało mnie coraz bardziej. A im bardziej wciągało, tym bardziej chciałam zadzwonić do Kostka i opowiedzieć mu o Lizbonie, o pięknym fado i starym przewodniku Pessoa. Wiedziałam, że Kostek byłby tym wszystkim zainteresowany. Nie zadzwoniłam jednak. Chyba kierował mną fałszywy wstyd. Ten wstyd kazał mi myśleć, że kontaktowanie się z Kostkiem teraz oznaczałoby moją porażkę, świadczyłoby o wewnętrznej klęsce. Poza tym Kostek mógłby pomyśleć, że potrzebuję go nawet w tak odległym i ciekawym jak to miasto miejscu.

Stałam na posadzce we wzory ułożone z kamiennych płyt w różnych pastelowych kolorach, zadzierając głowę ku kopule

wieńczącej ściany i filary. Gdzieś tam, na ostatnim tarasie, miała czekać Teresa.

Choć był środek dnia, Santa Engracia świeciła pustkami. Subtelne zdobienia i brak świętych obrazów, złocień i „zatłoczonych”, bogatych w szczegóły fresków budowały ascetyczny porządek i harmonię. Podłogę, ściany, schody i kolumny pokrywała mozaika z polerowanego marmuru. W przytłumionym świetle jej jasne fragmenty nabierały beżowej jak mnisi habit barwy. Próbowałam wyobrazić sobie skrzynki z bronią i prochem stojące jedne na drugiej wzdłuż ścian Engracii, co opisywał Pessoa, ale spokój panujący w pogrążonym w półmroku wnętrzu nie zezwalał na pojawienie się tej militarnej wizji.

Przeszłam pod filarami, szukając schodów prowadzących na dach - taras znajdujący się na wysokości podstawy kopuły. Zamiast stopni znalazłam jednak korytarz prowadzący - jak mi się zdawało - do wnętrza ścian. Przeszłam kilka kroków, korytarz obniżył się, tak że przejście nim wymagało schylania głowy. Potem ściany z marmurowych zrobiły się ceglane. Miałam wrażenie, że trafiłam do najstarszej części budowli, do wyłaniających się z mroków historii piwnic. Wycofałam się, próbując nie opuścić głównego korytarza, nie wejść w którąś z jego bocznych odnóg. To miejsce, tak jak i całe miasto, żyło przeszłością. Każdy krok przybliżał do przeszłości, każde spojrzenie napotykało pozostałości minionych wieków, nie gubiąc jednocześnie nic z teraźniejszości.

Czy nie po to właśnie przyjechałam do Lizbony? Czy nie chciałam wskrzesić przeszłości, przywołać miniony czas po to, aby zrozumieć to, co dzieje się teraz? Docenianie przeszłości nie oznacza przecież sentymentalizmu. Raczej czerpanie z potencjału, jaki przeszłość z sobą niesie. Wtedy przestaje mieć znaczenie, czy owa przeszłość była dobra czy

zła... A zrozumienie przeszłości daje szansę na uwolnienie się od bierności i maskującej ją pogody ducha.

Schody zaprowadziły mnie na kolejne piętro. Trudno było mi określić, na jakiej wysokości się znajduję, bo owe piętra przeistaczały się także w pół - i ćwierćpiętra ze spocznikami rozrastającymi się czasem do rozmiarów pokoi, salek i balkonów otwartych na wewnątrz kościoła. Jak kobieta w wieku Teresy zamierzała wspiać się na tę wysokość, pozostawało dla mnie zagadką. Nie wiem, dlaczego chciała spotkać się akurat tutaj. Czy nie prościej byłoby umówić się w jej mieszkaniu?

Spojrzałam w dół. Wysokość zaczynała powodować zawroty głowy, a ludzie, którzy znajdowali się w kościele, wyglądali, jakby skurczyli się do rozmiarów wyrośniętych krasnali.

Minęłam ostatnie piętro i dotarłam do sklepienia kopuły. Kilka schodków wyżej jaśniał otwór prowadzący na dach kościoła.

Ktoś mignął w nim, zasłaniając mi na chwilę światło. To musiała być Teresa. Wspięłam się po schodkach i wyjrzałam na zewnątrz. Słońce oślepiło mnie na parę sekund i nie widziałam nic prócz czarnych plam przed oczami. Powiał wiatr, który na chwilę wstrzymał mój oddech. Teresa najwidoczniej przeszła na drugą stronę kopuły - tam wiało mniej. Ruszyłam jej śladem.

Gdyby nie wiatr, byłoby to naprawdę przyjemne miejsce. Mieniący się setkami odcieni błękitu i szarości Tag płynął swoim powolnym rytmem, żadne odgłosy z ulicy nie zakłócały ciszy. Może Teresa to miejsce po prostu lubiła?

Obeszłam kopułę, ale Teresy nie znalazłam. Przyspieszyłam kroku, by szybciej znaleźć się u wejścia do wnętrza budowli. Widziana wcześniej postać właśnie zniknęła w drzwiach.

- Teresa! - zawołałam, podbiegając.

Kobieta odwróciła się, zaskoczona tym nagłym krzykiem. Już otworzyłam usta, by coś powiedzieć, ale nagłe wejście w ciemność ponownie mnie oślepiło. Zdawało mi się, że mijają wieki całe, a ja zapadam się w bliżej nieokreślone, pulsujące obrazy, słyszę swój nierówny oddech, czuję drganie powiek i chwiejność kroku.

Kiedy odzyskałam wzrok, zobaczyłam przed sobą twarz młodej kobiety. Patrzyła na mnie zdziwiona. Nie była to Teresa.

ROZDZIAŁ 46

Kostek wielokrotnie powtarzał mi, że zbyt wiele od siebie wymagam, że za wysoko stawiam poprzeczkę. Zawsze wtedy oponowałam, ale w głębi duszy wiedziałam, że ma rację.

To prawda, lubiłam działać konsekwentnie, wedle planu, bo wtedy łatwiej osiągnąć cel. Dzięki temu się nie gubiłam. Dlatego rano zapisywałam, jak będzie wyglądał mój dzień. Słowo pisane jest przecież bardziej zobowiązujące niż ruchome obietnice.

Kostek naklejał karteczki, aby czegoś nie zapomnieć. Nie spełniały swej funkcji, bo Kostek nie pamiętał, by je przeczytać.

Co zapisywałyby w takiej sytuacji Dominik? Punkt pierwszy - spotkać ciekawych ludzi. Punkt drugi - zapamiętać zapach pustyni. Punkt trzeci - nie zatrzymywać się...

Gdybym umiała działać bardziej spontanicznie, może Dominik nie budziłby we mnie takiego podziwu. Może jego życie wydawałoby mi się zwyklesze, bardziej przeciętne. Ale niewiele osób żyje tak, jak on żył - kiedy był śpiący, szedł spać, kiedy był spragniony, pił, myślał, kiedy miał ochotę, a wyłączał umysł, gdy był zmęczony.

W tym Kostek był podobny do Dominika. Dziwne, że dopiero w Lizbonie to zauważyłam. Przecież działali tak samo intuicyjnie, buntowali się przeciw życiu lub mu ulegali, ale nigdy nie pisali scenariuszy wydarzeń. To była moja specjalność. Nie do końca mi to odpowiadało i gdyby część uporządkowania zniknęła z mojego życia, nie prosiłabym o jego powrót.

Wielu ludzi nie wie, jak przeżyje kolejną minutę. Ja doskonale to wiedziałam, ale jednocześnie w skrytości ducha czułam, że w moim życiu jest miejsce na więcej. Mój pobyt w Lizbonie, poszukiwania Rosy, spotkanie z Teresą i myśli,

które w związku z tym pojawiły się w mojej głowie - to wszystko zaczęło właśnie to „miejsce na więcej” wypełniać.

ROZDZIAŁ 47

Fernando, przekraczając próg domu, strzepuje z kołnierza krople deszczu, który przed chwilą złapał go na Rua do Carmo. Pogoda jest ostatnio nieprzewidywalna. Tak samo jak nieprzewidywalny jest nastrój Fernanda. Co prawda najcięższy kryzys, który sprawił, że jego myśli zapętleły się jak marynarski węzeł, już minął, ale spokój nie zdażył jeszcze zagościć w jego skłonnej do melancholii duszy.

- Nadejdzie czas, że wszyscy będą mieć samochody - mruczy, zły, że przemoczył swój jedyny płaszcz. Upija łyk wody, próbując złagodzić smak mocnej bica wypitej w Cafe Nicola. Była to pierwsza filiżanka kawy, której Fernando skosztował w tej kawiarni. Cafe Nicola działała co prawda od dawna, ale do tej pory można było napić się tam tylko alkoholu. Kawa istniała w menu dopiero od tego roku, a tak się złożyło, że choć Fernando przechodził przez Largo do Rossio tysiąc razy, ani razu nie miał czasu, który chciałby poświęcić na wypicie kawy w tym coraz modniejszym lokalu. A Cafe Nicola stawała się modna. Już teraz można było spotkać w niej pisarzy i poetów, natchnionych artystów i krytyków muzycznych wypuszczających okrągłe jak pączek z dziurką dymki ze swoich cygar i papierosów. Położenie Cafe Nicola miało swoje niezaprzeczalne plusy - leżała na szlaku, na który, wyruszając na miasto, bez wątpienia w którymś momencie dnia trzeba było wejść.

„Muszę spotkać się tam z panem Negreirosso - myśli, przekręcając żartobliwie nazwisko przyjaciela, Almady Negreirosa. - Niech tam namaluje mój portret, skoro już musi”.

Jest pora obiadowa, ale Fernando wcale nie czuje głodu. W zasadzie mało jada, a prawie nigdy nie pamięta o tym, by jadać regularnie. Matka nieustannie robi mu z tego powodu wyrzuty, ale nie odnosi to skutku.

Zza kotar zasłaniających okno salonu dochodzi go przeraźliwe skrzeczenie papug. To sąsiadka znowu wystawiła na taras parę swoich błękitnych pupilków, a te na widok ptaków kryjących się w konarach pobliskich drzew rozpoczęły koncert.

„Dobrze, że nie ma tu kotów - myśli Fernando, zaciągając mocniej kotary. - Zjadłyby papużki na podwieczorek”.

Siada w fotelu matki i wyciąga fajkę, próbując rozgrzać się po spacerze, ale tytoń zamiast ciepła przynosi rozgoryczenie. Po raz setny wraca uczucie braku zrozumienia przez innych i bezcelowości tego, co w życiu robi. „Jaki to wszystko ma sens?”, zastanawia się.

Jego wzrok pada na blaszane pudełko, którego wieczko wystaje z otwartej szuflady komody. Sięga po nie, uświadamiając sobie jednocześnie, że dobrze wie, co jest w środku - zaraz poczuje mdły zapach ryb rozładowywanych w porcie, usłyszy pokrzykiwania mężczyzn pracujących na statkach, a jego oczy oślepi feeria kolorów na straganach z zasuszonymi piórami i pazurami drapieżników... Wszystkie te obrazy, smaki, zapachy i odgłosy zamknął przecież szczelnie w pudełku razem z wierszami wpisywanymi do szkolnego kajetu. Kartki pogniosły się w podróży z Durbanu i poplamiały. Fernando przegląda je teraz, nie dbając o spadający z fajki tytoń, który przyprósza i tak już mało czytelne wersy.

Kiedyś uważał te utwory za genialne. Wydawały mu się niezwykle, doskonale, odkrywcze...

„Tak mi się podobały - wraca pamięcią do przeszłości. - Sądziłem, że mają wielką przyszłość. Ale krytycyzm rośnie z wiekiem. Im jestem starszy, tym mniej pewny swojej twórczości. Teraz wiem, że wątpienie nie jest luksusem, ale męką”.

Z zamyślenia wyrywa go huk rozlegający się na zewnątrz. Podbiega do okna i jednym ruchem rozsuwa kotary. Klatka z

papugami urwała się z haczyka, uderzyła o mosiężną balustradę i spadła na posadzkę tarasu.

- Przekłete ptaszyska - denerwuje się Fernando.

- Ptasyska, ptasyska - słyszy przedrzeźniający go papuzi głos.

Zamyka okna, ale wspomnienia już odplynęły. Za to pojawiła się myśl, że pragnie być kimś innym, niż w rzeczywistości jest. Że do tego cały czas dąży, że to jest busolą jego poczynań. Ale czyż jego wysiłki nie powiodły się? Jest w nim przecież uczeń stoików Ricardo Reis, jest i jego alter ego Bernardo Soares notujący w Księdze niepokoju swoje spostrzeżenia, jest Alvaro de Campos podpisujący się pod wierszami publikowanymi w literackich periodykach.

„Tak bardzo ich ożywiłem, że teraz są bardziej mną niż ja sam - myśli. - Mnie w zasadzie nie ma. Ja nie żyję, ja tworzę i to tworzenie jest konieczne. Życie nie”.

Nie wie, do której postaci jest najbardziej przywiązany. Która przejęła jego upodobania? Być może żadna. Każda ma przecież własną biografię, charakter, cechy fizyczne, upodobania i przypadłości ciała, a nawet adres.

Tak jak Fernando, tak i oni są z natury samotni. Nie kochają, nie targają nimi wichry namiętności. Campos, stary kawaler, wynajmuje mieszkanie w Lizbonie, doktor Reis prowadzi praktykę w odległej Brazylii, a Caeiro, mistrz nad mistrzami, całe życie pomieszkuje u starej ciotki na wsi.

Ich koegzystencja jest jednak zgodna, choć nie zgadzają się w poglądach i choć piszą w zupełnie różny sposób.

Wszyscy mają wspólną cechę - spod ich pióra wychodzą niezliczone ilości tekstów. Poezji, szkiców krytycznych, poematów, listów, recenzji... zaledwie część z nich pojawia się w druku, dostępnym zresztą tylko wąskiej grupie odbiorców. Większość z nich nie ujrzy światła dziennego jeszcze przez

długie lata, ale ani Fernandowi ani żadnemu z jego wcieleń nie przeszkadza to tworzyć dalej.

„Santa - Rita Pintor malował rozczłonkowane akty i geometryczne portrety, a ja rozczłonkowałem siebie samego...”, myśli sennie, przymykając coraz cięższe powieki, aż wreszcie zdrowy sen całkowicie uwalnia go od rzeczywistości.

ROZDZIAŁ 48

Teresa nie przysłała na spotkanie. Może w ogóle nie miała zamiaru się pojawić. Każde z jej słów mogło być wymówką.

Kostek przysłał mi SMS - a z pytaniem, kiedy wracam. Powinnam odpowiedzieć, że zostało mi jeszcze kilka dni.

Dlaczego słowa przychodzą z takim trudem? Czasem mam wrażenie, że coś we mnie jest, coś, co chce się wydobyć, ale kiedy daję temu wolną drogę, okazuje się, że jest tylko pustka. Aqueduto das Aguas Livres był znacznie oddalony od centrum miasta. Chciałam jednak do niego dotrzeć, chciałam podążać ścieżkami wydeptanymi niegdyś przez Rosę. To o tej budowli mówiła Teresa, kiedy widziałyśmy się ostatni raz. Być może była to też ostatnia wskazówka, której mi udzieliła. Musiałam to sprawdzić.

Po dwudziestominutowej wędrówce trafiłam do nowszej części Lizbony. Stało tu kilka bloków, typowych dla obrzeży wielkich miast. Miały po dziesięć klatek i źle dopasowane żaluzje w wymagających wymiany oknach. Minęłam bazar, na którym można było kupić zarówno męskie skarpetki, jak i egzotyczne owoce. Coś mi ten widok przypominał. Może warszawskie bazarki usytuowane w najdziwniejszych miejscach stolicy?

Mrówkowce szybko się skończyły i znalazłam się w biznesowej dzielnicy. Szklane biurowce raziły swoją schludnością, a w zatoczkach przy budynkach niedbale parkowały samochody najnowszych marek. Było tu raczej pusto, jakby luźniej, chociaż ruch na szerokiej ulicy stanowił zapewnienie, że znajduję się blisko ważnej arterii miasta. Wreszcie szkło, beton i ekskluzywne butikie ustąpiły miejsca starszym budynkom, przetykanym gdzieś blokami, jednak dużo niższymi i bardziej zadbanymi niż widziane wcześniej mrówkowce. Miałam wrażenie, że w tej dzielnicy

nikt nie ma prawa pojawić się przypadkowo. Była zbyt oddalona od centrum.

Przysiadłam na ławce na niewielkim skwerku pomiędzy starą kamienicą i nowym blokiem. Tutaj też były sklepiki, musiała też gdzieś znajdować się piekarnia, bo pachniało świeżym pieczywem. Niedaleko mnie, parę ławek dalej, siedziała młoda dziewczyna w džinsach. Ze zdumieniem odkryłam, że trzyma na kolanach uwiązaną na smyczy jaszczurkę. Jaszczurka nie chciała siedzieć spokojnie, więc dziewczyna postawiła ją na trawie i obie pomaszerowały w stronę osiedlowej uliczki.

Ja także ruszyłam dalej. Skręciłam za róg kamienicy i zesłam po paru schodkach na niższy poziom. Starta nieco tabliczka z napisem „Arco Grande” widoczna była już z daleka. Za nią, za kolejnym skwerkiem, dostrzegłam fragment kamiennej budowli, która - jak monstrualny ptak skrzydła - rozpościerała łuki nad Doliną Alcantara.

Przeszłam pierwszą bramkę strzegącą wejścia na teren Aqueduto das Aguas Livres i zobaczyłam budkę strażnika ukrytą pomiędzy kwitnącymi krzewami fuksji. Ledwo zdołałam ją zarejestrować, z budki wyszedł dojrzały mężczyzna i powłócząc nogą, wolno zbliżył się do mnie.

- Senhora - zmierzył mnie wzrokiem - pani zabłądziła bądź chce mi umilić dzień - powiedział, chuchając mi w twarz dymem papierosowym. - Dzień nie za piękny na spacer - spojrzał w górę, na niebo, które zdążyło już nakryć się szarawymi chmurami zwiastującymi zmianę pogody.

- Chciałam wejść na akwedukt, podobno jest stąd piękny widok.

- O, w całym mieście nie znajdziesz lepszego. A co, nietutejsza?

- Nie, jestem w Lizbonie na krótko.

- Po urodzie poznałem, że cudzoziemka - mrugnął do mnie kokieteryjnie. - Takie oczy musiały przyjechać z daleka - zbliżył się do mnie. - Ale, kochana, niestety ja już zamykam - zreflektował się nagle.

- Ja tylko na chwilę, na pewno może pan zaczekać pięć minut - poprosiłam.

- Kochana, akwedukt do piątej, piąta minęła. Mogę najwyżej zaprosić na kawę - znowu mrugnął okiem, a ja zaczęłam zastanawiać się, czy nie lepiej się wycofać.

- Bardzo proszę, to naprawdę nie będzie trwało długo - uśmiechnęłam się, wypróbując działanie zasady: kto uśmiechem wojuje, od uśmiechu ginie. Poskutkowało.

- No dobrze. Pięknym kobietom się nie odmawia. Ale będę ci towarzyszył. Nie zwracaj, kochana, uwagi na moją kulawą nogę. Trzymają mnie tutaj, bo ją taką mam. Państwo dopłaca do zatrudniania kalek.

Przeszliśmy przez kolejną bramkę. W nadciągających szarogranatowych chmurach kamienny Aguas Livres rozpływał się jak dobrze dobrana do podniebnej palety farba. Zapach fuksji rozchodził się w ciepłym powietrzu, choć za chwilę mógł zmyć go letni deszcz.

Pierwszy łuk akweduktu wczepiony był w skarpe, na której stała budka strażnika i którą właśnie opuszczaliśmy. Z prawej strony rozciągała się niczym nieograniczona przestrzeń, z lewej ściana z pierwszą spośród wielu rozstawionych na wiadukcie kamiennych wieżyczek. Szliśmy dalej, w ciszy zakłócanej tylko stukotem drewnianej laski strażnika. Jego obecność była dla mnie krepująca, ale nie miałam innego wyjścia. Musiałam przystać na jego towarzystwo.

- Więc ten wiadukt zaopatrywał miasto w wodę? - zapytałam.

- O tak. Najpierw w mieście były zbiorniki wodne i ludzie sami przychodzili po wodę z wiadrami. Ale strasznie kłócili się, jak to Portugalczycy. Wymyślono więc zawód wiadrarza i to on rozwoził wodę po domach. Niestety ciągle było jej za mało. Więc zaczęto budować ten akwedukt. Gdzieś na początku osiemnastego wieku.

- W takim razie to bardzo stara budowla...

- Tak, ale naprawdę akwedukt zaczął działać dopiero kilkadziesiąt lat później. Jak wszystko u nas - zaśmiał się.

- A gdzie jest woda?

- Kochana, pokażę ci wszystko, chodź - pociągnął mnie dalej. - Spójrz na dół.

Spojrzałam. W dole, jakieś dwadzieścia pięter niżej, pędziły samochody, z tej wysokości małe jak dziecięce resoraki. Ludzie byli tak niewyraźni, że trudno było ich odróżnić od latarni stojących wzdłuż ulicy. Miałam wrażenie, że bliżej nam do samolotu, który właśnie przeleciał nad naszymi głowami, niż do tego, co w dole

- Wysoko! - powiedziałam, przekrzykując wiatr.

- A co, kochana, myślisz. Mógłbym cię teraz zrzucić, jak to robił Diogo Alves - zaśartował.

- Kto?

- Diogo Alves. Największy lizboński rabuś. Czatował tutaj na zbłąkanych spacerowiczów, ograbiał ich, a potem wypychał lekko za murek i pozwalał roztrzaskać się na dole. Pod sobą mamy prawdziwy cementarz. A ilu samobójców wybrało akwedukt, by skończyć tu żywot! Dlatego po tych wydarzeniach budowla długo pozostawała zamknięta.

- A woda? Gdzie jest woda? - Chciałam zmienić ten nieprzyjemny temat.

Strażnik pogrzebał w kieszeni znoszonej koszuli i wyjął z niej pęk kluczy.

- O, tutaj - wskazał na zardzewiałe drzwiczki w jednej z wieżyczek. Wytarł klucz o rękaw i włożył go w zamek. Coś zgrzytnęło, chrupnęło i drzwi otworzyły się.

Zajrzałam do środka. Na podłodze, w korytarzu, który nie miał początku ani końca, leżała pękata rura. Wyłaniała się gdzieś z ciemności tunelu, mijała nas i znikwała dalej w czarnym niebycie. Tunel pachniał wilgocią i bez wątpienia był ulubionym schronieniem miejskich szczurów.

- Woda spływała tędy otwartym korytem aż do zbiorników znajdujących się kilka kilometrów stąd, a potem rurami trafiała do domów. Tak to właśnie działało - uśmiechnął się, najwyraźniej dumny z posiadanej wiedzy.

Wiatr był teraz silniejszy. Szarpał nasze włosy. Strażnik nie miał zamiaru iść dalej. Przysiadł na progu otwartych drzwiczek i wyciągnął papierosa.

- Ja tu posiedzę - zakomunikował. - Przejdź się, kochana, jeszcze kawałek, tam jest lepszy widok.

Z przyjemnością go zostawiłam. Mogłam wrócić do rozmyślań o Rosie i o tym, co działo się w jej życiu, kiedy dwadzieścia lat temu stąpała po tych samych kamieniach co ja teraz. Chciałam podpytać strażnika, czy przypadkiem jej nie kojarzy, bo miałam wrażenie, że pracuje tutaj od zawsze. Nie wiedziałam jednak, od czego zacząć. Szłam więc przed siebie, patrząc, jak niebo z szarego zamienia się w ciemnogrnatowe i jak coraz szybciej pędzą chmury, niosąc zapach wilgoci i obietnicę niespokojnej nocy.

Kiedy wróciłam, strażnik siedział w tym samym miejscu i w zadumie wypalał kolejnego papierosa.

- Lepiej już chodźmy - powiedział do mnie, nie wykonując jednak żadnego ruchu.

Przysiadłam na schodku obok niego.

- Pan pracuje tutaj długo, prawda?

- Kochana, ciebie na świecie nie było, jak ja objąłem to stanowisko. Co nie znaczy, że nie ma już ze mnie pożytku - zaznaczył.

- Dużo ludzi tu przychodziło?

- Bo ja wiem? Niewielu raczej. Najwyżej zakochani. Narzeczeni. Czasem ktoś z ciekawości zajrzał. Ja tam ludzi lubię, chętnie z każdym pogadam. Ale to nie praca dla tych, co lubią mleć jęzorem.

- Wie pan, tutaj kilkanaście lat temu przychodziła moja znajoma. Rosa Moreto. Bardzo lubiła to miejsce. Pan pewnie nie bardzo kojarzy tak odległe czasy?

- Kochana, ja mam pamięć jak nastolatek i wzrok jastrzębia. Jak wyglądała?

Próbowałam przypomnieć sobie zdjęcie Rosy widziane u Teresy.

- Długie włosy, opalona, ciemne oczy...

- Eee... połowa portugalskich kobiet tak wygląda. Sama przychodziła?

- Tak myślę. Śpiewała fado. Była dosyć znana.

- Fado? A to może znam - zamyślił się, a we mnie nieoczekiwanie wstąpiła nadzieja.

ROZDZIAŁ 49

Nalewka z męczennicy przyniosła Pedrowi zdrowy sen, nie mogła jednak rozwiązać jego problemów z córką.

- Od tego gadania załęgły ci się robaki w głowie - mówiła żona Pedra, chcąc uświadomić mu, jak bardzo jego metody nawiązania porozumienia z córką są nieskuteczne. - Nie podnoś na nią głosu - prosiła.

Zanim skończyła zdanie, Pedro przestawał słuchać. Przecież konflikt dotyczył głównie jego i Lucii. To jemu trzaskała drzwiami przed nosem, jemu nie odpowiadała na pytania. Traktował sprawę ambicjonalnie, postanawiając, że prędzej sprzeda swój kiosk w błękitnej bramie, niż zostawi sprawy tak, jak przedstawiały się w tej chwili. A nie wyglądało to dobrze. Lucia nadal poświęcała większość czasu na spotkania z Mauricem, także czas, który powinna spędzać w szkole.

- Co ty z nim robisz!?! - denerwował się Pedro. - W piwnicy siedzicie!

- Nie w piwnicy, tylko w warsztacie! - odkrzykiwała ze swojego pokoju Lucia.

- Po co? Ile można tak siedzieć!?

- Co cię to obchodzi!?! Siedzisz w swoim kiosku cały dzień i co? Co tam robisz?

„Z tym dzieckiem nie da się rozmawiać - myślał Pedro. - Gdzie jest moja Lucia?”

Nie można twierdzić, że Pedro nie miał trochę racji. Z jego córką działy się ostatnio dziwne rzeczy. Przed dwoma dniami w ogóle nie pojawiła się na noc w domu. Kiedy rano weszła do mieszkania, wyglądała tak, jakby przez całą noc nie zmrużyła oka. Miała wymięte ubranie, potargane włosy i mętny wzrok. Zanim Pedro zdążył wyrzucić ze swej sypialni, rzuciła ostro:

- Tylko nic nie mów! - i zamknęła się w łazience, gdzie przepłakała kolejną godzinę.

Incydent ten miał - zgodnie z oczekiwaniami Lucii - zostać zapomniany, jednak Pedro czuł w sercu zbyt wielką zadrę, by pozwolić mu odpłynąć w niepamięć. Dzięki własnej determinacji i z plotek krążących po dzielnicy dowiedział się, że Mauricio jakiś czas temu wprowadził się do opuszczonego domu po drugiej stronie Tagu. Pedro podejrzewał, że właśnie tam jego córka spędza większość czasu.

Ani żona kioskarza, ani tym bardziej on sam nigdy nie sądzili, że któregoś dnia Pedro - w poczuciu ojcowskiego obowiązku i pod wpływem wyrzutów sumienia - będzie śledził kroki córki jak szpieg i dotrze tam, gdzie wspólnie z hip-hopowym amantem Lucia postanowiła uciec przed żądaniami świata.

Zatroskany ojciec wyruszył popołudniem. W Cais do Sodre wsiadł na prom do Almady. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz podróżował tą trasą. Musiało to być jeszcze w czasach świetności owego promu, który teraz, w wielu miejscach zardzewiały, z wysiłkiem odbijał od przystani. Pedro zajął miejsce obok kobiety z dzieckiem, zupełnie niepotrzebnie schował się za rozłożoną gazetą i pochylił głowę, jakby zwieńczeniem jego podróży miał być jakiś niegodny szacunku cel. Prom wewnątrz przypominał autobus - miał obłe okna i stosunkowo niski strop. Płynął spokojnie po płaskiej równinie Tagu, kontrastującej z pochyłymi ulicami i wzgórzami miasta, którymi dopiero co Pedro kluczył. Prom lekko się kołysał, co potęgowało wrażenie odcięcia od świata zewnętrznego. Zanim Pedro doczytał stronę w gazecie, wycie syreny oznajmiło przybicie statku do brzegu i koniec podróży.

Miasto na drugim brzegu Tagu wyglądało inaczej. Ogólny bałagan i harmider potęgowały jeszcze przekupki sprzedające przed wejściem na przystań pomarańcze i watę cukrową.

Pedro ruszył nabrzeżem. Chodnik przeistoczył się w bruk, a po kolejnych kilku krokach zniknął zupełnie i ustąpił miejsca nieregularnemu, kamiennemu traktowi.

Po lewej stronie ciągnął się rząd pustych budynków, magazynów, a może małych, jednopiętrowych i parterowych warsztatów. Były też domy, porzucone dawno temu. Upływający czas zabierał im ze ścian kolorowe azulejos, a wraz z nimi - piękno. Teraz gołe, ze ścianami z gliny, wydawały się bezwartościowe, gotowe do oddania ziemi tego, z czego zostały zbudowane - kamienia, gliny i piachu, gotowe, by spocząć w rzeczonym grobie.

Bo rzeka była tuż przed nimi. Łaskotała nadbrzeże i cichutko, fala za falą, wlewała się w szpary na styku betonowych umocnień. Z każdym krokiem odległość pomiędzy domami a wodą zmniejszała się i Pedro czuł coraz mocniej oddech Tagu.

„Niemożliwe, żeby ktoś tutaj mieszkał”, myślał, mijając drzwi pachnące wilgocią i stuletnim brudem.

Już miał zawrócić, kiedy jego uwagę przykuła brama z pięknym, stalowym nadprożem przypominającym witraż w kościele. O tej bramie wspominała kiedyś, kiedy potrafili z sobą jeszcze normalnie rozmawiać, Lucia. W środku było ciemnowo, ale na podwórko widoczne dalej padał ostry snop światła. Pedro lekko pchnął bramę, zrobił kilka kroków i - jak słusznie podpowiadała mu intuicja - znalazł się w królestwie Mauricia, które składało się ze starej kanapy, kuchenki gazowej, trzech deskorolek i niezliczonej ilości płyt. Przynajmniej tyle zdołał dojrzeć przez niezbyt czyste okno przysłonięte częściowo przez krzak dzikiej róży.

- To tutaj - odetchnął z ulgą, jakby znalezienie i zobaczenie tego miejsca pozbawiło je wszelkiej grozy, jakby on sam dostrzegł w nim specyficzny urok i zrozumiał, że mógł on pociągać jego córkę.

Pedro obszedł podwórko dwa razy, szukając jeszcze innych śladów bytności Mauricia i Lucii, ale niczego budzącego odrazę nie znalazł. Pod wierzbą rosnącą w rogu podwórka leżały dwa dziurawe wiadra, a dalej, w cieniu starej altany, stał rower przypięty łańcuchem, jakby jego właściciel obawiał się, że ktoś może chcieć zapuścić się w tę głuszę z zamiarem popełnienia kradzieży.

- Nic tu po mnie - stwierdził Pedro i opuścił podwórko, po raz ostatni wciągając do płuc wydostający się ze ścian domu zapach wilgotnej gliny.

Pokonał drogę powrotną szybkim krokiem, mijając po drodze pacholki do cumowania łodzi, których wcześniej nie zauważył. Wreszcie, uwolniony od przytłaczającego cienia nadbrzeżnych domów, znalazł się na przystani. Razem z grupą mężczyzn podróżujących z futerałami w kształcie gitar i kontrabasu przemierzył rzekę, zatopiony we własnych myślach.

ROZDZIAŁ 50

- Bardziej, Manoelu, bardziej - Fernando zwrócił się do mężczyzny od kilku minut zajmującego się jego włosami. - Ja się nożyczek nie boję.

- Panie Fernando, nic panu nie zostanie.

- Spokojna głowa, nie mogę do ciebie przybiegać co tydzień, obetnij trochę na zapas.

Fernando dobrze znał Manoela. Fryzjer był jego rówieśnikiem, strzygł go od wielu lat, i zawsze robił to dokładnie tak, jak Fernando sobie życzył. Te niedługie spotkania przerodziły się z czasem w przyjacielskie pogawędki, do których strzyżenie było tylko dodatkiem.

- Jak pana pisanie? - zapytał Manoel, ostrząc brzytwę, którą zamierzał przyciąć wąsy swojego klienta.

- Nuda, przyjacielu... nuda. Piszę dużo, ale jestem zmęczony i to zmęczenie jest tak głębokie, że ciągle marzę o odpoczynku.

- To czemu pan pisze tak dużo?

- Uważam, że to mój obowiązek moralny, a może i społeczny. Oczywiście nie znaczy to, że moja praca jest w jakikolwiek sposób istotna.

- Ech, zdaje mi się, że pan jest prawdziwym pesymistą.

- Ależ skąd! Jestem po prostu smutny. A i to nie zawsze - zaznaczył Fernando. - Wczoraj na przykład ubawiłem się, kupując los na loterię w Tabacaria Monaco. Już sądziłem, że oto w ułamku sekundy staję się milionerem... Ale to była pomyłka. Karta losowa, ubrudzona ręką sprzedawcy podającego tytoń, miała pięć numerów, a nie cztery i ten piąty numer, który odkryłem, strzepując brud z kuponu, świadczył o mojej przegranej.

- Panie Fernando, pan chyba nie wierzy, że tam się wygrywa...

- Teoretycznie nie. Ale karty tarota zbyt często wyjawiają mi rzeczy, których nigdy bym nie podejrzewał, a które mnie dotyczą... Nie mogę pozostawać obojętny, kiedy przeczuwam, że może spotkać mnie jakaś finansowa niespodzianka.

- No tak, to inna sprawa. A nie myślał pan o swoim biznesie? Takim, co przynosi finansowe niespodzianki?

- Znasz mnie od lat. Wiesz, że próbowałem wiele razy. Chciałem nawet być pośrednikiem pomiędzy Anglią a Portugalią przy eksploatacji kopalń... Ale nie ma co się łudzić, jestem głównie poetą. Moja materia to słowa.

- Prawie gotowe - oświadczył fryzjer, robiąc ostatnie cięcia i przyczesując włosy grzebieniem z kości słoniowej. - Mam nadzieję, że wkrótce znowu się zobaczymy i że będzie pan w lepszym nastroju. W każdym razie z całego serca życzę powodzenia.

- Dziękuję, dziękuję - żegna się Fernando, zabierając z sobą pękata teczkę z niedokończonymi tłumaczeniami. Czego go długi wieczór, bo tłumaczenia muszą być gotowe na jutro.

Chcąc zrobić sobie chwilę przerwy, przechodzi przez Praca da Figueria, jeszcze rano obleganym przez przekupki oferujące owoce i warzywa, a także kury, króliki i koty, i niemal bezwolnie dociera do Cafe Martinho. Tutaj, przy kolejnym wychylnym łapczywie kieliszku absyntu, powraca do niego myśl, którą niegdyś oddalił, a która została przywołana w zakładzie fryzjerskim.

„Takie życie mi nie wystarcza - myśli. - Manoel ma rację. Powinienem otworzyć własny biznes, inny od poprzednich. Przecież zawsze myślałem o wydawnictwie”.

W lokalu jest spokojnie. Fernando spędza kolejną godzinę przy stoliku z marmurowym blatem, zamieniając tylko kilka słów z właścicielem lokalu, Augustem. Ponieważ Augusto nie proponuje mu kolejnych drinków, jak zwykł to czynić, Fernando opuszcza kawiarnię i wraca do domu.

Mijają tygodnie, podczas których myśl o nowym biznesie nabiera coraz bardziej realnych kształtów. Wreszcie Fernando podejmuje decyzję o założeniu wydawnictwa. Nadaje mu nazwę Olisipo - od starożytnej osady istniejącej w miejscu dzisiejszej Lizbony.

- Trzy części moich English Poems są już w druku - informuje przyjaciół podczas jednego ze spotkań.

- Świetnie, Fernando. Czy wydasz u siebie też zbiór Cancoes Antonia Botta? - pada pytanie.

- Myślałem o tym, myślałem - mówi Fernando. - Cancoes podobają mi się. Uważam, że są wartościowe. Mam rękopis już u siebie.

Zbiór Cancoes zostaje wydany. Natychmiast jednak książka wywołuje skandal - młody poeta Antonio Botto jest zdeklarowanym homoseksualistą, czego katolicka i konserwatywna Lizbona nie może przełknąć. Niemal z dnia na dzień imię syna skutnika z Alfamy pojawia się na ustach zbulwersowanych lizbończyków, którzy apelują do władz o umieszczenie książki na liście zakazanych lektur, a niektórzy nawet o karę śmierci przez powieszenie dla autora - za szerzenie sodomy. Fernando broni Botta, chwając unikalność jego twórczości i odwagę w przyznawaniu się do seksualnych preferencji, ale książka i tak trafia na listę „wyklętych”.

Wkrótce Fernando mierzy się z przykrą prawdą - Olisipo nie zarobiło na wydaniu Cancoes. Książka została zakazana, zanim rozszedł się nakład, a starania księgarzy próbujących sprzedać ją spod lady, nie przyniosły wielkich efektów.

Również kolejna książka oficyny Olisipo, Sodoma Divinizada Raula Leala, zostaje napiętnowana dzięki staraniom grupy studentów skupionych wokół Teotonia Pereiry, przyszłego oficjela w rządzie Salazara. Wydawnictwo przestaje istnieć.

Jakby chcąc usprawiedliwić swoje niepowodzenia na polu biznesowym, Fernando zapisuje na skrawku koperty wyciągniętej ze sterty papierów pokrywających jego komodę: „Nie wszyscy mają spokojną duszę. Moimi krokami kierują nieustające zniecierpliwienie i niepokój. Prawda jest taka, że wszystko budzi moje zainteresowanie, ale nic tak naprawdę nie zatrzymuje...

ROZDZIAŁ 51

Strażnik znał Rosę. W zamian za wpuszczanie jej na Aqueduto das Aguas Livres, nierzadko po godzinach zamknięcia, dawała mu bilety na koncerty fado. Poszedł na nie kilka razy: do Café Luso, potem do Arcadas do Faia na Rua da Barroca, do jej ulubionego Devagar Devagarinho... Lubił muzykę, ale nie na tyle, aby stać się fanem śpiewaczki. Rozdawał więc bilety znajomym i przyjaciołom, a oni odwdzięczali mu się w bardziej przydatny dla niego sposób.

Sympatyczna dziewczyna utkwiała mu w pamięci z innego powodu. Nie potrafiłby przypomnieć sobie jej twarzy, ale jej aksamitny głos doskonale pamiętał. Była jedną z nielicznych osób przychodzących na akwedukt, które nie zbywały go, kiedy prowokował je do rozmowy. Rosa nigdy nie dała mu do zrozumienia, że ma dość jego czasem natrętnej obecności. Najwyraźniej lubiła z nim rozmawiać, a kiedy zamierzała odejść, mówiła coś na tyle rozsądnego, że nie urażało to jego dumy. Zachowywała się inaczej niż wiele innych korzystających z akweduktu osób, które uciekały od wścibstwa strażnika, zanim zdążył wypowiedzieć pierwsze słowo.

Był czas, kiedy Rosa przychodziła na akwedukt niemal codziennie. Stawiała kilkanaście kroków i patrzyła w dół, zastanawiając się, jak daleko człowiek musiałby się wychylić, aby grawitacja pociągnęła go na sam dół doliny. Szukała inspiracji, przysiadając na schodkach przy wieżyczkach i patrząc na klucze ptaków przelatujących bezszelestnie po niebie. Czasem coś zapisywała w maleńkim, mieszczącym się w kieszeni spodni notesie. Wyglądała na szczęśliwą i tym promieniującym z niej szczęściem porażała strażnika, przeświadczonego o tym, że nie ma takiego szczęścia, które trwałoby wiecznie. Aż pewnego dnia pojawił się mężczyzna. Przychodził razem z nią. Wolnym krokiem przemierzali

akwedukt, spacerowali aż do jego końca i z powrotem. Rozmawiali, czasem dyskutowali gorąco. Mężczyzna był postawny i zupełnie nie przypominał Portugalczyka.

Strażnik wiedział, że byli zakochani. Lubił obserwować ich z okna stróżówki. Czasem jednak, nie mogąc oprzeć się pokusie, otwierał zardzewiałe drzwiczki prowadzące do korytarza akweduktu i stukając laską, towarzyszył im w niewidzialny dla nich sposób przez kilkadziesiąt metrów. Nigdy go nie zauważyli, byli zbyt zajęci sobą, zbyt sobą zaabsorbowani.

Działo się to krótko po tym, jak dostał wylewu. Jego noga pozostała potem bezwładna, choć, dzięki Bogu, reszta ciała wróciła do formy.

To przykre doświadczenie było ciągle jeszcze zbyt świeże, by o nim zapomnieć, i strażnik potrzebował uwierzyć na nowo, że nie wszystko jeszcze w jego życiu stracone. Może dlatego tak lubił słuchać młodych głosów Rosy i jej ukochanego, karmić się ich szczęściem i sycić wzrok ich radością. Nie widział zresztą niczego złego w swojej dziwnej pasji, a gdyby nawet dostrzegł, to pragnienie skorzystania z czyjejś siły i tak okazałoby się silniejsze od poczucia przyzwoitości.

Czasem wyglądali, jakby na kogoś czekali. Siedzieli na murku w połowie akweduktu i spoglądali co jakiś czas w stronę wejściowej bramki. Ich głosy były wtedy przyciszone, ale radosne. I faktycznie, często w takich momentach pojawiała się trzecia osoba - kobieta w ich wieku, nerwowo otwierająca bramkę. Witali ją jak dobrą przyjaciółkę, a potem spędzali czas wszyscy razem. Kobiety często szły obok siebie, jakby ignorując mężczyznę podążającego kilka kroków za nimi. Przechodzili przez akwedukt i ginęli wśród drzew porastających wzgórze, którego sięgał ostatni łuk akweduktu. Wracali kilka godzin później, nadal czymś podekscytowani,

dyskutujący, tryskający młodzieńczą energią. Trwało to jakiś czas - aż do dnia, który utkwiał w pamięci strażnika z powodu pewnego incydentu. Zdarzyło się to wczesnym popołudniem, kilkanaście minut wcześniej wpuścił całą trójkę na akwedukt. Stanęli zaraz przy bramce, więc doskonale ich widział. Kobiety rozmawiały, coraz bardziej podnosząc głosy. Chociaż siedział w stróżówce i obserwował ich z okna, było dla niego oczywiste, że się sprzeczą. Rozemocjonowane twarze i napięcie unoszące się w gęstym letnim powietrzu mówiły same za siebie. Mężczyzna stał z boku, w ogóle nie uczestnicząc w zajściu. Do czasu. W pewnym momencie strażnik spostrzegł, że uniesiona ręka drugiej kobiety zostaje pochwycona w silnym uścisku dłoni mężczyzny. Wyglądało to tak, jakby powstrzymywał kobietę przed jakimś gwałtownym i nieprzemyślanym ruchem. Jej twarz spurpurowiała, oczy nabiegły krwią. Jego twarz wyrażała tylko stanowczość. Trwali w tej dziwnej pozycji przez kilka sekund, oboje zdumieni i zaskoczeni sytuacją. Rosa stała z boku oniemiała. Strażnik wstrzymał oddech. Ale nic więcej się nie wydarzyło. Mężczyzna rozluźnił chwyt, ręka kobiety opadła bezwładnie. Milczeli.

To był ostatni raz, kiedy strażnik widział ich wszystkich razem.

Potem już tylko raz Rosa i ten mężczyzna pojawili się na akwedukcie. Szli, co jakiś czas przesuwając dłońmi po zimnych kamieniach Aguas Livres. Jakby się z nimi żegnali, jakby chcieli utrwalić ich kształty w zagłębieniach swoich dłoni. Nie rozmawiali. Kiedy mijali jego stróżówkę, zauważył, że oczy kobiety pełne są smutku, który potrafi zmienić bieg życia. Mężczyzna szedł obok niej i choć strażnik chciał przyjrzeć się jego twarzy, nie zobaczył nic więcej oprócz bezbrzeżnej pustki i narastającego strachu.

Strażnik skończył mówić. Było już całkiem ciemno i dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że mam gęsią skórkę od wieczornego zimna. Na policzkach poczułam pierwsze krople letniego deszczu.

- Dziękuję, że pan mi to opowiedział - powiedziałam do strażnika.

- Nie ma za co, kochana. Mówiłem, że lubię rozmawiać. Znam takich historii wiele, w razie czego służę pomocą - otrzepał spodnie i skierował się w stronę wyjścia z akweduktu.

- Aha - zatrzymał się w pół kroku - ta druga kobieta miała na imię Teresa.

ROZDZIAŁ 52

Joana pracowała od świtu. Sobota była dniem, w którym każdy chciał zaopatrzyć się w większą ilość świeżych bułeczek na śniadanie i dobrze wypieczony chleb na resztę dnia. Ciepłe bułki najlepiej smakowały same, w zestawie z mleczną kawą były zapowiedzią początku wyczekiwanego weekendu. A kiedy ostygły, świetnie smakowały z masłem.

Joana, podając klientom kolejne torby z pieczywem, myślała o Pedrze i jego problemach. Gdyby miała dzieci, mogłaby mu coś poradzić. Niestety, dzieci nie było, tak jak nie było w jej otoczeniu potencjalnego ojca dziecka, męża ani nawet kochanka. Na szczęście macierzyńskie instynkty Joany pozostawały uśpione i była to jedyna pociecha wobec morza oczekiwań, które miała względem niej matka i stare ciotki.

- Chcesz pannę z dzieckiem? - rzuciła matce, kiedy ta dopytywała się o wyczekiwanego wnuczka.

- Joana! Ani mi się waź! - podnosiła głos matka, przerażona wizją tłumaczenia się sąsiadkom i krewnym z takiego stanu rzeczy.

„Najpierw kura, potem jajko”, myślała Joana w takich momentach i wracała do swoich obowiązków.

Pedro zjawił się w piekarni później niż zazwyczaj.

- „Pod moim oknem kolejka krawców, chcą uszyć mi suknię...” - zanuciła Joana na powitanie, ale przerwała, zorientowawszy się, że nie jest to dobry czas na żarty.

- Nie zapomniałaś o starym przyjacielu? - zapytał Pedro, choć zauważył papierową torbę odłożoną na końcu lady.

- Oczywiście, że nie. Pięć słodkich, trzy z ziarnami, trzy jasne. Proszę bardzo - podała Pedrowi torbę. - Jak Lucia?

- Byłem tam, u tego Mauricia. Spodziewałem się chyba gorszych rzeczy - powiedział głosem, w którym czuć było nutkę rozczarowania. - Dzieciak urządził sobie kryjówkę, a Lucia z nim.

- No widzisz, Pedro, niepotrzebnie tak się denerwowałeś. Lucia w końcu też oprzytomnieje. Pamiętasz jak było z Inaciem?

- Nawet mi nie przypominaj - wszedł jej w słowo.

- Ale świetny chłopak teraz z niego! Inteligentny i przystojny. Wiesz, że ostatnio pomógł Antoniowi kupić rower dla Tita? Antonio mi się chwalił, że Tito teraz szaleje po podwórku.

- Tak, Antonio coś mi o tym wspominał. Biedak, jeszcze nie wie, że prawdziwe problemy z dziećmi zaczynają się później. Jego dzieci są małe, ale jak podrosną... Wiesz, Joano, chodzi mi o to, że Lucia kłamała. Nie mówiła, że tam chodzi. Nic nie mówiła.

- Na pewno obawiała się, że jej zabronisz.

- Zabroniłbym! Gdzie te czasy, kiedy narzeczonego przedstawiało się rodzicom, a dopiero potem umawiało się na randkę? Taka jest kolej rzeczy!

- Oj, Pedro - westchnęła Joana. - Chcesz kawy?

Pedro również westchnął. Przypomniawszy sobie swoją pierwszą wizytę u przyszłych teściów. Teść siedział w fotelu i w ciągu całego popołudnia odezwał się tylko raz - zapytał Pedro o zarobki i plany na przyszłość. Niestety był to ten raz, kiedy Pedro wolałby się zapaść pod ziemię, niż udzielić odpowiedzi. Planów bowiem miał dużo, ale kieszeń pustą i widoków na wygraną w loterii żadnych. W tej niezwykle ważnej chwili nie mógł jednak milczeć, więc wyartykułował pierwszą myśl, która mu przyszła do głowy.

- Kupię kiosk - oświadczył, choć w tamtym czasie kupno kiosku było pomysłem tak samo niedorzecznym jak oświadczenie, że kupi przyszłej żonie prezydencki pałac w Belem.

Chyba tylko dzięki boskiej opatrności teść nie zapytał o szczegóły Pedrowego planu, nie wymagał też wykazania się

odpowiednią ilością środków finansowych. Gdyby było inaczej, być może Pedro nigdy nie poślubiłby pięknej Latynoski - takiej, która maluje paznokcie lakierem w odcieniu brzoskwini i zna się na arytmetyce. Być może też nigdy nie miałby kiosku w błękitnej bramie. Obietnica złożona niegdyś teściowi musiała zostać dotrzymana - i faktycznie, dzięki pracy oraz splotowi niezwykle sprzyjających okoliczności Pedro w ciągu kilku lat stał się właścicielem sklepiku w błękitnej bramie.

- Poproszę małą - odpowiedział Joanie, starając się odpędzić wspomnienia.

- Wiesz, sąsiedzie, myślę, że rozmawiając z Lucią, nie powinieneś oczekiwać, że usłyszysz dokładnie to, co byś chciał.

- Tak... - potwierdził Pedro ironicznie. - Bo wtedy prawie na pewno usłyszę coś całkiem innego.

ROZDZIAŁ 53

Czasami miałam wrażenie, że poruszam się po omacku, a jednak te wędrówki doprowadzają mnie bliżej prawdy. Części układanki, którą kilkanaście lat temu ktoś nieopatrznie rozsypał, teraz składały się na moich oczach w kolejne części długiej i barwnej historii. Tak też czułam się po spotkaniu ze strażnikiem. Gdybym nie zaufała przypadkowo spotkanym lizbończykom, nigdy nie doszłabym tak daleko.

Co dokładnie wydarzyło się tamtego dnia na akwedukcie? Jaki był powód tak ostrej wymiany zdań, że aż zmusił Dominika do interwencji? Znałam go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nie wpadał łatwo w gniew.

Jeśli tą drugą kobietą była Teresa, to znaczy, że ona też знаła Dominika. Dlaczego słowem o tym nie wspomniała podczas naszej rozmowy? Czy to możliwe, że po tak przykrym incydencie nie zapamiętała mojego kuzyna? I nie pamiętała go na tyle, by o nim napomknąć? Czy widzieli się jeszcze gdzieś poza akweduktem? Chciałam ją o to wszystko zapytać, ale obawiałam się, że wymazała spotkanie z Dominikiem z pamięci jako niewarte utrwalenia i że moje wysiłki, by dowiedzieć się czegoś nowego, spełzną na niczym.

A Dominik? Czy faktycznie mogę twierdzić, że go znam? W tej opowieści ujrzałam go takim, jakim go nigdy nie znałam. Był mi obcy, daleki, tak inny, niż sądziłam. Poczulałam ukłucie zazdrości o uwagę, którą poświęcał Rosie kilkanaście lat temu.

Kiedy zegar na Praca do Comercio pokazywał dwunastą, zastanawiałam się, czy lepszym pomysłem będzie kolejna wizyta u Teresy, czy jednak pójdzie do lokalu Devagar Devagarinho, do którego skierował mnie strażnik z Aqueduto. W Devagar ktoś mógł znać Rosę - śpiewała tam przed laty. Postanowiłam się tam wybrać.

Rua Augusta jak zwykle była zatłoczona. Niezliczona ilość sklepów i ludzi, i trąbiących samochodów nagrzewających się jak konserwy od nadmiaru słońca sprawiała, że miasto stało się miejscem nie do wytrzymania. Zwalniając kroku w cieniu i przyspieszając w słońcu, przedostałam się na Largo de Sao Domingos, gdzie przystanęłam przy stanowisku pucybuta - starszego mężczyzny o pociągłej twarzy i zapadniętych policzkach, nadających mu wygląd zbliżony do ryby.

Nie miał klienta, jego warsztat pracy - kilka szczotek, szmatek i past - znajdował się z boku, a wszystkie przyrządy ułożone były równo jak na wystawie sklepowej. On sam siedział na niskim taborecie z rękami opartymi na kolanach i miną człowieka przywykłego do niewygodnych taboretów, drobiazgowych klientów i wszelkich innych niedogodności życia.

- Nie wie pan, gdzie jest Travessa Larga? - zapytałam, nie chcąc zbłądzić w ten wyjątkowo upalny dzień.

- Wiem - odpowiedział i wzrokiem profesjonalisty spojrzał na moje buty. - Wyczyścić? - spytał.

Gdyby nie kremowa taksówka, która właśnie w tym momencie zatrąbiła, wymuszając przejazd po wyłączonym z ruchu placu, może pucybut dojrzałby na mojej twarzy zdziwienie, ale że go nie dostrzegł, zapytał ponownie:

- Wyczyścić?

Potrząsnęłam przecząco głową i już miałam odejść, kiedy na krzesło pucybuta ustawione pod rzucającą cień ścianą baru Ginjinha opadł mężczyzna w kapeluszu. Pucybut potarł z zadowolenia jedną rękę o drugą, ale sekundę później, widząc, z czym przychodzi jego nowy klient, wykrzyknął:

- Kochany, gdzie pan łąził!?

Faktycznie, buty klienta robiły wrażenie. Pierwotnie czarne, teraz niemal białe od kurzu i brudu, poobcierane i o

zdartych na nierównym lizbońskim bruku zelówkach były zaledwie wspomnieniem czegoś, co można nazwać pantoflem.

- Tu i tam - odpowiedział mężczyzna lakonicznie.

- Tu i tam? - powtórzył pucybut, akcentując znak zapytania i zabierając się do pracy.

- Zbierałem brakujące odłamki głowy fauna. Wie pan, takie ze stiuków.

- A po co to panu? Nogę proszę tutaj. - Pucybut ustawił stopę mężczyzny na niewielkim podwyższeniu i wyciągnął z brudnego buta sznurówkę.

- Proszę się nie bać, nie jestem handlarzem - mężczyzna zaśmiał się. - Nie odłupuję azulejos po to, by je potem sprzedawać turystom.

Ostatnie słowa zagłuszyło miarowe bicie dzwonów w kościele Sao Domingos przypominające o popołudniowej mszy. Pucybut przeżegnał się, nie wypuszczając z dłoni szczotki o twardym włosiu, którą właśnie skończył rozprowadzać pastę na bucie. Tymczasem mężczyzna siedzący na krześle spojrzał pytająco na mnie.

- Przepraszam, że tak się przyglądam panom, ale pytałam o Travessa Larga. Może pan wie, jak tam najłatwiej dojść? - zapytałam w odpowiedzi na tę jednoznaczną zaczepkę.

- Tędy, tą ulicą - mężczyzna machnął w stronę zwężającego się placu i uliczki u jego wylotu. - Właśnie tam idę, mogę panią podprowadzić - zaproponował.

- Chwileczkę, jeszcze nie skończyłem - wtrącił pucybut. - Druga noga - zakomenderował.

Wykonał kilka okrężnych ruchów szczotką po skórze drugiego buta, zmienił szczotkę na taką z miękkim włosiem i wykonał kilka ruchów posuwistych. But zabłyszczał nieśmiało. Pucybut sięgnął po szmatkę i dokończył dzieła, froterując z niespotykaną determinacją czubek pantofla.

- Gotowe - oświadczył z dumą. - Pantofelek prawie jak nowy. Ale jak będzie go pan tak obijał, niedługo panu posłuży.

- A sznurówki? - zapytał przytomnie klient.

- O, przepraszam najmocniej. Już zakładam.

Mężczyzna wstał, otrzepał spodnie, zapłacił pucybutowi i spoglądając tęsknie w stronę baru Ginjinha - choć nie wiem, czy spojrzenie to było skierowane w stronę półek z likierami czy też w stronę zbawiennego cienia, jaki bar rzucał - zwrócił się do mnie:

- Travessa Larga jest tam, proszę pani. Chodźmy.

Opuściliśmy Largo de Sao Domingos, pozostawiając za sobą ciemnoskórych mężczyzn zgromadzonych na placu jak zwykle o tej porze - siedzących, stojących, podpierających ściany, kucających, a nawet śpiewających do dźwięków portugalskiej gitary trzymanej przez młodego chłopaka w arabskiej galabii. Weszliśmy w uliczkę oblepioną szyldami restauracji i barów właśnie otwierających drzwi po południowej przerwie. Kelnerzy w świeżo wyprasowanych koszulach rozpościerali nad stołami śnieżnobiałe obrusy, jakby ścielili łóżka. Rozsiewali lawendowy zapach płynu do płukania wymieszanego z aromatami dochodzącymi z kuchennych zapleczy. Przypinali obrusy do stołów, jakby obawiali się, że zaraz odlecą, choć powietrze akurat teraz stało w miejscu. Kilkadziesiąt kroków dalej bary i restauracje zaczęły zanikać. Minęliśmy Teatro Politeama, który - gdyby nie kolejka osób wylewająca się aż na chodnik - trudno byłoby zauważyć, i szliśmy dalej. Ulica zwęziła się i zmieniła charakter. Kamienice poszarzały, choć w słońcu to one właśnie wydawały się bardziej dostojne niż te na Rossio. Minęliśmy lokalny bar, w którego oknie wisiały cztery dorodne świńskie udźce zawieszzone na metalowych hakach, i

zatrzymaliśmy się przy jednej z wąskich uliczek prowadzących pod górę.

- Proszę zobaczyć - mężczyzna wskazał na ostatnie piętro.
- Kamienica opuszczona. Mury chylą się ku ziemi. Ale na ostatnim piętrze mieszka przecież starsza dama. Samotnie! Wszyscy się już wyprowadzili. Nikt nie zamierza remontować tej kamienicy, choć przecież, proszę spojrzeć, dach nie przecieka, wszystko dałoby się odnowić. Doniczki, sama pani widzi, doniczki stoją na balkonie, jakby ktoś wczoraj posadził w nich hortensje. A wie pani, jakie tam są stiuki? Sufity całe usiane kwiatami i roślinnymi ornamentami. A na pierwszym piętrze, w ostatnim pokoju... - rozmarzył się - kobieca twarz, z długimi włosami, które układają się w fale i wzniesienia i niosą nas gdzieś na otwarty ocean...

Przyjrzałam się kamienicy, chcąc dostrzec to, co widział mężczyzna. Sprawiała wrażenie opuszczonej. Bez szyb w oknach, z jednym oknem zamurowanym czerwonymi ceglami dom wydawał się ślepy. Fasada ozdobiona kolorowym graffiti niemal krzyczała: „Nie mogę dłużej się bronić!”. Na pierwszym i drugim piętrze okiennice trzymały się na przerdzewiałych zawiasach i z każdym powiewem wiatru odsłaniały tajemnice zaniedbania i samotności. Jedno z pomieszczeń na parterze ktoś kiedyś przeznaczył na magazyn, ale najwyraźniej już dawno zapomniał o pozostawionych w nim kartonach i pudłach. Zajrzałam do środka przez ażurowe okienko w drzwiach wejściowych. Strop nie sięgał wyżej niż moja głowa, zapewne musiałabym się pochylić, wchodząc do środka. Było jednak czysto. Po prawej stronie stał metalowy kubeł, w którym tkwiły, niczym pilni dozorczy, dwa czarne parasole z drewnianymi rączkami.

- Tam naprawdę ktoś mieszka - nie mogłam uwierzyć.
- Mieszka, mieszka - potwierdził mężczyzna. - To nie jedyny taki dom. Ja po nich chodzę, fotografuję, zbieram to,

co odpada. Proszę - wyciągnął z kieszeni cztery gipsowe odłamki w kształcie spadających kropel. - To jest broda fauna, którego głowę znalazłem już wcześniej. Wróciłem do kamienicy, żeby poszukać pozostałych elementów, zanim wywiozą wszystko, co z niej zostało. Posklejam. Zedrę starą farbę. O, tu pod spodem jest oryginalna warstwa w kolorze naturalnego drewna. Nie uważa pani, że warto to robić? - zapytał, nie oczekując odpowiedzi, po czym zawiązał odłamki w chusteczkę do nosa i schował je do kieszeni. Pokiwałam głową.

Kiedy pożegnaliśmy kamienicę i ruszyliśmy dalej, pomyślałam o Kostku. I uświadomiłam sobie, że po raz kolejny, będąc w Lizbonie, o nim myślę. Powinien tutaj przyjechać ze mną. Zawsze przecież ciekawiły go stare dublińskie kamienice, ich poplątane historie i skrywane tajemnice dawnych właścicieli. Pozostawał pod wrażeniem wiekowych domów. A tutaj było ich znacznie więcej. Czekają od lat, aż czyjś wrażliwy wzrok dostrzeże ich miniony urok i zatrzyma go w tym zakątku duszy, w którym przechowywane jest piękno.

Czy domy były też takie, gdy był tutaj Dominik? Nigdy nie mówił nic o Lizbonie. To jedno miejsce na świecie zatrzymał w całości dla siebie, nie dzieląc się z nami żadnym wspomnieniem, myślą ani widokiem. Zapomniał? Wymazał z pamięci? Odseparował od niepowołanych oczu? Nie wiem i być może nigdy się tego nie dowiem.

W Lizbonie, mieście pełnym duchów przeszłości, towarzyszą mi dwaj mężczyźni: Dominik i Kostek. I kiedy o nich myślę, niemal fizycznie czuję ich obecność. Widzę Kostka idącego obok mnie, słyszę jego głos. Chwilami nawet patrzę na ulicę i ludzi tak, jak wydaje mi się, że on by spojrział. Czasem te dwie postaci, Kostek i Dominik, zlewają mi się w jedną, jakbym chciała zatrzeć pomiędzy nimi wszelkie różnice

albo wręcz odwrotnie - chciała ich porównać. Teraz już wiem, że może być w Kostku coś, czego nie dostrzegałam wcześniej. Bo jeśli Dominik sprawiający wrażenie istoty nieuchwytniej, efemerycznej wręcz, otworzył się tak na Rosę... jakby był zupełnie kimś innym, jakby nie był sobą... to przecież moje wyobrażenie o Kostku może być również niepełne.

ROZDZIAŁ 54

Licząca sobie dziewięćdziesiąt metrów szerokości Avenida da Liberdade ciągnie się na północ miasta, a bierze swój początek przy dwóch figurach przedstawiających wielkie rzeki Portugalii - niespokojny Tag i leniwe Duero.

Rejon, do niedawna niemający żadnego znaczenia, teraz stanowi główną ulicę miasta, przy której jak grzyby po deszczu wyrastają olśniewające posągi, teatry, cukiernie i klomby pełne kwiatów. Wzdłuż ulic ciągną się szpalery drzew, młodych, ale już dających tak upragniony latem cień, a fontanny i kaskady zwilżają powietrze, czyniąc aleje niezwykle przyjemnym miejscem spacerów i miejskich wędrówek.

Fernando lubi przechadzki od pomnika Pinheira Chagasa, pisarza i polityka, którego niezwykle ceni ze względu na jego republikańskie poglądy, aż do Praca do Marques de Pombal, gdzie Avenida się kończy. Tutaj, pośrodku ronda łączącego pięć reprezentacyjnych alej, wznoszono kolejny pomnik, będący prawdziwą wizytówką miasta - pomnik markiza Pombala.

Mija właśnie setna rocznica śmierci tego kontrowersyjnego architekta Lizbony i miasto postanowiło upamiętnić go trzydziestosześcioletnią statua odlaną z brązu, ustawioną na granitowym cokole. Fernando lubi obserwować postępy prac przy budowie pomnika. Lubi patrzeć, jak wykopany na głębokość kilkunastu metrów dół wypełnia się kamiennym fundamentem, jak dodawane są kolejne inskrypcje opisujące dokonania Pombala, jak płaskorzeźby zaczynają wypełniać puste przestrzenie na kolumnie.

Fernando z reguły rzuca jeszcze spojrzenie w stronę emanującego przepychem pałacu milionera Sotto Mayora i zawraca, by wstąpić do La Caffé, gdzie wypija dwie małe

kawy. Tym razem jednak nie dociera do końca Avenidy. Na wysokości hotelu Avenida Palace przysiada na ławce, by zapisać strofę, która właśnie przyszła mu do głowy. Przeszukuje gorączkowo kieszenie, ale nie może znaleźć ani skrawka papieru.

- Dzień dobry, Fernando - słyszy nagle za sobą kobiecy głos. Odwraca się zaskoczony.

- Ofelia? - nie może uwierzyć oczom. - Ileż to czasu! - wykrzykuje.

- Cóż za zbieg okoliczności. Właśnie wczoraj zobaczyłam cię na zdjęciu, które podarowałeś mojemu kuzynowi - mówi Ofelia. - Miło cię spotkać. Mieszkałam jakiś czas pod Lizboną. A ty nie pracujesz już w Felix?

Biuro Felix, Freitas e Valadas - to tam się poznali. On pilnował księgowości, ona przyjmowała ogłoszenia. Mój Boże! To było dziewięć lat temu! Miała wtedy niespełna osiemnaście lat. Przychodził do pracy tylko po to, żeby popatrzeć, jak jej dłonie zwinnie wystukują słowa na klawiszach maszyny do pisania. Był już po studiach, nie ukończył ich, ale wtedy to i tak nie miało znaczenia. Przecież zawsze wydawało mu się, że na uniwersytecie zdobywa zbędną wiedzę. Chciał więcej i więcej, ale wykłady uważał za stratę czasu, a lektury za niewystarczająco poruszające. Oddał się romansowi z Ofelia, nie tęsknił za nauką.

Kupował Ofelii wody toaletowe w perfumerii o wymownej nazwie Szczęście Kobiety. Zawsze te same - o zapachu gardenii. Chodzili do klubu Maxim na obiady i do parku Edwarda VII karmić kaczki albo oglądać przedstawienia w pawilonie muzycznym.

Był biedny jak mysz kościelna, ale pracował i to pozwalało mu zachowywać się jak przystało na dżentelmena. Kilka razy wybrali się też do parku Campo Grande. Jeździli tam zawsze rano. Wyziębiona dorożka wiozła ich pustymi

jeszcze ulicami. Ofelia trzymała na kolanach koszyk z owocami i przegryzkami zapakowanymi przez jej starą nianię. Kiedy słońce ogarniało swoim ciepłem parkowe aleje, oni siedzieli już na trawie i korzystając z otaczającej ich ciszy, rozkoszowali się dniem wolnym od trosk.

Na pewien czas Ofelia postawiła na głowie cały jego świat. Przestał wybiegać myślami w przyszłość, co zawsze utrudniało mu odnalezienie się w teraźniejszości. Rzadziej zaglądał do barów. Wtedy chyba jedyny raz czuł się zakochany i naprawdę potrzebny.

Zawsze uważał, że pisanie listów miłosnych jest żalosne. Ale do Ofelii zaczął je pisać, stwierdziwszy, że żałośni są ludzie, którzy takich listów nie piszą.

Czytał jej Byrona i Milтона w oryginale. Była jedyną kobietą, która umiała z nim rozmawiać, słuchać go, zgadzać się z nim i nie zgadzać. Wspólne wieczory były o wiele ciekawsze niż samotne wędrówki po Lizbonie i rozbudzanie własnej wyobraźni albo przywoływanie duchów przeszłości.

Gdyby to mogło trwać wiecznie! Ale uczucia Fernanda wieczne nie były. Robił się coraz bardziej niespokojny, miał wrażenie, że musi iść dalej, że ona za bardzo go przytrzymuje. Widywali się coraz rzadziej, a kiedy zetknął się z towarzystwem astrologicznym, stracili kontakt zupełnie. Może był za młody. A może miał pecha. W końcu urodził się trzynastego dnia miesiąca.

Teraz patrzył na nią, taką promienną i onieśmiałą. Nic się nie zmieniła - to samo chłodne, ciemne spojrzenie, te same spłowiałe od słońca włosy. Poprawiała nerwowo kapelusz, nie wiedząc, jak się zachować.

- Jak się czuje twoja matka? - zapytała, by przerwać krępujące milczenie.

- Nie żyje od czterech lat.

- Przykro mi... - posmutniała.

Kąciki jej ust zadrgały tak jak zawsze, gdy była przejęta, po czym ułożyły się w kształt melancholii. Przypomniawszy sobie, że kiedyś te usta całował. Przypomniawszy sobie, że miały smak truskawek, a po namiętym pocałunku przybierały intensywny kolor kwiatu tamaryszku.

„Może wtedy był po prostu zły czas? - przemknęło mu przez myśl. - Przez dziewięć długich lat żadna kobieta nie zawładnęła moim sercem, a i Ofelia chyba nie wyszła za mąż. Może więc jesteśmy sobie przeznaczeni?”

- Ofelio - zwrócił się pospiesznie do kobiety. - Czy mogę w piątek złożyć ci wizytę?

Skinęła głową, po czym czerwieniąc się, podała mu dłoń i szybko zniknęła między oplatającymi aleję drzewami.

ROZDZIAŁ 55

Antonio został obudzony przez klaksony chyba dziesięciu różnych samochodów. Wyrzął przez okno - sznur aut zaczynał się u wylotu uliczki i ciągnął aż do końca, szczelnie wypełniając wąską przestrzeń przeznaczoną również dla przechodniów. Z parteru dochodziły pokrzykiwania robotników i odgłos piły elektrycznej oraz piasku nabieranego na łopatę - remontowano mieszkanie powracającego ze Szwajcarii lekarza. Z jakiegoś radia dochodziła cicha muzyka. Nad tym wszystkim, nad odgłosami poranka i chłodem pozostawionym przez noc, unosiło się świergotanie ptaków, które znalazły sobie idealne siedlisko w konarach rosnących pod oknami drzew.

Akurat dzisiaj tego świergotu Antonio nie mógł znieść. Drażniło go, że te małe stworzenia zakłócają jego spokój, tak cenny po dwudziestu godzinach spędzonych na zardzewiałym kutrze.

Clara była w pracy, on natomiast, korzystając z wolnego dnia, miał zajmować się dziećmi i domem. Roztarł zgrabiałe dłonie i poszedł wstawiać wodę na herbatę. Noce w lizbońskich domach bywały naprawdę zimne. Dzień upalny, chłodna noc - tak właśnie często w Lizbonie bywało.

Zdarzało się, że zimą chłód był tak dokuczliwy, że co chwilę wyrывał Antonia ze snu i zmuszał go do liczenia kolejnych dorszy - bo zamiast baranów Antonio przeliczał złowione przez siebie okazy. W takich momentach spoglądał z czułością na Clare, która spała zakryta po czubek swojego kabowerdyjskiego nosa grubym pledem. Nie chciał jej budzić. Mogła odsypiać tylko w weekendy i ten sen święcie jej się należał. Wystarczyło jednak, aby przysiadł na łóżku, a ona już otwierała ciekawskie oko, jakby czekając tylko na znak od męża.

W te na wpół realne noce zdarzało się, że Antonio zrywał się z pościeli, włączał ulubioną muzykę i zaczynał podrygiwać w rytm gorących przebojów. Clara, która i tak nie mogła ponownie zasnąć i marzyła podobnie jak małżonek, wyskakiwała z łóżka i dołączała do radosnych piasów Antonia. Starali się zachowywać cicho, ale ostrożność była zbędna. Ich dzieci spały w swoich pokojach snem niewiniątek.

Tańce rozgrzewały Antonia i Clarę bardziej niż najlepszy system grzewczy. Clara zrzucała więc z siebie nocną koszulę, a Antonio wyskakiwał z pidżamy. W gorączce ciała, dysząc ze zmęczenia, padali w zimną pościel i nie mogąc dłużej opierać się pożądanemu, kochali się w możliwie najbardziej nieprzyzwoity sposób. Antonio często zastanawiał się, czy to nie grzech wyprawiać podobne rzeczy z własną żoną, kiedy jednak nastawał świt, wszelkie wątpliwości odchodziły i znowu stawał się przykładnym mężem i ojcem. Zawsze pragnął być dobrym ojcem, może dlatego, że jego relacje z rodzicami, kiedy przestał być dzieckiem, nie zawsze układały się dobrze.

Antonio pochodził z licznej rodziny, był najstarszym synem. Jego rodzice tworzyli dość tradycyjne małżeństwo, ale niezbyt zgodne, bo każde z nich cechował duży, często zupełnie nieracjonalny upór.

Pierwsze lata dzieciństwa upłynęły mu niemal idyllicznie. Spędzał je głównie z ojcem, który był zapalonym członkiem klubu wędkarzy i często zabierał syna na wędkarskie wyprawy. Ojciec sadzał Antonia na ramie ciężkiego roweru i pocałował żonę na pożegnanie, pedałowal wyboistymi drogami przez kolejne wsie. Gdyby nie hobby ojca, być może Antonio nigdy nie zdecydowałby się zostać rybakiem. Matka natomiast pracowała w centrali telefonicznej i to od niej Antonio przejął miłość do kabelków, słuchawek i innych

urządzeń z przyciskami, potem samodzielnie próbował montować podobne mechanizmy w garażu ojca.

Wszystko zmieniło się, kiedy na świecie zaczęło pojawiać się rodzeństwo Antonia. Jak wszystkie dzieci, także jego bracia i siostry nabijali sobie guzy, stawiając pierwsze kroki, zadrapywali kolana, buszując po krzakach, a nawet - jak najmłodsza Cristina - łamali sobie ręce, spadając z podwórkowego trzepaka. Rodzice patrzyli na to z rosnącym przerażeniem, aż w końcu nabrali przekonania, że ich pociechy wymagają niezwyklej uwagi i większej niż przeciętna opieki. Kiedy urodziło się najmłodsze dziecko i wkrótce potem zachorowało na zapalenie płuc, które omal nie spowodowało jego śmierci, rodzice tylko utwierdzili się w tym przekonaniu.

W krótkim czasie zapomnieli, że każdy potrafi pokonać przeciwności losu, jeśli tylko da mu się na to szansę. Zapomnieli, że trzeba pamiętać o własnych pragnieniach, przyjemnościach, rozkoszach, i całkowicie poświęcili się wychowywaniu swego coraz delikatniejszego i bardziej kruchego, jak im się zdawało, potomstwa.

Nawet najstarszy Antonio nie zauważył, że rodzice budują wokół rodziny mur. Najpierw zaczęli ograniczać towarzyskie wyjścia. Potem dokonali ostrej selekcji znajomych zapraszanych do domu. Wreszcie całkowicie odizolowali się od grupy przyjaciół i pozwolili, by ich dawne życie, tak intensywne i barwne, stało się tylko niejasnym wspomnieniem.

Z czasem ich nadopiekuńcze zachowania zaczęły przybierać karykaturalne formy. Nie byli na przykład w stanie zaplanować żadnych wakacji - bo co będzie, jeśli któreś z dzieci zachoruje? Nie pozwalali dzieciom przebywać za długo z rówieśnikami, bo ci mogli mieć na nie zły wpływ. Zabroniliby również najmłodszemu chodzić do szkoły, gdyby

tylko była taka możliwość - czyhało tam przecież zbyt wiele niebezpieczeństw.

Im bardziej dbali o dzieci, tym mniej myśleli o sobie. Po pewnym czasie ojciec wystąpił z klubu wędkarzy, a piękna w młodości matka zupełnie zapomniała, do czego służy szminka. Umknęło im, że są ludźmi wolnymi, którzy niegdyś czerpali dużą satysfakcję z bycia z sobą i z poznawania świata przez pryzmat własnych doświadczeń, a nie tylko doświadczeń dorastających szybko dzieci. W ciągu kilku lat pełni werwy, radośni małżonkowie zamienili się w przygarbionych od nadmiaru obowiązków rodziców. Matka chodziła coraz bardziej zasepiona, aż nie było dnia, którego nie zaczynałaby od listy niekończących się narzekań. Niełatwo było z nią rozmawiać, bo każda niemal dyskusja kończyła się wybuchem skrywanych pretensji, gniewu bądź rozczarowania. Ojciec z kolei zupełnie zamknął się w sobie i choć z zewnątrz wydawał się rozmowny, wokół serca budował ścianę, pozwalającą mu przebywać we własnym, niedostępnym dla innych świecie.

Antonio, jako najstarszy, stosunkowo długo pozostawał poza zasięgiem nadopiekuńczości rodziców. W miarę jednak jak dorastał, a rodzice starzeli się w zastraszającym tempie, zaczęła docierać do niego często powtarzana, lecz niemal zawsze ignorowana prawda: że to na nim spoczywa obowiązek doglądania całej rodziny.

Chłopak początkowo nie rozumiał, co to znaczy. Kochał swoją rodzinę i nie zamierzał zostawić jej w potrzebie. Szybko jednak okazało się, jak bardzo owe zobowiązania zaczynają rzutować na jego osobiste życie.

Zaczął się od Mafaldy. Poznał ją jeszcze w szkole, ale spotykać zaczęli się dopiero kilka lat później. Początkowo były to jednorazowe wyjścia do kina lub klubu, z czasem jednak przerodziły się w prawdziwe sesje zakochanych. Rodzice nie byli z tego zadowoleni. „Odprowadziłbyś Jose do

szkoły. Jeszcze go samochód potrąci", upominała go matka. „Ciotce trzeba zawieźć zakupy, twoje młodsze rodzeństwo nie może tak daleko samo chodzić", powtarzał ojciec.

Antonio starał się pogodzić spotkania z Mafaldą z narzuconymi obowiązkami, nie było to jednak możliwe, zwłaszcza że znalazł pracę i rozpoczął studia. „Chyba w ogóle ci na nas nie zależy - słyszał coraz częściej od rodziców. - Jak mamy sobie radzić, jeśli ciągle cię nie ma?" Wiele razy stawał przed wyborem: nauka, spotkanie z Mafaldą albo spełnianie próśb coraz bardziej niezadowolonych rodziców.

Wszystko to wywoływało w nim narastającą frustrację i coraz większe wyrzuty sumienia. Próbował na wiele sposobów zaradzić sytuacji. Nie chciał, aby trzymane pod kloszem rodzeństwo wyrosło na ludzi niezdolnych do radzenia sobie w dorosłym życiu. Rozmawiał z rodzicami, proponował, tłumaczył, dyskutował. Jego wysiłki nie przynosiły jednak efektów.

Kiedy Mafalda, nie mogąc znieść wiszących nad Antoniem obciążeń i jednostronnych kompromisów, zostawiła go ze złamanym sercem i kilkoma wierszami, chłopak zdał sobie sprawę, jak został przez rodzinę stłamszony i jak trudno będzie mu ułożyć sobie stosunki z rodzicami na partnerskich zasadach. Nie miał jednak innego wyjścia - skoro rodziców zmienić się nie dało, to on musiał się zmienić. Dlatego kiedy tylko zebrał odpowiednią sumę pieniędzy, spakował plecak i nie oglądając się za siebie, wyprowadził się z domu. Wiedział, że będzie musiał sam się utrzymać i zrezygnować ze studiów, ale był przekonany, że właśnie teraz powinien wziąć odpowiedzialność za swoje życie.

Po jego wyprowadzce rodzice niemal się go wyparli, ale on, zamiast skruszony wrócić do domu, obiecał sobie, że nigdy w życiu nie uzależni od siebie własnych dzieci tak, żeby ich dorastanie było równie bolesne jak jego.

Podobno traumy są przekazywane dalej, bo nic w przyrodzie nie ginie. Antonio był jednak wyjątkiem. Jego dzieci miały tyle swobody, na ile pozwalał im ich wiek. A on i Clara w potoku codziennych wydarzeń pamiętali o własnej miłości i o tym, że w życiu nie można innych obdarować szczęściem, jeśli samemu jest się nieszczęśliwym.

ROZDZIAŁ 56

Lizbona była bez wątpienia miastem biednym. Gdyby było inaczej, Fernando nie mijałby kobiet przykrywających obszernymi chustami połatanе sukienki pamiętające jeszcze czasy panieństwa ich właścicielek, nie unikałby wzroku mężczyzn w koszulach uszytych bez fastrygowania, co sprawiało, że wyglądali jakby przywdziali worki pokutne, nie opędzałby się od bosych dzieci o brudnych, głodnych buziach. Choć istniały dzielnice lepsze i gorsze, wszędzie można było dostrzec nędzę. W chaotycznie rządzonym kraju, jednym z najbiedniejszych w Europie, nie żyło się łatwo.

Bieda była więc stałym elementem pejzażu miasta i jak na razie nawet przewrót wojskowy ustanawiający Estado Novo (Estado Novo (Nowe Państwo) - autorytarny porządek polityczny wprowadzony przez Antonia Salazara.) tego nie zmienił, choć niemal wszyscy wierzyli, że tak właśnie się stanie.

- Kolejne decyzje ministra finansów Antonia de Oliveiry Salazara - Fernando przeczytał na głos nagłówek w zakupionym właśnie „O Seculo”.

„Będzie miał absolutną władzę nad wydatkami publicznymi. Co może wynikać dobrego ze skrajnego nacjonalizmu i konserwatyzmu? Chyba nic - myślał, przeglądając dalsze strony gazety. - Nie sędzę, żeby minister spełnił czyjekolwiek nadzieje, a już na pewno nie tych najbiedniejszych. Istnieją oczywiście grupy uprzywilejowane, bogate, stare rodziny lizbońskie, którym żyje się lepiej. Takie jak rodzina Ofelii... Ofelia nie musi pracować. Nie musi robić niczego, na co nie miałaby ochoty, chociaż ta możliwość wcale jej nie satysfakcjonuje. Jest na to za inteligentna. Ma służącą i znaczny posag, a jednak woli co rano zjawiać się za biurkiem i długie godziny spędzać nad ogłoszeniami”.

Fernando składa gazetę i zmierza w stronę Museu do Chiado, gdzie mieli umówione spotkanie.

- Ofelio! - wita ją już z daleka.

Dziewczyna stoi przy wejściu do muzeum, pantofelki na niewielkim obcasie przydają jej smukłości, a twarzowy kapelusz świetnie komponuje się z resztą eleganckiej garderoby. Nawet gdyby Fernando nie znał Ofelii i tak zwróciłaby jego uwagę, tak samo jak wtedy, gdy zobaczył ją pierwszy raz, w drzwiach biura firmy Félix, Freitas e Valadas.

- Spóźniłem się, przepraszam - mówi, składając pocałunek na jej policzku. - Pamiętasz, że zawsze się spóźniam?

- Niestety pamiętam - uśmiecha się Ofelia. - Pamiętasz, że kupiłam bilety na wieczór?

- Oczywiście. Walc miłości o dziewiętnastej.

- Tak, ale dziewiętnasta minęła parę minut temu.

- Nie martw się, Ofelio, oni zawsze zaczynają później. Ruszają pospiesznie w stronę Teatro Politeama, jednej z najlepszych scen w Lizbonie.

Kiedy docierają na miejsce, właśnie zamykają się drzwi. Wszyscy są już w środku, miejsca zajęte. W możliwie najmniej zauważalny sposób wślizgują się na widownię, ale tu okazuje się, że światła już zgasły i choć mieli bilety na balkon, muszą zająć miejsca na parterze. Fernando myśli, że sprawił Ofelii zawód, i czuje się winny. Patrzy na jej twarz, szukając grymasu niezadowolenia, ale widzi tylko czarne oczy rozświetlone błyskiem szczęścia. Od tej twarzy nie może oderwać wzroku przez resztę wieczoru.

Obecność Ofelii przykuwa Fernanda do fotela i nie pozwala podziwiać wyjątkowej gry aktorów ani przyjrzeć się przepięknej dekoracji stworzonej przez utalentowanych artystów, ani nawet docenić muzyki granej przez najlepszą orkiestrę stolicy.

Widzi tylko Ofelię, zarys jej twarzy, kontur nosa, kształt ust. Czuje zapach jej włosów splukanych rano wyciągiem z rozmarynu, podziwia kształt dłoni, którą położyła na podłokietniku, tak by on mógł jej dotknąć.

„Jest teraz dojrzalsza, a jednak nadal tak świeża. Nie znam jej, choć przecież znałem tak dobrze. Kim jest? - zastanawia się Fernando. - Dostojna, ale nie wyniosła, zdolna do wielkich namiętności, ale nie narzucająca się, mądra, ale nie zarozumiała... piękna urodą, która nie szuka poklasku. Rozumie mnie, a ja mam wrażenie, że rozumiem ją... Czy mogę ignorować to, co czuję? Czy mogę udawać, że to tylko marzenie? Zawsze myślałem, że lubię żyć tak, jak żyję, ale teraz myślę, że wołałbym co innego.

Słyszy brawa. Coraz większe i bardziej gromkie, zagłuszają zupełnie jego myśli. Widzowie podrywają się z foteli i oklaskują aktorów na stojąco. Ofelia też wstaje, rozpromieniona. Bije brawo, zaczepiając torebką o jego ramię. Tylko on wciąż siedzi, próbuje wyrwać się z tego stanu zauroczenia, w którym trwał przez ostatnie dwie godziny.

Tego wieczoru nie rozstają się szybko. Spacerują po ulicach Lizbony, siedzą na ławkach rozstawionych na Rua Garrett i wsłuchują się w muzykę graną w barach. Rozmawiają, dyskutują, sprzeczą się, cieszą swoją obecnością. Noc jest dla nich za krótka, a nadejście świtu zupełnie ich zaskakuje.

Nigdy więcej Fernando nie zobaczy Ofelii właśnie takiej jak tej nocy - kobiety świadomej swego czaru, eterycznej i nieprzeniknionej.

Kiedy odprowadza ją nad ranem do domu, czuje w sercu lekkość i brak przymusu robienia czegokolwiek. Myśli, że nawet dziewięć lat temu nie doznał niczego podobnego. To uczucie jest przyjemne, choć z drugiej strony przerażające. Co by było, gdyby tak się czuł przez cały czas? Czy byłby nadal

sobą, czy już kimś innym? Czy mógłby pisać, gdyby nie czuł tak dobrze ciężaru życia? Nad tym na razie woli się nie zastanawiać.

ROZDZIAŁ 57

Kiedy dotarliśmy do skrzyżowania utworzonego przez trzy wąskie uliczki, mężczyzna z wyczyszczonymi butami powiedział:

- To tutaj. Pójdzie pani pod górę, minie ten dom z zielonymi azulejos i po prawej będzie Devagar Devagarinho.

- Dziękuję, teraz już trafię.

- A czemu właściwie Devagar? - zainteresował się nagle.
- Jeśli chce pani zjeść obiad, znam lepsze miejsca.

- Nie, nie chodzi o obiad. Szukam pewnej kobiety, a w zasadzie śladów po niej, tak jak pan szuka śladów przeszłości w starych domach.

- O, widać mamy podobne cele. Rozumiem. Bene vertat, quod agis (Oby na dobre wyszło to, co robisz (powiedzenie łac).) - powiedział, podając mi rękę. - Do widzenia. - I zniknął za parasolem ocieniającym skrzynki owoców stojące przed sklepem, który minęliśmy.

Ruszyłam w górę stromej uliczki. Dom z zielonymi azulejos wyłonił się z cienia. Minęłam go i dostrzegłam wejście do Devagar. Drzwi były przymknięte, ale ze środka dochodziły męskie i damskie głosy. Pociągnęłam za klamkę. W chwili, w której to zrobiłam, zapadła cisza. Stałam tuż za progiem, spojrzenia wszystkich osób skupiły się na mnie. Wszyscy znieruchomieli, jakby ktoś włączył stop - klatkę. W tym ułamku sekundy dostrzegłam w rogu pomieszczenia trzech mężczyzn z gitarami. Oni też przestali grać. Czekali.

- Dzień dobry - powiedziałam cicho.

- Dzień dobry, dzień dobry - odpowiedziało kilka osób, jakby było to hasło dopuszczające do tajnego spisku, i już dziewczyna w kucharskim fartuchu szykowała miejsce przy stoliku, już rozkładała serwetę, już biegła do kuchni po talerz. Zanim się zorientowałam, siedziałam na krześle, a przede mną parowała sopa de legumes.

Mężczyźni wrócili do grania, a kilka osób siedzących przede mną wróciło do przerwanej rozmowy. Najwyraźniej moja obecność tylko na chwilę zakłóciła normalny bieg rzeczy.

Lokal był niewielki, z jednym wystawowym oknem i przeszklonymi drzwiami wpuszczającymi do środka odrobinę światła. Stoliki oddzielała od kuchni niska lada z miskami pełnymi owoców i ciastek. Klienci doskonale widzieli, co dzieje się w kuchni - że sardynki już się ugrillowały, że zupa kipi albo że krewetki skwierczą w garnku.

Nie wiedziałam, kto wśród siedzących przy stolikach jest klientem, kto właścicielem, a kto personelem. Wszyscy w lokalu - mężczyźni i kobiety w różnym wieku i o różnej aparycji - mieli wspólną, trudną do sprecyzowania cechę, która łączyła ich i zaświadczała: „jesteśmy podobni, jesteśmy z tej okolicy, wszyscy się znamy, mówimy tym samym językiem, mieszkamy tutaj”. Być może to ich podobieństwo kryło się w wyglądzie, w gestykulacji, a może w sposobie intonowania słów.

Ledwo zdążyłam zanotować, że kobieta siedząca naprzeciwko mnie, choć wiekowa, jest niezwyklej urody, a czerń ubioru i ciężkie kolczyki dodają jej tylko elegancji, kiedy gitary nagle zmieniły ton i dźwięki zaczęły układać się w harmonijną całość. Łysiejący mężczyzna siedzący przy stoliku obok wstał. Sądziłam, że chce coś ważnego powiedzieć, ale on... zaczął śpiewać. Jedną rękę położył na oparciu krzesła, palce drugiej nerwowo się poruszały, jakby wygrywały niesłyszalną melodię. Jego twarz spurpurowiała, ale głos był czysty. Silny i męski. Śpiewający doskonale potrafił podążać za dźwiękiem gitar, ale równie często to one podążały za jego głosem, dostosowując się do rytmu słów i melodii. Nagle, w połowie pieśni, do tego męskiego głosu dołączył kolejny. Dochodził gdzieś zza baru. Spojrzeliśmy

wszyscy w tamtą stronę - to młody chłopak trzymający w ręku dzbanek z wodą postanowił przejąć prowadzenie.

Starszy mężczyzna usiadł, a młody wyszedł zza lady i śpiewał, jakby była to najbardziej naturalna rzecz na świecie. Jego młodzieńczy głos wspaniale brzmiał wewnątrz tej niewielkiej tasca (Tasca - lokalna, niedroga restauracja.). Kiedy chłopak skończył, rozległy się brawa, na krótko jednak, bo sekundę później gitary znowu zagrały i z kuchni usłyszeliśmy śpiew. Śpiewała dziewczyna, która wcześniej zrobiła dla mnie miejsce przy stole. Stała za kuchenną ładą, zamknęła oczy, a jej głos uniósł nas tam, gdzie nostalgia i tęsknota układają się w skomplikowaną mozaikę.

Moja zupa już całkiem wystygła, ale przecież nie wypadało jeść. Ten zaskakujący koncert pozbawił mnie niemal wszystkich myśli - z wyjątkiem tych, które nasuwał śpiew wychodzący z serc śpiewających. Inni też nie jedli, choć oliwki, chleb i świeżo przyrządzone małże stały na wszystkich stolikach. Tylko gitarzyści popijali co jakiś czas czerwone wino rozlane do ich kieliszków. Fado unosiło się powietrzu, melodia bez początku i bez końca, nieustający przepływ obrazów, nastrojów i uczuć pomiędzy śpiewającymi a słuchającymi.

Nagle coś się zmieniło. Gitary zamilkły, szmer głosów rozszedł się po przesiąkniętej muzyką sali. Ktoś otworzył drzwi wejściowe i nieruchome do tej pory powietrze drgnęło. Kobieta siedząca naprzeciwko mnie odłożyła wachlarz, którym się wachlowała, i sięgnęła po oliwkę.

- Czy jest tutaj właściciel kawiarni? - zapytałam ją, korzystając z chwilowej przerwy.

Nie odpowiedziała, tylko wskazała wachlarzem w kierunku mężczyzny z wąsami, który głośno rozmawiał z innym. Jej ruch był tak pełen dostojeństwa i powagi, że nie śmiałam pytać o nic więcej.

Na szczęście mężczyzna zauważył mnie pierwszy.

- Podobało się pani? - zapytał.

- Bardzo - odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

- To takie nasze piątkowe śpiewanie. Próba zespołu, w skład którego wchodzi wszyscy znajomi - zaśmiał się.

- A więc wszyscy tutaj się znają?

- Ależ oczywiście. W końcu jesteśmy w tasca!

- Chciałam chwilę z panem porozmawiać. Szukam kogoś, kto znał śpiewaczkę Rosę Moreto.

- Kogo? My nie mamy śpiewaczek, każdy jest u nas solistą, każdy może śpiewać.

- Ale to było kilkanaście lat temu. Podobno śpiewała tutaj z drugą kobietą.

- A, to ja tego nie pamiętam. Wtedy lokal prowadził mój ojciec, a ja przesiadywałam na uczelni.

- Czy mogłabym porozmawiać z pana ojcem? To dla mnie bardzo ważne. Bardzo - podkreśliłam.

- Hmm - mężczyzna podrapał się w głowę. - Mój ojciec jest zwykle zajęty. Ma taką swoją małą pasję... Wie pani, starzy ludzie mają różne pasje.

- To będzie tylko chwila, nie zajmę dużo czasu.

- No dobrze, może się zgodzi.

ROZDZIAŁ 58

- Nie wiem - powiedział staruszek ubrany w granatową kamizelkę mającą czasy swojej świetności dawno za sobą. - Jestem stary.

Siedział naprzeciwko mnie w pokoju zastawionym gipsowymi figurkami, które - jak mi wyjaśnił - wykonał własnoręcznie. Figurki miały różne kształty - anioła, koziorożca, Matki Boskiej z Dzieciątkiem, krasnoludka w zielonej czapce, kota, koszyczka z owocami. Nie było półki, parapetu ani stolika, który nie byłby zastawiony tą przedziwną kolekcją w krzyczących kolorach. Wizytą przerwałam mu pracę, gipsowa głowa o murzyńskich rysach została odłożona, nienaturalnie blada, z jednym tylko uchem pokrytym czarną farbą.

- Rosa Moreto - powtórzyłam. - Może coś pan jednak pamięta. Śpiewała w pana lokalu, podobno była znana.

- Jak mówiłem, jestem stary, ale o ile pamiętam, jeśli ktoś u mnie śpiewał, to dlatego, że jeszcze znany nie był.

- To może znana była później. Wtedy śpiewała też inna kobieta, Teresa. Występowały razem.

- Portugalia nigdy nie przelewała krwi - staruszek wzniosł oczy ku niebu. - Nigdy nikogo nie podbijaliśmy. O co pani pyta? - ocknął się. - Aha, fadistki. Proszę mówić dalej. Dlaczego chce pani o nich coś wiedzieć?

Nabrałam powietrza i zaczęłam mówić. O liście odnalezionym u kuzyna Dominika, o mojej chęci poznania jedynej kobiety, którą ten kuzyn kochał, o wizycie u Teresy, o wędrówkach po Lizbonie i spotkaniach, które prowokują następne spotkania. Staruszek słuchał, co jakiś czas wzdychając, a ja czułam, że mówię bardziej do siebie niż do niego, że opowiadam sobie samej nie historię życia Dominika i Rosy, ale swoją własną. Wiedziałam, że mężczyzna odpływa myślami gdzieś indziej, że zapada się w swój świat, że

zapomina, że siedzę obok, a jednak nie przeszkadzało mi to. Był jak podróżny przypadkowo spotkany w pociągu, któremu z dziecięcą łatwością opowiada się największe sekrety.

Kiedy skończyłam, staruszek spał. Jego pierś unosiła się łagodnie w rytm regularnych oddechów, a głowa bezwładnie zwisała w niewygodnej pozycji. Pochrapywał, ale jego sen był czujny, gotowy w każdej chwili ustąpić miejsca przebudzeniu.

- Starzy ludzie mało śpią - powiedział, podnosząc powoli powieki. - A w taki upał ciężko się myśli. Więc szuka pani Teresy, ponieważ kochał ją pani kuzyn?

- Nie, nie całkiem - zaprotestowałam słabym głosem, uświadamiając sobie, że staruszek nie zarejestrował ani jednego słowa z mojej opowieści albo chce sprawić takie wrażenie. - Szukam Rosy, a Teresa z nią śpiewała.

- Tak, tak. Właśnie to miałem na myśli. Proszę nie sądzić, że uległem starczej demencji. Czasy, które bezpowrotnie minęły, pamiętam dużo lepiej niż dzisiejszy poranek. A że lekarz kazał mi jeść to liściaste paskudztwo, wie pani, kapustę, brokuły, sałatę, szpinak... Oczywiście, pamiętam je. To były dwie wspaniałe kobiety. Ja dobrze znałem tych, których do siebie zapraszałem. Obie piękne, a proszę mi wierzyć, dwie kobiety rywalizujące z sobą są jeszcze piękniejsze. Rosa Moreto i Teresa Lavos.

- Naprawdę pan je pamięta? - ucieszyłam się.

- Ja nie muszę pamiętać - powiedział z dumą. - Teresa Lavos jest moją znajomą. Widzi pani te kwiaty? To od niej. Wpada co jakiś czas i wtedy zazwyczaj rozgrywamy partyjkę szachów. Pani też chce zagrać? Ostrzegam, że zwykle wygrywam.

- Nie, dziękuję - uśmiechnęłam się. - Dlaczego powiedział pan „rywalizujące”?

- To pani nic nie wie? - zdziwił się. - One były przyjaciółkami, Teresa i Rosa. Takimi, co teraz się już nie

zdarza. Poszłyby za sobą w ogień. Jedna śpiewała pół wieczoru, druga pół nocy. Pomagały sobie. Ich głosy dobrze brzmiały razem, ich repertuar się uzupełniał. Miałem wtedy najlepsze lata. W lokalu dużo ludzi, mogłem wino pić do rana i wcale mi nie szkodziło. Dzieciaki były już na studiach, życie jakby lepsze... No, ale wiadomo, czas nie stoi w miejscu. Nie widziałem Rosy ze sto lat, ale kiedyś ją znałem. W jej śpiewaniu było tyle saudade, że trudno byłoby ją zapomnieć. Wie pani, kiedy śpiewała, człowiekowi otwierała się jakby dodatkowa przestrzeń w sercu. One śpiewały często razem, ale tak było tylko na początku, bo potem Rosa zaczęła eksperymentować.

- Co pan ma na myśli?

- Powiem tak: wszystko się zmienia, ale ja zawsze uważałem, że fado zmieniać się nie powinno. Fado jest fado od wieków i niech takie pozostanie. Z jednym, jedynym wyjątkiem... a dotyczył on Rosy. Pamiętam, jak przyprowadziła skądś takiego młodego gitarzystę, który grał zupełnie inaczej... Ale to jeszcze nic. Któregoś dnia przychodzę do lokalu, wchodzę jak zawsze wejściem od tyłu, słucham... i zdaje mi się, że to jakaś pomyłka, że to nie mój lokal! Bo zamiast solistki i gitar słyszę zupełnie inne instrumenty, jakby grał cały zespół, jakby to nie było fado. Wchodzę do środka, a tam Rosa... Śpiewa przy akompaniamencie gitar, ale też kontrabas i perkusji! Chciałem ją natychmiast wyrzucić, bo wtedy uważałem, że to profanacja, zwłaszcza że tego nie ustaliliśmy. Ale słucham, słucham... Nie uwierzy pani, jak to brzmiało, jak inaczej... Nie wyrzuciłem jej. Chociaż jestem tradycjonalistą i nie lubię zmian, zrobiłem wyjątek. Ech, niewygodny ten fotel - stęknął i wskazał ręką na sofę. - Tam jest poduszka.

Podaliśmy mu poduszkę, a staruszek, wpychając ją w szparę pomiędzy plecami a oparciem fotela, wytłumaczył:

- Kręgosłup mnie boli. Nie ma pani pojęcia, co ci lekarze teraz wymyślają. Ćwiczyć mi każą! A wracając do Rosy... Ona miała swoją filozofię. Mówiła, że muzyka to przestrzeń, do której można wylać swoją duszę. Pamiętam, bo długo rozmawialiśmy na ten temat. Twierdziła, że teraz nie można śpiewać tak, jak śpiewano sto lat temu. Że trzeba głębiej, mocniej, inaczej. Nie ma już przecież kobiet, które latami czekają na mężów powracających z połowów. Że teraz są inne emocje, inne marzenia. Wie pani, ja tak upraszczam, ale chodzi o to, że dla niej fado to nie były tylko słowa i instrumenty, to był też stan duszy. Ona pisała, podglądając zza firanki sąsiadów, zwyczajne życie było dla niej ciekawe. Miała też piosenkę o obrazie jakiegoś malarza. Takie rzeczy ją inspirowały. Ona fado nie śpiewała, dla niej fado się po prostu wydarzało, jak życie. Mnie się to początkowo nie za bardzo podobało, ja jestem wychowany na Amalii, ale Amalia też przecież wprowadziła w fado nowości... Camoesa śpiewała, chociaż wtedy to nie mieściło się w głowie. No i ubierała się na czarno. A teraz wszyscy myślą, że tak było od zawsze! Rosa śpiewała nieznanych poetów albo trudnych do śpiewania. Pessoa śpiewała, naszego największego poetę. Śmierć według mnie to zakręt drogi. Umrzeć - wymykać się spojrzeniu. Słucham i słyszę, jak odchodzisz, trwając jak ja przy swym istnieniu... („Literatura na Świecie" 2002, nr 10 - 12.) Proszę przełożyć to na fado - zaśmiał się. - To zupełnie inny rytm i nikt tego wcześniej nie śpiewał! I właśnie w sprawie śpiewania poezji Rosa i Teresa nigdy się nie dogadały. Bo Rosa mówiła, że układ wiersza, skomplikowana budowa zwrotek to tylko trudności techniczne, które dobry fadista może pokonać. I że Pessoa, choć trudny, ma najbardziej portugalską duszę ze wszystkich poetów portugalskich. Z tym się zgodzę. Kto jak kto, ale Pessoa wiedział, co to niepewność życia, o śmierci dużo mówił, o

przemijaniu... Był pełen niepokoju, a jednocześnie ciągłej nadziei na to, że jego życie kiedyś będzie miało głębszy sens. I nieustannie tęsknił, tylko za czym? Może za szczęściem, które było na wyciągnięcie ręki, chociaż nigdy po nie nie sięgnął... Wie pani, myślę, że z życia Pessoai można by ułożyć niezłe fado! W każdym razie wyglądało to tak, że Rosa Pessoe śpiewała, a Teresa twierdziła, że jego można tylko czytać, że pewne napisane słowa zaśpiewane już nie brzmią tak dobrze.

- Pessoe - powtórzyłam jak echo, uświadamiając sobie, że historię lizbońskich zaułków odsłania przede mną właśnie on.

- Jeśli chodzi o fado, to naprawdę z biegiem czasu dużo zaczęło je różnić. Rosa była nowoczesna, chciała swoją muzykę poszerzać, nie bała się wprowadzania nowych środków. Wkładała w swój śpiew takie emocje, które wcześniej w fado się nie pojawiały. Chciała tę muzykę odmłodzić. Tymczasem Teresa zawsze śpiewała na melodie klasycznych fado, była tradycyjna. I nie powiem, że mi się to też nie podobało, o nie. Teresa też była dobra i lubiłem jej słuchać. Była po prostu inna, miała inną wrażliwość, postrzegała muzykę bardziej tradycyjnie. Przez to powstawały między nimi konflikty. Kiedy Rosa zaczęła swoje fado zmieniać, to nagle do mojego lokalu zaczęły przychodzić gromady ludzi. Nie mogłem tego zrozumieć. Aż któregoś dnia usiadłem, tak jak inni, przy stole, nalałem sobie z karafki... Mój Boże, kiedy to wspominam... Ona miała w sobie coś takiego... Była tak piękna, kiedy śpiewała, miała kryształowy głos... Ludzie nie mogli powstrzymać łez. I nie tylko dlatego, że czuli saudade... płakali też ze szczęścia, z radości... Kiedy tamtego wieczoru Rosa skończyła śpiewać, ja, który uznawałem tylko tradycyjne fado, nie mogłem dojść do siebie. I widziałem, że inni przeżyli to samo. Jakbyśmy nadal podróżowali po światach, które ona dla nas otworzyła...

Zaschło mi w gardle - oświadczył nagle staruszek. - Poda mi pani wodę?

Rozejrzałam się po pokoju. Butelka z wodą mineralną Fonte da Frag stała pod oknem na zabytkowej komodzie, jedynym sprzęcie, którego nie zajmowały malowane figurki. Kiedy napełniałam szklanę, kątem oka dostrzegłam, jak staruszek wyciąga odprasowaną chusteczkę z kieszonki kamizelki i najwyraźniej wzruszony ociera łzę. Podałam mu szklanę, a on upił łyk wody, poprawił poduszkę pod plecami i wrócił do przerwanej opowieści.

- Nie pamiętam, żebym od czasu Amalii coś takiego słyszał i widział. Ludzie przychodzili na wieczory Rosy, słuchali, a potem wychodzili... jakby inni, odmienieni. Wie pani, że podobno małżeństwa się naprawiały? Że ludzie po koncertach sobie przebaczali, jakby zaczęli dostrzegać, że pewne drobne rzeczy w obliczu tych najsilniejszych przeżyć w ogóle nie mają znaczenia? Czy to nie zadziwiające...? Zresztą nie tylko to. Zrozumiałem, że śpiewa u mnie ktoś niezwykły, że ta dziewczyna ma talent, którego nie było w fado od lat, gdy zobaczyłem, że muzycy, ludzie z branży, byli nią równie zachwyceni jak my, zwykli śmiertelnicy. Chcieli z nią grać, choćby na próbach przed koncertami, bo to było jak misterium. Nie jestem znawcą, ale wiem, kiedy w fado chodzi o poprawną technikę i charakter, a kiedy w muzyce zawarte jest całe życie, a nie tylko płaskie słowa. To słyszy każdy prawdziwy Portugalczyk, my to mamy we krwi - wskazał na przegub swojej dłoni. - Tak jak jest w nas fado i saudade. Któregoś wieczoru na koncert trafił jakiś dziennikarz i napisał potem w gazecie, że Rosa Moreto wszystko, co zaśpiewa, zamienia w fado... To zdanie utkwilo mi w pamięci. Może dlatego, że doskonale oddawało to, czym był śpiew Rosy, trafiało w sedno. Dlatego jej wychodziły rzeczy, które były nie do pomyślenia i o których nikt nigdy wcześniej nie

powiedziałaby, że są fado. Ona fado odnowiła, dała mu nowe życie. Zaraz po tym, jak Rosa wygrała konkurs, taki doroczny konkurs dla młodych fadistów, amatorów oczywiście, bo szkół fado przecież nie mamy, w mojej tasca zaczęły pojawiać się prawdziwe tłumy. Nie było gdzie wcisnąć szpilki! Jak oni wszyscy do nas trafiali, sam nie wiem. To był dla mnie świetny czas, dla mojej tasca. Zacząłem myśleć, że powinienem Rosę zacząć promować, bo zaraz mi ktoś ją ukradnie, a ja nie chciałem, żeby to się skończyło. Ale właśnie wtedy, gdy postanowiłem, co robić dalej, coś się zmieniło... Myślę, że to przez ten konkurs. Tam prezentowało się mnóstwo ludzi i Teresa Lavos też. Jak mówiłem, one były zupełnie inne, choć przyjaciółki. Teresę ludzie lubili, ale Rosa zabrała jej całą widownię. Wszyscy przychodzili na tę część wieczoru, która przypadała Rosie... Widziałem, że Teresa zazdrości. Och, jak ona zazdrościła tych zasłuchanych twarzy, tych wpatrzonych w Rosę oczu! Wiedziała, że Rosa ma większy talent, że ma coś, na co wszyscy od lat czekaliśmy. Jej głos, jej śpiew wprawiał wszystkich w osłupienie, oczarowywał... Teresa o tym wiedziała. Coś tam się działo, ja takie rzeczy czuję. Sprzeczały się, to było słyszeć w ich fado. Teresa nikła w oczach. Marniała. Ulatywał z niej cały zapach i wszystkie ważne słowa, a fado blakło jak stara gazeta. Podejrzywałem, że Teresa jest zdolna do nienawiści. To jest tego typu kobieta, wie pani, mocna. Jedno co wiem, to że nienawiść zabija fado. Kto nienawidzi, nie może śpiewać. Dobrze śpiewa ten, kto potrafi tęsknić. Za czymś, co było, lub za czymś, co będzie. Wie pani, co mam na myśli?

- Myślę, że tak... A co stało się potem?

- Rosa zaczęła śpiewać też w innych miejscach, innych lokalach, to było nieuniknione przy jej talencie. Żałowałem, że nie zacząłem wcześniej jej promować, ale co zrobić... Miała szansę i głupio, gdyby całe życie śpiewała w mojej małej

tasca. Słyszałem ją na innych koncertach, przecież chodziłem na nie jak maniak. Ale nie trwało to długo. W pewnym momencie wydawało mi się, że jej fado złagodniało... Może to było tylko wrażenie, a może faktycznie coś działo się w jej życiu, coś, co tak zmieniło jej muzykę, bo niedługo potem Rosa po prostu zniknęła... Nie odezwała się do mnie, nikt ze znajomych nie wiedział, co się stało. Pytałem Teresę, przecież ona musiała wiedzieć, ale Teresa nie powiedziała ani słowa. Teresa nie jest wylewna i nigdy nie była, ale ja widziałem, że dzieje się coś niedobrego. Teresa przestała śpiewać i obawiam się, że wtedy też przestała śpiewać Rosa. Przecież zawsze były jak naczynia połączone. Teresa wyszła potem za mąż, ale ten mąż - staruszek ponownie westchnął - ten mąż zniknął gdzieś na oceanie. Kobieta wiele się nacierpiła w życiu. Rozczarowała się. Rosy już nigdy więcej nie widziałem. Gdyby pani trafiła na jej ślad... - spojrzał mi prosto w oczy - proszę o mnie nie zapomnieć. Chciałbym ją usłyszeć zamiast chóru aniołów w niebie... Ach, dosyć tego - uczynił ruch ręką, jakby odganiał natrętną muchę, ale ja wiedziałam, że odgania obraz śpiewającej Rosy.

ROZDZIAŁ 59

Fernando przysiada na schodkach prowadzących do Rua de Martim Vaz. Pada na nie cień rzucany przez płachty materiałów rozwieszone na pierwszym piętrze kamienicy. Mokre, dopiero wyjęte z wypełnionej wodą balii prześcieradła układają się w swego rodzaju baldachim, z którego rytmicznie skapują ciężkie krople, tworząc na bruku okazałą kałużę. W kałuży, przeczuwając, że to jedyna okazja, by się ochłodzić, zrasza swoje pióra para miejskich gołębi. Gołębie rozkładają i składają skrzydła, gruchając przy tym radośnie, jakby zażywały prawdziwej kąpieli. Fernando patrzy na nie z rozbawieniem, ale nagle czuje, że musi wstać i ruszyć dalej, pod górę.

Droga wspina się, prowadzi go prosto pod park Torel. Fernando mijają go jednak, ledwie rzuciwszy okiem na dobrze znaną bramę, i idzie dalej, w stronę Campo Mártires da Patria. Lubi to miejsce, pomimo jego ponurej nazwy - Plac Męczenników za Ojczyznę - nadanej dla upamiętnienia egzekucji wykonanej w tym miejscu w 1817 roku na antybrytyjskich spiskowcach.

Na placu zawsze panuje spokój, jakby przechodnie nie chcieli zakłócać zmarłym ciszy. Miła dla zmęczonego nocną lekturą oka jest też zieleń, w której plac tonie. Dlatego Fernando zajmuje jedną z ławek stojących tyłem do gmachu Wydziału Medycyny, Instytutu Medycyny Sądowej i kostnicy. Zakłada nogę na nogę, opiera głowę na oparciu ławki i z przyjemnością zapala papierosa.

Istnieją chwile, które przynoszą Fernandowi spokój i ta jest jedną z nich. Czuje, jak mocno bije mu serce - tego dnia wypił siedem bica, nie może więc oczekiwać niczego innego - ale nie przeszkadza mu to. Wie, że nie dba o siebie tak, jak powinien, a konsekwencje tego nie są dla niego zaskoczeniem.

Fernando uwielbia mocne papierosy, czarną kawę, absynt. Mało sypia i dużo pracuje. Codzienne życie, ziemskie i osadzone w rzeczywistości, obchodzi go znacznie mniej niż literatura, niż przyjemność, jaką czerpie z aktu tworzenia, z iluzorycznej świadomości, że pozostawi po sobie ślad, że ma szansę zostać docenionym, że nie rozpułynie się w niepamięci, gdy wyda ostatnie tchnienie.

Miał dzisiaj spotkać się z Ofelią. Prosił ją o spotkanie, kilka tygodni rozłąki z powodu jej choroby rozbudziło w nim uczucie, które w liście pisanym do niej nazwał tęsknotą, choć czy tęsknotą było naprawdę, nie był pewien.

Dzisiaj do Ofelii napisał też Alvaro de Campos. Nie był to miły list, wszak Alvaro nigdy nie jest miły dla Ofelii. W liście napisał, że jego przyjaciel Fernando Pessoa nad wyraz ceni sobie wolność i że nie może obdarzyć Ofelii głębszym uczuciem.

„Cóż to jest wolność? - zastanawia się Fernando, polemizując z listem Camposa. - Czy jest to po prostu możliwość izolacji? Czy jeśli związę się z Ofelią, możliwość ta zostanie na wieki zaprzepaszczona? A więc mogąc spełnić marzenie o miłości, tracę marzenie o wolności... Moje uczucia są szczerze, to wiem na pewno, lecz czy nie są płytkie? Ofelia... jest ideałem. Jest tym wszystkim, czego brak innym, czego brak wielu, by mogli być kochani. Kiedy składa dłonie w moje ręce, kiedy zbliżam twarz do jej twarzy... wiem, że jestem kochany i że ja mógłbym kochać. Chcę utrwalić tę chwilę w poezji, lecz zanim zdążę to zrobić, marzenie przemienia się w banał. Campos powtarza, że miłość jest obowiązkiem, a ja wiem, że ten obowiązek ciąży, wymaga wzajemności, wymusza zaangażowanie, zmienia wszystko, co było wcześniej. Czy nie lepiej pozostać sobą, nie będąc ze sobą? Czy nie lepiej patrzeć i słuchać, lecz nie dotykać, wiedząc, że to, co zostało dotknięte, traci urok? Podziwiam Ofelię, szanuję

ją i wielbię. Wychudła tak ostatnio, jest blada, podobno nie sypia. Powtarzam jej, by lepiej się odżywiała. Piszę listy i przesyłam pocałunki. Nie sądzę jednak, by miłości to wystarczyło".

Papieros parzy Fernanda w palce, nie zauważył, że trzyma niedopałek. Wyrzuca go pośpiesznie i kieruje swoje kroki w stronę Elevador do Lavra, skąd pustym tramwajem zjeżdża prosto na Avenida da Liberdade. Do spotkania z Ofelią ma jeszcze ponad godzinę. Postanawia zjeść coś, a przy okazji dopisać notkę dotyczącą Pałacu Queluz pod Lizboną, którą zamierza umieścić w dopiero co ukończonym przewodniku turystycznym.

Najbliżej ma do klubu Maxim. Zajmuje stolik w sali wyłożonej dębowym drewnem, zamawia obiad i zaczyna pisać. Jest tyle nazwisk i tyle faktów historycznych, które chciałby utrwalić, pisząc o Queluz, że niemal zupełnie traci poczucie czasu. Sięga po kieliszek absyntu, który kelner postawił na stoliku, a kiedy zapada noc, ma już uzupełniony cały rozdział przewodnika. Pracuje jednak dalej, ręka nie może oderwać się od kartki, umysł od przychodzących skojarzeń, słów i powiązanych z sobą myśli. Wybija północ, kiedy Fernando wychodzi z klubu i wolnym, chwiejnym krokiem wraca do domu.

Następnego dnia budzi go gdakanie trzymany na dziedzińcu kur.

- Gdzie jestem? - pyta sam siebie. - Wczorajsza noc, prawda! - chwyta się za bolącą głowę. Co jeszcze powinien pamiętać? - Ofelia! Biedna Ofelia, zapewne czekała na mnie do późna, jak mogłem ją zawieść! - jęczy.

Wyciąga z kieszeni surduta zdjęcie, które kilka dni temu zrobił mu przyjaciel fotograf, i drżącą ręką skrobie coś pośpiesznie u dołu kartki.

Dwa dni później Ofelia dostaje to zdjęcie pocztą. Jest na nim Fernando - stoi przy barze, hardo patrzy w obiektyw, lewą ręką obejmuje szklanekę z absyntem, drugą trzyma w kieszeni. Na fotografii napis: „Złapany na gorącym uczynku. Przepraszam”.

ROZDZIAŁ 60

Pedro nie był człowiekiem, który łatwo ustępuje. Cechowała go stanowczość, bo uważał, że w dzisiejszym świecie wszystko jest zbyt płynne i bez wyraźnych granic, a ludzie za łatwo ulegają wpływowi. Tę cechę charakteru można by złośliwie nazwać apodyktycznością, ale ponieważ ani jego żona Adelaida, ani Inacio, ani nawet Lucia nie byli złośliwi, to określenie w domu Pedra nigdy nie padło.

Prawdą jest, że nie zamierzał ustąpić Lucii. Odwiedził kryjówkę Mauricia, ale nie znaczy to, że zaakceptował chłopaka i że Lucia będzie mogła nadal spędzać całe dni po drugiej stronie Tagu. Dlatego podczas jednego z tych milczących wieczorów, kiedy Lucia siedziała zamknięta w swoim pokoju, a Pedro, oglądając wiadomości, udawał, że w jego domu panuje całkowita harmonia, pomyślał, że skoro Mauricio jest hip - hopowcem, a Lucia ciągle słucha tej jego muzyki, to może warto przyjrzeć jej się bliżej. Miał nadzieję, że może dzięki temu zdoła zrozumieć zauroczenie córki tym nudnawym, jak mu się zdawało, chłopakiem.

Zapukał do drzwi pokoju Lucii. Dziewczyna odpowiedziała cicho „proszę”, burząc tym samym panujący między nimi mur milczenia.

„Dobry znak”, pomyślał Pedro i wszedł do środka.

- Lucio, czy dałabyś mi do posłuchania parę płyt? - powiedział bez wstępów. - Wiesz, tych, których ciągle słuchasz, tych od Mauricia...

- Po co? - zapytała podejrzliwie. - Co chcesz z nimi zrobić?

- Posłuchać, dziecko, chcę tylko posłuchać.

- Oszalałeś? Ty chcesz słuchać hip - hopu?

- A dlaczego nie? Może mi się spodoba - uczynił wysiłek, żeby zabrzmiało to możliwie wiarygodnie.

Lucia zamyśliła się na chwilę, chciała zrozumieć motywy, jakie kierowały jej ojcem. „Może chce je wyrzucić na śmietnik? Albo zniszczyć na moich oczach? Udowodnić mi, że nie są nic warte? To wszystko jest takie męczące. Mam dosyć tych jego karcących spojrzeń, niedomówień i traktowania mnie, jakbym codziennie popełniała jakieś przestępstwo. Kiedyś tak nie było". Przypomniała sobie wakacje na gorącym wybrzeżu Algarve, dokąd jeździli jeszcze parę lat temu. Stanowili wtedy całkiem zgraną rodzinę. Spędzali całe dnie na plażach, wieczorami grali w ping - ponga albo w scrabble. Dni płynęły wtedy wolniej, w rytm przewidywalnego wakacyjnego harmonogramu.

Lucia miała dobry kontakt z matką, ale z jakichś powodów o swoich szkolnych kolegach, o pierwszych miłościach i rozczarowaniach wolała opowiadać ojcu. Nie zadawał tylu pytań, nie dociekał, nie udzielał rad. Nie należał do specjalnie wyczulonych na problemy dzieci ojców, ale Lucii to nie przeszkadzało - najważniejsze było, że chciał jej słuchać. Choć w tamtym czasie Pedro nie jawił jej się już jako idealny ojciec i mężczyzna, za jakiego uważała go w dzieciństwie, to jednak nadal był jej przyjacielem i przede wszystkim wsparciem.

Nie chciała wracać do tamtych czasów, ale było w tych nagle ożywionych wspomnieniach coś, za czym bardzo tęskniła, choć nie potrafiłaby tego nazwać. Dlatego zdecydowała:

- Dobra, dam ci kilka. Masz tę - podała ojcu płytę wyjętą z odtwarzacza. - I jeszcze tę. Na wszelki wypadek weź też i tę.

- Dziękuję - odpowiedział zadowolony i wyszedł z pokoju.

Przez kolejne dni mieszkańcy Rua de Sao Paulo byli świadkami zastanawiającego zjawiska. Pedro - tak zwykle uprzejmy dla klientów kiosku, gotowy obsłużyć ich w kilka

sekund, by zdążyli złapać odjeżdżający z przystanku autobus - teraz zupełnie ich ignorował. Siedział z ogromnymi, podobnymi do tych, jakich używano kilkanaście lat temu, słuchawkami na uszach i pozostawał głuchy na sygnały ze świata zewnętrznego. Minę miał posępną, skupioną. Co jakiś czas rytmicznie kiwał głową, czasem strzelił palcami z wyraźnym zadowoleniem. A tymczasem przed kioskiem stawał kolejny klient chcący dokonać zakupów i zniecierpliwiony czekaniem, głośno pochrząkiwał, by Pedro go zauważył i obsłużył. Pedro, nie zdejmując słuchawek, podnosił wzrok na domagającą się uwagi osobę, szybko podawał wskazany towar i wracał do słuchania muzyki. Po Rua de Sao Paulo rozeszła się wieść, że ze sprzedawcą z kiosku w błękitnej bramie dzieje się coś dziwnego.

Faktycznie, Pedro nie zachowywał się w typowy dla siebie sposób - sterta płyt na ladzie oraz słuchawki na uszach nie przystawały do jego wizerunku. Chciał jednak dotrzymać danego sobie słowa i przesłuchał wszystkie płyty, które dostał od córki. Ze zdziwieniem odkrył, że ta muzyka nie jest wcale gorsza od przebojów puszcanych w państwowym radiu (co było z jego strony dużym komplementem). Był w niej mocny rytm, była treść.

„Nie taki diabeł straszny, jak go malują”, pomyślał pewnego dnia Pedro. Zamknął kiosk wcześniej niż zwykle i - podniecony swoim odkryciem - pobiegł do Joany.

Joana układała właśnie na półkach popołudniową porcję wypieków - świeże bułeczki z marmoladą w środku. Widok Pedra niezmiernie ją ucieszył, zwłaszcza że ostatnio rzadziej przychodził w odwiedziny, przygnieciony problemami z Lucią.

- Joana! Nie uwierzysz! - wykrzyknął na powitanie. - Słucham muzyki Mauricia!

- Co? - zdumiała się.

- Pożyczyłem płyty - poinformował ją zadowolony. - I wyobraź sobie, nie są takie złe. Może i ten Mauricio ma coś w głowie.

„Zadziwiająca jest natura ludzka - pomyślała Joana. - Stateczny i zasadniczy Pedro przechodzi ostatecznie przedziwną metamorfozę. Trzeba to pozytywne nastawienie podtrzymać i utrwalić”.

- Ludzie mogą zmieniać się w każdym wieku - powiedziała głośno. - Wiesz, Pedro, mam pomysł. Zaproś Mauricia do domu.

- Słucham? - Pedro otworzył usta zaskoczony.

- Po prostu go zaproś. Kiedy się poznacie, jeśli nie teraz? Mogę wam podrzucić jakieś ciasto na wieczór. Usiądźcie, pogadajcie, przecież kiedyś to musi nastąpić, chyba że nie chcesz naprawić swoich kontaktów z córką.

Pedro zasepił się na moment. Mauricio w jego domu? Chłopak, który tyle namieszał w głowie Lucii... Może to nie jest zły pomysł? Przecież tego właśnie chciał - żeby Mauricio przyszedł jak człowiek, żeby dał się poznać, tak jak on dał się poznać swojemu przyszłemu teściowi. Żeby chłopak nie rzucał na schodach, w przelocie, ochłapu w postaci wymamrotanego „dzień dobry”. W gruncie rzeczy od dawna chciał poznać Mauricia, choć podświadomie tego właśnie unikał.

- Tak zrobię. Joana, jesteś genialna - cmoknął przyjaciółkę w policzek i z lekkością nastolatka wybiegł z piekarni.

Dwa dni później Mauricio, Lucia i Pedro siedzieli przy jednym stole w pokoju na Rua de Sao Paulo. Niemrawa początkowo rozmowa szybko nabrała rumieńców, zaszły też pierwsze zmiany we wzajemnym nastawieniu rozmówców. Pedro nie chciał już wbijać noża w serce Mauricia, Lucia porzuciła myśl o ucieczce z domu, a Mauricio... No cóż,

Mauricio nadal chciał mieszkać po drugiej stronie Tagu i nadal trochę bał się Pedra, ale i on poczuł, że ten wieczór przyniósł zmianę. Kiedy z przystanku na dole ruszał ostatni autobus, cała trójka wzniosła toast pomarańczowym sumolem, a potem pokonana przez zmęczenie zapadła w sen: Pedro w swojej sypialni, Lucia w swojej, a Mauricio - by nie siać zgorszenia - na wąskiej kanapce w przechodnim pokoju.

ROZDZIAŁ 61

Stałam w przedpokoju, mierząc wzrokiem pupilka Teresy, który szczyrzył na mnie swoje mizerne kły i warczał przy tym jak rasowy buldog.

Też miałam ochotę powarczyć - Teresa nie pojawiła się w Santa Engracia, chociaż sama zaproponowała, by tam się spotkać. Dopiero za drugim razem przyznała się, że śpiewała z Rosą, choć wcześniej uparcie się tego wypierała. Nie była ze mną szczerą, miałam wrażenie, że wciąż ukrywa przede mną prawdę. Nie wspomniała też o tym, że знаła Dominika, choć to jeszcze byłam w stanie zrozumieć - może po prostu nie zapadł jej wystarczająco mocno w pamięć.

- Cicho, daj przejść - Teresa zganiła psa w nietypowy dla siebie sposób.

Pies warczał jednak nadal, a Teresa zniknęła w kuchni, pozostawiając mnie w niezręcznej sytuacji. Nagle biały kudłacz zauważył szparę i wślizgnął się przez nią do jednej z sypialni, uchylając drzwi jeszcze bardziej.

Podeszłam bliżej. Pomimo wdzierającego się do mieszkania słońca, w sypialni było niemal zupełnie ciemno. Przez niedomknięte drzwi wysączał się do przedpokoju wyraźny chłód, który sprawił, że zapragnęłam wziąć przykład z kudłacza i też zaznać tej przyjemnej dla ciała temperatury.

Nie wiem, czy stały tam jakieś meble. Było za to sporo glinianych doniczek różnych rozmiarów rozstawionych na szerokim parapecie i pod nim, i ten doniczkowy dywan rozwijał się na dalsze części pokoju, zabierając przestrzeń należną innym niezbędnym przedmiotom. W doniczkach usychały paprotki, palmy i begonie. Rośliny stojące na balkonie już praktycznie nie żyły, zdrewniałe łodygi bez liści i kwiatów zasłaniały okno, tworząc swego rodzaju żaluzje. Jedynymi żywymi roślinami były te postawione na podłodze najbliżej drzwi. Wszystko inne stanowiło roślinny cmentarz.

W przedpokoju pojawiła się Teresa. Trzymała w dłoni kawałek soczystej kiełbasy, chciała przysmakiem przekupić psa stojącego jeszcze parę minut temu na mojej drodze. Musiała zauważyć, że zaglądałam do pokoju, bo wytłumaczyła:

- Uwielbiam rośliny. Kolekcjonuję je.

A widząc moje zdumienie, bo przecież nie była to zwyczajna kolekcja, dodała:

- Ale czasem zapominam je podlać. Senhora wie, nie sposób o wszystkim pamiętać.

Przeszliśmy do salonu i zasiadliśmy przy niskim stoliku, na którym teraz stała filiżanka z niedopitą kawą.

- Byłam w Panteonie Santa Engracia. Myślałam, że pani też tam będzie... - zaczęłam z wyrzutem, czując, że jesteśmy o krok od przykrej konfrontacji.

- Też tak myślałam - odparła sucho.

- Ale pani nie było...

- Senhora... - odchrząknęła - musiałam wiele przemyśleć. A niełatwo myśli się o przeszłości.

Czułam, że Teresa jest inna niż zazwyczaj, choć nadal szorstka, to jednak mniej zdystansowana, bardziej obecna. Nagle moja złość gdzieś uleciała. Odsunęłam ją na dalszy plan, bo odniosłam wrażenie, że jest to początek jakiejś dłuższej rozmowy. I nie myliłam się.

- Senhora nadal szuka Rosy? - zapytała Teresa, nie patrząc na mnie. - Tak często śpiewaliśmy fado... Ja też jej szukałam. Gdyby senhora wiedziała, jakie my dla siebie byliśmy... Ale najpierw zrobię kawy i doleję też sobie - wskazała na filiżankę. - Powiem coś, czego nie mówiłam wcześniej nikomu - odezwała się chwilę później, stawiając filigranową filiżankę z kawą dla mnie i dolewając więcej sobie. Nie wpuściłabym senhory do domu, gdybym wiedziała, że to wszystko do mnie wróci. A wróciło i nie daje mi

spokoju... Ja jestem w gruncie rzeczy ugodową osobą, ale ta jedna rzecz we mnie siedzi, a przez to najście... nieważne zresztą. Senhora na pewno nie wie, że fado, jakim go wyśpiewasz, takim wraca do ciebie. Więc przyznam, że ja tego też nie wiedziałam, aż do tamtego momentu, kiedy wszystko się zmieniło. Śpiewanie... to było nasze życie. Długie wieczory w tasca, konkursy... Te wszystkie płyty i zdjęcia z autografami - zrobiła ruch dłonią w bliżej nieokreślonym kierunku. - Ale senhora musi wiedzieć, że ja dawno temu przestałam śpiewać. Trudno to sobie wyobrazić, ale w pewnym momencie nie miałam już o czym. Dziwne, prawda? Ja, która podsuwałam teksty Rosie! Im bardziej się starałam, tym gorzej mi wychodziło, a fado nie lubi kompromisów. Przypominałam sobie wszystkie piosenki, które wcześniej śpiewałam, ale one już były inne. Myślałam, że mam je na stałe zapisane w sercu, niestety... Co senhora tak wybałusza oczy? - zapytała mnie nagle, dokładnie w chwili, w której uświadomiłam sobie, że Teresa zmierza do tego, co ja z trudem wydobyłam od dawnego właściciela Devagar.

Czy wiedziała, że już wiem o jej konflikcie z Rosą? Wydawało mi się to niemożliwe, upłynęło przecież zaledwie parę godzin od mojej rozmowy ze staruszkiem, nie mógł zdążyć jej o tym powiedzieć.

- Ja... słucham...

- Dobrze, niech senhora słucha, bo nie będę powtarzać. Gdybym nie miała powodu, nie opowiadałabym takich rzeczy. Ale życie składa się ze wspomnień i na koniec tylko one zostają. - Upiła łyk kawy. - Więc proszę nie przerywać - pouczyła mnie, ale jej głos był łagodny. - Mój spowiednik powiedział mi kiedyś, że zawiść mnie zniszczy. Ludzie czasem gadają bzdury. Bo czy to była zawiść!? - uniosła się, ale nie wyjaśniła, co ma na myśli.

Nie musiała tego robić. Wiedziałam, o czym mówi. Zresztą widać było, jakie uczucia, nawet teraz, po tylu latach, władają jej sercem. Patrząc na nią, widziałam młodą dziewczynę, która marzy o karierze fadistki i która tę karierę ma w zasięgu ręki... Dziewczynę, która ma głos i ma słowa, i przyjaźń trwającą od lat... a potem nagle coś się zmienia, psuje, zanika... Bez wątpienia było to bardzo bolesne. Miałam wrażenie, że zaczynam ją rozumieć.

Teresa, wzburzona, mówiła dalej.

- Wszyscy twierdzili, że to moja wina. Senhora wie, w środowisku takie rzeczy szybko się rozchodzą. I wszyscy byli po stronie Rosy. Bo Rosa taka piękna i dobra, a mnie zawsze stawiali na gorszej pozycji. I tak też było wtedy! Więc gdzie jest sprawiedliwość? Rosa wszystkie moje dobre rady odrzucała, ale ten jeden raz, tylko ten raz, w końcu zrobiła tak, jak jej mówiłam. I przez to od dwudziestu lat nie mogę spać spokojnie... - zamilkła.

Nie patrzyła na mnie, jej wzrok krążył gdzieś ponad moją głową, zahaczając od czasu do czasu o fotografię rozwieszoną na przeciwległej ścianie, to znów zatrzymując się na oknie. Na skroniach Teresy pojawiły się fioletowe żyłki, które u większości ludzi świadczą o dużym wysiłku fizycznym. Chyba dostrzegła mój wzrok, bo nieco zmieszana sięgnęła po cukiernicę i chcąc odwrócić moją uwagę, zaczęła wsypywać łyżeczkę po łyżeczce do swojej filiżanki. Jej ręka drżała, a ruchy były zbyt energiczne. Nie potrafiła ukryć niepokoju, nie potrafiła mówić bez emocji o wydarzeniach, które zmieniły bieg jej życia.

Ja też nie czułam się swobodnie. Było coś zaskakującego w jej chęci mówienia, w tej nagłej otwartości. Jakby powzięła jakieś postanowienie i teraz pragnęła dotrzymać danego sobie słowa, mimo że tak wiele ją to kosztowało. Po raz pierwszy miałam wrażenie, że jest naprawdę sobą, że jest prawdziwa.

Kiedy znowu zaczęła mówić, jej głos łamał się i tracił na sile, jakby tamto wydarzyło się nie ileś lat temu, ale przed chwilą... Wspomnienie Rosy i dawno minionej pasji nadal było zdolne pobudzić w niej najgłębsze, najskrytsze uczucia.

Kiedy firanki w oknie poruszyły się, a wiatr przywiał do pokoju ledwo wyczuwalny zapach Tagu, Teresa powiedziała cicho:

- Może gdybym jej odpuściła, gdybym nic więcej nie mówiła, może wtedy siedziałabym tutaj z Rosą, a nie z senhorą. Jak za dawnych lat, kiedy byłyśmy jak siostry, kiedy wszystko nas łączyło, a nie dzieliło. Może byśmy nawet obydwie śpiewały... Senhora wie, że tutaj, niedaleko parku Torel jest taki piękny, stary dom. Zawsze myślałam, że będę wyglądać przez okno jego uroczej wieżyczki ozdobionej kwiecistymi azulejos na ogród i zacieniony taras, że będę w takim domu szczęśliwa z tym mężczyzną, którego pokocham. Ale dom wykupił adwokat, wprowadził się z rodziną i tyle wyszło z moich marzeń. O takim życiu, jakie ja miałam, nawet świętej pamięci Amalia nie śpiewała. Powiem więcej - wyprostowała się nagle. - To ja byłam pierwsza, to ode mnie wszystko się zaczęło, nie od Rosy. Nigdy jej tego nie wypominałam, ale przecież wiedziała o tym dobrze, tak jak ja.... Zabawne, że w życiu tracimy najczęściej to, co najbardziej kochamy. A może kochamy to, co musimy nieuchronnie stracić...? - zawiesiła głos.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Gorycz i smutek brzmiały w jej głosie równie mocno. Dlaczego postanowiła w końcu podzielić się ze mną swoim życiem? Czym zdobyłam jej zaufanie? Teraz ta drobna, przygarbiona kobieta budziła wyłącznie moje współczucie i było ono szczere, tak jak szczery był jej smutek.

- Rozumiem, że Rosa zabrała pani fado...

- Jak to „fado”? - weszła mi w słowo. - Co senhora ma na myśli? Ja mówię o Dominiku!

ROZDZIAŁ 62

Droga Ofelio - zaczyna Fernando, poprawiając na nosie nowe okulary w grubych oprawkach i o wklęsłych szklach. Kupił je parę dni temu u optyka na Rua do Carmo i był to zakup konieczny: jego wzrok pogarsza się w zastraszającym tempie. Jest to jednak jedyna przypadłość fizyczna, która tak naprawdę mu doskwiera. Wszystkie inne lekceważy, udając, że dotyczą kogoś innego. Pochylony pisze dalej. - Martwię się, że tak źle ostatnio wyglądasz. Musisz więcej dbać o siebie, a mniej myśleć o nas. Staram się sprawiać ci przyjemności; uwierz mi, że staram się bardzo, ale twoją twarz zasnuwał jakiś ogromny smutek. Powiedz mi, co cię gnębi? Przecież możesz, droga Ofelio, powiedzieć mi wszystko.

Przerywa i pociera kciukiem spocone czoło. Dlaczego listy pisze się dużo trudniej niż wiersze? A może po prostu trudne listy pisze się trudniej niż łatwe wiersze?

Ofelia jest ostatnio bardzo małomówna. Wyraźnie poddała się melancholii. Fernando podejrzewa, że to przez niego. Przez chłód, z jakim czasami ją traktuje, przez brak z jego strony deklaracji dotyczących założenia rodziny, przez złośliwości Camposa, które przecież są tak naprawdę jego złośliwościami. Ofelia zna jego myśli, wyczuwa to, co on czuje. Gry słowne, które prowadzą, intelektualne dyskusje i przekomarzenia wystarczały przez jakiś czas, ale teraz, kiedy pierwsze zauroczenie minęło, przyszedł czas na kolejne, niemożliwe do zrobienia przez Fernanda kroki.

„Muszę napisać to jaśniej”, myśli i znów chwyta za pióro.

Dobrze wiesz, Ofelio, że kochałem tylko raz w życiu i że kochałem Ciebie. Bóg mi świadkiem, że jeśli kiedykolwiek miałbym pojąć jakąś kobietę za żonę, ożeniłbym się z Tobą. Ale to wszystko było snem. Zdałem sobie sprawę, że nigdy nie poznamy się lepiej, bo żadna dusza nie może prawdziwie poznać drugiej, jeśli nie jest nią samą. Jesteśmy rozdzieleni

morzem własnych historii, przyzwyczajęń, słów, wspomnień i pragnień. Tak naprawdę każde z nas jest osobną wyspą, osobnym istnieniem bez szans na zespolenie.

Choć wiem, że nie zechcesz w to uwierzyć, muszę ci przypomnieć, że miłość jest egoistyczna. Nie jesteśmy w stanie kochać kogoś, kochamy tylko nasze wyobrażenia o tej osobie, a więc tak naprawdę kochamy samych siebie. Mało kto przyjmuje to do wiadomości, ale tak właśnie jest. Dlatego ja nie lubię mówić o miłości, nie lubię o niej nawet myśleć, jak nie lubi się myśleć o czymś, co jest ułudą.

Dla każdego uczucia trzeba znaleźć sposób, by je zrealizować. Ja go znalazłem, dla mnie tym sposobem jest literatura, a tej nie da się pogodzić z rodziną. Pisanie, tworzenie to dowód na to, że życie nie wystarcza, że miłość nie wystarcza. Dlatego piszę i muszę pisać, i nic innego nie chciałbym robić.

Fernando wstaje od stołu i podchodzi do okna wychodzącego na podwórze. Papużki sąsiadki drzemią w klatce wystawionej na balkon, kury i króliki trzymane w ogrodzonej części dziedzińca też pogrążyły się w sennej ciszy. Jedyne słyszalne odgłosy pochodzą z głębi mieszkania na parterze, gdzie dwie wdowy gotują warzywa na wieczorną fiestę z okazji dnia świętego Antoniego. Jednak także i one, popadając w ten dziwny, popołudniowy marazm, nie rozmawiają za dużo, a ich głosy są jakby przytłumione, spokojne, leniwe.

Fernando siada z powrotem przy stole, ale nie może zebrać myśli. Ta cisza jest mu obca, przyzwyczał się już do domu pełnego harmidru tworzonego przez jego siostrzeńca i siostrzenicę - wszak jego ulubiona przyrodnia siostra Teca powróciła do mieszkania przy Coelho da Rocha po śmierci matki i od tej pory zgodnie mieszkają razem.

Fernando sięga po pióro, ale nim skreśli kolejne słowo, ktoś puka do drzwi mieszkania.

- Posłaniec! - rozlega się gromki okrzyk, więc wpuszcza niskiego chłopaka z przewieszoną przez ramię torbą i odbiera list, wręczając posłańcowi drobny napiwek. Siada na kanapie i natychmiast rozpoznaje charakter pisma Ofelii. Czyta pierwsze słowa. W miarę jak to czyni, jego napięte mięśnie rozluźniają się, jakby ktoś uwolnił je od konieczności uczynienia ogromnego wysiłku.

Ofelia zrywa ich związek, zanim on zdążył to zrobić. Jak zwykle odczytuje jego intencje, zanim sam się do nich przyznał. Nie może z nim dłużej być, nie może dłużej tak trwać. Dziękuje mu za wszystkie razem przeżyte chwile. „Miłość nie może być tylko czekaniem”, wyjaśnia.

Fernando czyta list kilkakrotnie, by nie ominąć żadnego słowa. Czuje ulgę, to prawda, ale jednocześnie ogarnia go uczucie przedwczesnej straty, jakby stało się to, czego pragnął, lecz co wcale go nie cieszy. Chce pozbyć się tego wrażenia, odpędzić je, by nie pociągnęło za sobą konieczności działania. Chwyta więc kapelusz i wychodzi na ulicę. Niemal wszystkie okna stojących przy niej kamienic mają zamknięte okiennice. Cienie rzucane przez uliczne lampy trwają niewzruszenie w tych samych miejscach, nie przesuwają się nawet o centymetr. Nie widać opasłych kotów wylegujących się na schodach, nie słysząc natrętnych wróbli hałasujących zwykle w konarach drzew. Miasto wygląda na wymarłe, jakby ludzie i zwierzęta nagle zapadli się pod ziemię, jakby poddali się bezwładowi, apatii, stagnacji.

Fernando mija plac z kościołem, nieczynny targ, przystanek, na którym nikt nie czeka na przyjazd tramwaju. Gdy dochodzi do Basilica da Estrela, zgrabnej budowli o poszarzałych, marmurowych ścianach, zauważa, że nie wziął z sobą pieniędzy. Nie może zająć do żadnego baru ani kawiarni.

Skreca więc do ogrodu Estrela, gdzie zajmuje jedną z ławek nad stawem i gdzie spędza kolejną godzinę.

Nie chce myśleć o Ofelii, nie chce nieść w sobie rozżalenia, ale trudno mu się pozbyć tego uczucia. Wie, że stało się dobrze, że nie mogło stać się inaczej... Taka jest jego droga, wybrał i ten wybór był świadomy.

„Życie to poddawać się życiu, ulegać mu - przypomina sobie słowa, które niegdyś skreślił na marginesie gazety. - Pisać to tworzyć życie. Pisać to nadawać życiu wartość...”

Te słowa są jak mantra, która rozbrzmiewa przez długie godziny w jego głowie, a potem, dźwięcząc coraz wyraźniej, dociera też do serca. Pozostanie tam już na zawsze, do końca jego dni naznaczonych samotnością.

ROZDZIAŁ 63

Taki wyczyn nie mógł przejść bez echa. W końcu nie każdego dnia kobiety rodzą dzieci w domu z pomocą rybaków. Nie zawsze też podobne historie mają tak szczęśliwe zakończenie. Dlatego w ten pogodny letni wieczór cała kamienica przy Rua de Sao Paulo świętowała tę specjalną okazję - chrzest małej Larissy. Jak zwykle podczas świąt, podest i kilka stołów ustawiono na placyku przy Elevador da Bica. Najbliższe sąsiadki Marii oraz jej dwie siostry przygotowały poczęstunek - grillowane warzywa, ryby i mięso. Wszyscy byli zaproszeni na imprezę i wszyscy zaproszenie przyjęli, dzięki czemu placyk był zatłoczony jak podczas największych festynów.

Dziewczynka leżała w chuście obwiązanej wokół piersi Marii. Co jakiś czas otwierała oczy, by w spojrzeniu mamy odnaleźć spokój, po czym ukontentowana zapadała w dalszą drzemkę.

Antonio nie posiadał się z dumy. Tamtej pamiętnej nocy, kiedy było już po wszystkim, spokojnie przeanalizował całą sytuację i stwierdził, że zadziałał naprawdę profesjonalnie. Kto jak kto, ale on sam uczestniczył w porodach Clary tylko na jej wyraźną prośbę, nie przepadał bowiem za szpitalami i widokiem krwi. A jednak te cudowne momenty, kiedy na świat przychodziły jego dzieci, wryły się głęboko w jego pamięć i nie zamieniłyby ich na nic innego na świecie, były bowiem zupełnie niepowtarzalne. W dodatku tylko dzięki tym wspomnieniom był w stanie pomóc Marii i niezmiernie go to cieszyło.

Na zewnątrz było mnóstwo innych dzieci, starszych i młodszych. Biegały po torach niejeżdżącego już o tej porze tramwaju, siedziały na kolanach swoich rodziców, a nawet, tak jak półroczna Eleonora z trzeciego piętra, pełzały na czworakach po drewnianym podeście ustawionym w cieniu.

I tylko jedna osoba wydawała się tego wieczoru nieco zbity z tropu - był to Jose, ojciec Larissy, mąż Marii. Po raz setny bowiem musiał tłumaczyć sąsiadom i rodzinie, dlaczego nie było go owego pamiętnego dnia przy boku małżonki. Do znudzenia powtarzał tę samą historię - że grał w brydża z kolegami, tak jak zwykł to czynić w każdy pierwszy czwartek miesiąca, że kiedy wychodził, Maria czuła się wyśmienicie, że poród był przecież przed terminem, a splot okoliczności sprawił, że zapomniał zabrać telefon...

Wszystko to było prawdą i chociaż Maria już dawno wybaczyła mężowi to wiekopomne spóźnienie, sąsiedzi nadal z lubością wzbudzali w nim wyrzuty sumienia. Inaczej rzecz miała się z Antoniem. On, łechtany pochwałami i podbudowywany autentycznym podziwem sąsiadów, nie mógł narzekać na złe samopoczucie. Zresztą odgrywał teraz zaszczytną rolę ojca chrzestnego Larissy. W ten sposób Maria podziękowała mu za przytomność umysłu i nieocenioną pomoc, której udzielił jej podczas porodu.

Kiedy rozradowany Antonio dostał na ręce swoją chrześnicę, niespodziewanie podbiegł do niego nieco zazdrosny Tito. Omiótł wzrokiem dziewczynkę, a potem wyraźnie zaintrygowany dotknął jej maleńkiej dłoni, która otworzyła się i zamknęła, jakby dotyk sprawił jej przyjemność.

- Fajna. Czy ja też mogę mieć taką siostrzyczkę? - zapytał z nadzieją w głosie, ale siedząca obok Clara surowo zganiła go wzrokiem. A potem czule spojrzała na męża.

ROZDZIAŁ 64

- Senhora zna Dominika i wie, że to jest mężczyzna... zdolny poruszyć mury - powiedziała Teresa.

Nie potwierdziłam. Po tym wszystkim, co usłyszałam, a co dotyczyło mojego kuzyna, który nosił mnie, gdy byłam dzieckiem, na barana i obdarowywał kolorowymi opowieściami, ale nigdy, przenigdy nie wyjawiał, że zna te dwie niezwykle kobiety, Rosę i Teresę, nie byłam już niczego pewna.

- To ja pierwsza go poznałam. Obcokrajowca słabo znającego portugalski, mężczyznę przystojnego i... w każdym calu innego. Nie pamiętam dokładnie, jak to było, nie pamiętam daty ani wrażenia, jakie na mnie wywarł. Ja nie jestem z tych, co od razu sobie myślą Bóg wie co. Mam swoje zasady, a w tamtych czasach zasad było jeszcze więcej. Ale na moje nieszczęście on mieszkał tu niedaleko i ciągle się mijaliśmy. Może nie przypadkiem? Może tak właśnie było, że on chodził specjalnie tymi drogami... że specjalnie skręcał do parku Torel? Przecież to było moje miejsce, chodziłam tam sama, bo lubiłam wyobrażać sobie siebie w tych przestronnych willach, lubiłam marzyć o swoim życiu, snuć różne wizje. One potem przybierały kształt fado, które śpiewałam. Pewnego razu spotkałam go w pastelarii, która mieściła się obok naszej kamienicy. Czy to mógł być przypadek? Niech senhora sama powie - zawiesiła na mnie wzrok, a ja poczułam, że nie odważyłabym się zaprotestować, nawet gdybym miała ku temu powody. - Mieliśmy z sobą wiele wspólnego. Ale nawet gdybyśmy nie mieli, to przecież i tak było w tym wszystkim coś niecodziennego. On był trochę jak bezpański pies, który szukał domu. Ja to zobaczyłam w nim wbrew niemu, wbrew temu, co mówił i jak się zachowywał. Nie mówię tego z próżności, ale muszę powiedzieć, co mi leży na sercu. Senhora zrozumie, jak

wszystko usłyszy. Przez to wszystko nie mogę zaznać spokoju, a ja tego spokoju potrzebuję od lat. Może zrobić jeszcze więcej kawy? - zaproponowała, jakby kawa była najlepszym pretekstem, by mnie zatrzymać.

Nie musiała tego robić. Chłonełam każde jej słowo, śledziłam ruch jej warg. Ten niewielki pokój, w którym siedziałyśmy, jakby się poszerzał, pęczniał od nadmiaru unoszącego się w powietrzu podniecenia, a wszechogarniające, przybierające na sile emocje udzielały się także i mnie.

Byłam z Teresą, gdy opowiadała o spotkaniach z Dominikiem, o rozmowach, które prowadzili, i o dniu, w którym zdała sobie sprawę, że teraz to ona chodzi ścieżkami, na których może spotkać Dominika, że wyczekuje spotkania z nim, że wyróżnia go spośród swoich licznych znajomych. Mówiła o tym, jak Dominik pierwszy raz przyniósł jej do domu dziwny krzew w doniczce i powiedział, że roślina pochodzi z plantacji herbaty, na której pracował przed przyjazdem do Lizbony. A ona postawiła krzew na parapecie, obok swoich begonii, by każdego dnia móc przypominać sobie moment, kiedy ich dłonie musnęły się przypadkiem i kiedy po raz pierwszy poczuła, jak może płonąć skóra pod dotykiem mężczyzny.

- Różne dziwne kwiaty... on zawsze darowywał je właśnie mnie - wspominała. - Potem kwiaty to był mój argument. „Potem” to znaczy, kiedy wszystko już się zmieniło... Zapraszałam go do domu, prosiłam, by mi coś opowiedział o nowym gatunku, by przyszedł, obejrzał rośliny, porozmawiał... I on przychodził, nawet wtedy, gdy był już z Rosą, nawet wtedy, choć jego serce nie biło już dla mnie. Gdybym umiała przewidywać przyszłość, być może bardziej bym się pilnowała... A tak, ulegałam wydarzeniom, ulegałam tej wewnętrznej sile Dominika. Nigdy wcześniej nie straciłam

głowy. Bo też nigdy nikt nie traktował mnie w ten sposób. Przy nim działo się ze mną coś dziwnego. Nawet siedzenie z nim na ławce było dla mnie wysiłkiem... kiedy byłam blisko niego, moje ciało zaczynało drżeć, gardło robiło się suche, krew pulsowała, a ja nabierałam przekonania, że jeszcze chwila, a nie wytrzymam tej bliskości, jeszcze chwila i zacznę krzyczeć albo uciekać, chcąc zapobiec wybuchowi uczuć. Nigdy nie byłam kochliwa. Nigdy nie byłam sentymentalna. Ale wtedy zrozumiałam... wiedziałam, co mają na myśli zakochani, mówiąc, że znaleźli swoją drugą połówkę. W moich marzeniach byliśmy razem: kryłam się w jego ramionach, jakby miały uchronić mnie przed nieodwołalnością rozstania, dotykał mojej twarzy, a mnie przechodziły dreszcze od kręgosłupa po koniuszki palców... Byłam przy nim, byliśmy razem na wieki. W tamtym czasie wybaczyłabym mu wszystkie niedoskonałości, wszystkie wady i przewinienia. Nic nie miało większej wartości niż czas przeżyty z nim, razem. Pamiętam, jak kiedyś wpadliśmy na siebie w Cascais, dokąd pojechałam na weekend. Z radości rzuciłam mu się na szyję, choć to do mnie takie niepodobne. Nie czułam wstydu, przy nim czułam się naturalnie, tak jak powinna czuć się kobieta przy swoim mężczyźnie. Przy nim byłam bezpieczna. Nie lubię podróżować, ale gdyby mnie poprosił, wyjechałabym z nim na koniec świata. Mogłabym od nowa układać sobie życie, mogłabym rzucić wszystko, zostawić rodzinę i znajomych, byle być z nim. Nic się nie liczyło prócz niego, nic nie miało znaczenia. Czy tak postępuje osoba zakochana? Nie wiem, nigdy więcej nie byłam zakochana. To ja przedstawiłam Dominika Rosie. Czy się obawiałam? Oczywiście, że nie. Przecież naszej przyjaźni nic nie mogło zagrozić. Śpiewałyśmy razem. Razem poszłyśmy na pierwszy koncert fado po przesłuchaniu płyty, którą Rosa dostała od ojca. A kiedy na tamtym koncercie muzyka ucichła... - Teresa

zamyśliła się - popatrzyłyśmy na siebie i już wiedziałyśmy, że to jest objawienie, na które obie czekałyśmy, kiedy wyobrażałyśmy sobie, że nasze życie zostanie wypełnione jakąś nieznaną, wspaniałą treścią. W tamtym czasie fado można było usłyszeć niemal w każdej uliczce miasta. Płynęło zewsząd: z wnętrza ciasnych knajpek, z głośników radia, z gardeł nucących ludzi. Tak było, senhora. Wtedy miało pięćdziesiąt lat, odkąd w państwowym radiu po raz pierwszy puścili fado. To wystarczająco dużo, by fado przylgnęło do Lizbony jak wierna kochanka, której nie sposób odrzucić. My też zaczęłyśmy śpiewać pieśni znanych fadistek i fadistów. Typowo lizbońskie, bardziej emocjonalne niż piosenki z Coimbrzy, drugiego w Portugalii ośrodka fado. Nie miałyśmy złych głosów, o nie. Od początku było wiadomo, że dobrze nam idzie. Zaproszono nas do casa do fado na pierwsze występy. Na koncert Rosy przyszła cała jej rodzina. Jej ojciec patrzył z dumą, jak jego córka przeradza się na scenie w kobietę... To był jeden z piękniejszych dni, jakie razem przeżyłyśmy. Po koncercie padłyśmy sobie w ramiona, zalewając się łzami, tak silne to było przeżycie. Senhora wie, co było dalej? Obiecałyśmy sobie, że fado zawsze będzie zajmować pierwsze miejsce w naszym życiu. Gdybym wiedziała, jak bardzo ta obietnica będzie nam później ciążyć... Dominik pojawił się w moim życiu, gdy wszystko szło jak najlepiej. Nie byłam dzieckiem, a jednak... nie miałam doświadczenia, nie znałam tej siły, która może życie stworzyć, ale może je też zniszczyć. Czy Rosa była mniej obojętna? A skąd! Byłyśmy z tej samej gliny, miałyśmy tak samo otwarte serca. Kiedyś zaprowadziłam go na koncert Rosy, bo wydawało mi się to takie naturalne... Długo byłam ślepa. Nie widziałam, jak wymieniali spojrzenia, nie wyczułam, że to na widok Rosy szybciej bije mu serce. Wiele razy myślałam, że to właśnie ta ślepotą mnie zgubiła. Dominika też musiało w

końcu uczucie zgubić, ale... - ostry dzwonek telefonu przerwał jej w pół zdania.

Teresa nie poruszyła się, kiedy jednak dźwięk powtórzył się drugi i trzeci raz, wstała i podeszła do aparatu stojącego w przedpokoju.

- To przyjeźdź jutro - doszły do mnie strzępki rozmowy. - Dlaczego... Ale ja chcę... Eduardo...

Usłyszałam trzask odkładanej słuchawki. Przez chwilę panowała absolutna cisza, Teresa wróciła do pokoju, ale zanim usiadła podeszła do kredensu i przestawiła zdjęcie oprawione w złotą ramkę na wyższą półkę.

O czymś myślała? Coś ją rozproszyło i najwyraźniej potrzebowała czasu, by wrócić do przerwanej opowieści.

- To mój syn - powiedział w końcu smutnym głosem. - Senhora będzie miała dzieci, to zrozumie, że kiedy są małe, to są największym skarbem na świecie, a kiedy dorosną i przyprowadzą swoje dzieci... to tym skarbem stają się też wnuczeta. I jeśli wnuczków tak rzadko się widuje... - odwróciła ode mnie twarz i westchnęła: - Czasem myślę, że najlepiej nie mieć wcale rodziny. A wracając do Dominika... tę najważniejszą rzecz zrozumiałam w moje urodziny, kiedy Dominik zamiast przyjść do mnie, zadzwonił tylko z życzeniami. Tamten wieczór spędziłam sama, pijąc porto kupione specjalnie dla niego, bo takie wino lubił. Siedziałam tak na kanapie przez parę godzin, obserwując pajaka snującego sieć nad stołem i szukając w pamięci zdarzeń świadczących, że byłam dla niego kimś ważnym, że naprawdę dawał mi nadzieję i że się nie oszukiwałam. I wtedy kiedy tak przeglądałam zakamarki swojej duszy, uświadomiłam sobie bolesną prawdę: że go tracę. Że już go straciłam. Bóg mi świadkiem, że nie widziałam tego wcześniej. Nie widziałam, bo może on nie chciał, żebym widziała? Nasza komunia dusz, jak o tym myślałam, cała nasza znajomość zmierzała do tego,

bym poznała go z Rosą, bym go jej oddała. Senhora zna to uczucie napięcia w całym ciele? Miałam wrażenie, że ktoś ściska mnie w imadle, gruchocze moje kości i rozbija moją niewinność w drobny mak. Oczywiście wzajemność nie jest warunkiem koniecznym istnienia miłości i dlatego mogło się dziać to, co się działo. Nie potrafiłam usunąć się w cień. Może nawet chwilami chciałam, ale to już było niemożliwe. Co z tego, że bolało. Pamiętam noce, kiedy przytulałam się do zimnej ściany swojego pokoju, by usłyszeć skrawki ich rozmów odbijane od ścian... Wyczekiwałam, aż Dominik wyjdzie od Rosy, i odprowadzałam go wzrokiem, szczęśliwa, że już poszedł, że już nie jest z nią, że jest niczyj... A gdy nie mogłam dłużej czekać, aż wyjdzie, wybiegałam na ulicę i z kamieniem w sercu stawałam pod platanem, zadzierałam głowę i próbowałam dostrzec, czy jeszcze są razem, czy któryś z cieni jest cieniem Dominika. W te ponure dni odliczałam sekundy do końca jej koncertu, czekając, by wreszcie Dominik zdjął z niej swój wzrok, by zauważył też mnie, by do mnie mówił, tak jak mówił jeszcze całkiem niedawno. Chciałam cofnąć czas, chciałam, żeby było normalnie... ale Zamiast tego podążałam za nimi jak cień i bolał mnie każdy ich pocałunek, każdy miły gest, każde słowo, które wypowiadali w swym miłosnym obłędzie. Senhora nie wie, jak to jest, kiedy każdy dzień staje się oczekiwaniem. Kiedy każdy poranek przynosi nadzieję, a każdy wieczór ją odbiera, bo przecież nic się nie wydarzyło. Nic się nie zmieniło... Ja wtedy widziałam jakby więcej, czułam więcej, moje zmysły oszalały. Szłam ulicą i słyszałam wszystkie zapomniane szepty miasta, widziałam ludzi, którzy się kochali, którzy obdarzali się płomiennymi uczuciami... widziałam tylko zakochanych. Byli w parkach, w tramwajach i nad Tagiem... Te ich radosne twarze, te usta gotowe do pocałunków! To był mój krzyż. Nienawidziłam Rosy i

nienawidziłam Dominika, a jednocześnie kochałam ich oboje. W tym szaleństwie, w głębi mojego złamanego serca wiedziałam, że straciłam Dominika, ale nie chciałam tracić Rosy. Mimo nienawiści, także do samej siebie, i mimo tępego bólu, który każdy mój dzień zamieniał w koszmar, chodziłam do Rosy, rozmawiałam z nią, udawałam, że jest tak jak zawsze. Czy mi wierzyła? Może była tak samo głupia jak ja. Do dziś nie rozumiem, dlaczego jej to powiedziałam. Ale ja miałam swoje życie, a ona miała swoje i nie musiała mnie posłuchać. Nie mogłam już wtedy śpiewać. Zapominałam słowa, mój śpiew był skargą... Gitarzyści wpadali w furję, gdy się spóźniałam. Widzieli moje mokre oczy, ale to nie było najgorsze. Najbardziej bałam się, by nie dostrzegli w nich ogromu mojej rozpacz. Musiałam odejść. Rosa nadal śpiewała, jej głos można było usłyszeć w wielu lokalach. Chyba nikt jeszcze wtedy tego nie zauważył, ale ja słyszałam lepiej niż inni... Ja to po prostu wiedziałam, bo moje zmysły były wtedy bardzo wyostrzone... Senhora, w fado nie ma miejsca na fałsz: saudade, tęsknota muszą wychodzić z serca, z życia śpiewającego... Czy ona o tym nie wiedziała? Być może tak właśnie było, być może miłość przysłoniła jej też tę prawdę. I tak straciłam Dominika, fado, a później moją przyjaciółkę...

ROZDZIAŁ 65

Patrzył, jak fale oceanu rozbijają się o skalisty brzeg, a tysiące lodowatych kropel rozbryzguje dookoła, ochlapując też jego twarz. Robiło się ciemno i w znikającym na horyzoncie słońcu ten morski pejzaż nabrał wyjątkowego dramatyizmu.

- Jestem jak ocean - mruknął. - Niezmiennie zmienny.

Był w Cascais, nadmorskim miasteczku, jedynym miejscu poza Lizboną, w którym wydawało mu się, że mógłby żyć. Od kilku dni czekał na decyzję dotyczącą objęcia posady bibliotekarza w archiwum Museu Condes de Castro Guimaraes.

Lubił Cascais, z Ofelią snuli nawet plany, że właśnie tutaj kiedyś zamieszkają, ale do szukania nowej pracy zmusił go nie sentyment, lecz coraz trudniejsza sytuacja finansowa. Dochody za tłumaczenie listów biznesowych nie były ostatnimi czasy na tyle wysokie, by mógł spokojnie zajmować się literaturą. Zawsze nieregularne, teraz stały się jednak jeszcze rzadsze - listów było mniej, a firmy korzystały jednocześnie z usług kilku tłumaczy, skutkiem czego żaden z nich nie mógł liczyć na godziwe zarobki.

O posadzie w Cascais Fernando usłyszał przypadkiem. Napisał podanie o pracę i osobiście złożył je w bibliotece.

Miał niejasne przeczucie, że zmiana otoczenia, spokój i bliskość natury, czego mógłby doświadczać w Cascais, dobrze by mu zrobiły. Mógłby bardziej skupić się na pisaniu. Bo chociaż w szufladach i kufrze, do którego wrzucał rękopisy, było już ponad dwadzieścia siedem tysięcy zapisanych stron, Fernando miał wrażenie, że to zaledwie cząstka tego, co mieści się w jego głowie.

Jego podanie zostało jednak odrzucone. Dlaczego? Nie wiedział. Posadę otrzymał malarz Carlos Bonvalot.

„Nic tu po mnie", myślał Fernando, wracając do hotelu, gdzie od razu spakował walizkę. Przespał noc niespokojnym snem i porannym pociągiem wrócił do Lizbony.

Jest zmęczony, a smutek ciąży mu na sercu, ale Fernando czuje, że nie może mu się poddać i zaczyna pisać. Dopiero po kilku dniach spędzonych w Cascais nabrał chęci do pisania i teraz nie odkłada pióra. Pracuje zapamiętane, wpada na pomysł, jaką formę nadać swojej nowej pracy. W jednej chwili zapisuje ideę przewodnią poematu. Ma już nawet tytuł - Przesłanie.

Nagle odrywa wzrok od kartki papieru.

„Od rana nic nie jadłem - uzmysławia sobie. - Podjadę do Café Martinho".

W progu swojej ulubionej kawiarni zastaje jej właściciela z fajką w ręku. Augusto z zadowoleniem wypuszcza kłęby dymu, patrząc na zatrzymujące się na przystanku tramwaje. Widok poety go cieszy.

- Jak się miewasz, przyjacielu! - poklepuje Fernanda po ramieniu i zaprasza do środka.

- Dobrze, Augusto. Wpadłem na chwilę.

- Chcesz coś zjeść?

- Miałem taki zamiar... - zaczyna Fernando, siadając przy kontuarze - ale głód już mi przeszedł.

Nie jest to prawda. Po prostu znowu poczuł dziwne mdłości, które męczą go od kilkunastu dni. Wie, że za chwilę pojawi się promieniujący ból brzucha. Nie jest to miłe uczucie i Fernando za wszelką cenę chce go uniknąć.

- Przyjacielu, musisz jeść - martwi się Augusto, uświadomiwszy sobie, że Fernando po raz kolejny odmawia posiłku i że wychudł bardzo, a jego rysy wyostrzyły się.

„Coś mu dolega, znam go na tyle dobrze, by to zauważyć", myśli.

- Przygotuję ci coś specjalnego - mówi i znika w kuchni. Kiedy ponownie z niej się wyłania, trzyma w ręku talerz ze smakowicie pachnącą jajecznicą.

- Jajka z serem na chlebie - zachęca.

- Dziękuję - Fernando, nie chcąc sprawić przyjacielowi zawodu, gryzie kanapkę. Z pierwszym kęsem jednak, tak jak się spodziewał, mdłości i ból nasilają się i czuje w ustach ohydny, palący smak. Schyla się, chcąc ukryć grymas cierpienia, ale Augusto jest spostrzegawczy.

- Wszystko w porządku? - dopytuje się.

Przez dłuższą chwilę Fernando nie jest w stanie odpowiedzieć, walczy z bólem, który nagle zaatakował prawą stronę ciała. Nie jest to zwyczajny ból - Fernando ma wrażenie, że to raczej ucisk czegoś, co wydaje się wielką, napompowaną do granic możliwości piłką, a jest prawdopodobnie jego wątrobą. Czuje, jak krople potu spływają mu po czole, a ciało przechodzi dreszcz. Zaciska wargi, chcąc zdusić w sobie krzyk, który wyrywa się gdzieś z głębi jego ciała.

- Tak... - stęka, prostując się. - Coś mnie tylko zabolowało. Augusto wzdycha i podsuwa przyjacielowi szklanekę z zimną wodą.

- Jak mogę ci pomóc?

- Nalej mi absyntu - odpowiada Fernando, uśmiechając się krzywo. - Tylko to przynosi mi ulgę.

ROZDZIAŁ 66

Coraz głębiej zapadałam się w fotel i obrazy przeszłości, które Teresa przede mną malowała. Rozumiałam jej udrękę i gorycz. Ja nigdy nie miałam odwagi przyznać się do samotności. Znałam ją dobrze, ale nie miałam odwagi nazwać - bojąc się, że samotność przyłgnie wtedy do mnie na zawsze i nigdy się z niej nie wyzwolę. Bałam się, że będzie jak kamień rzucony na spokojną wodę, od którego zaczną rozchodzić się coraz większe i większe kręgi, aż w końcu dosięgnie mnie frustracja.

Dopiero teraz, przeżywając z Teresą jej życie, poczułam, że moje życie się zmieni, że będąc z nią podczas tego rachunku sumienia, zaglądam w takie zakamarki swojej duszy i serca, które z powodu lęku przed ich poznaniem stały mi się niemal zupełnie obce. Czułam, że nic już nie będzie takie jak wcześniej. Jakaś uśpiona część mnie budziła się do życia, nie zważając na to, że inna część chciała utrzymać status quo.

Teresa nie była już tą oschłą kobietą, która zatrzasnęła mi drzwi przed nosem podczas mojej pierwszej wizyty. Potrafiła kochać, cierpieć i płakać, a jej uczucia miały siłę, której ja sama nigdy nie poznałam.

Zrozumienie drugiej osoby jest furtką do prawdziwego kontaktu. Ta furka właśnie została otwarta, a dzięki temu i moje, i - jak mi się wydawało - Teresy serce.

- Co pani powiedziała Rosie? - zapytałam cicho.

- Powiedziałam prawdę. Tak myślałam i tak czułam, to nie było wyrachowanie. Ten, kto śpiewa fado, całym sobą musi oddać się tej muzyce. Całą swoją tęsknotę, wszystkie swoje uczucia i myśli, wszystkie wspomnienia... Musi podzielić się z fado tym wszystkim, co go boli, co cieszy lub smuci, co go do głębi porusza. Tak jak dzieli się życie z ukochaną osobą. Fado jest jak zaborczy kochanek. Tak zawsze uważałam. Sądziłam, że Rosa myśli podobnie, ale gdyby tak

było, to chyba nie musiałabym nic mówić? W jej śpiewie słyszałam to, czego inni jeszcze nie dostrzegli. Kiedy Dominik zawładnął jej sercem, a szczęście wypełniło jej duszę, fado Rosy przestało mieć siłę, która sprawiała, że poprzez jej śpiew ludzie spotykali samych siebie. Przepęłniała ją wewnętrzna, promieniująca na wszystkich radość... Nie było już w jej śpiewie rozdzierającej serce melancholii ani poczucia przemijania, przeświadczenia, że wszystko, co piękne, musi kiedyś umrzeć... nie było tęsknoty za wszystkimi dobrymi chwilami, które już uleciały, za wspomnieniami napływającymi do nas z każdą kroplą deszczu... nie było saudade. Kiedy chodzi o fado, nie potrafię milczeć. Siedziałyśmy na ławce przy pobliskim klasztorze. Było bardzo późno, Rosa wróciła dopiero z Luso. Dobrze widziałam w niej tę energię, która otacza ludzi szczęśliwych. To widać na pierwszy rzut oka, a jeśli zna się kogoś tyle lat... Opowiadała, że w jej życiu wydarza się coś, o czym wcześniej tylko czytała w książkach. O czym wiedziała, że istnieje, ale nie wierzyła, że jej się przytrafi. Wiedziałam, o czym mówi. Przeczuałam, co ma na myśli, bo moje serce cierpiało tak bardzo, jak jej serce się radowało. Tylko że ona mogła tymi przeżyciami dzielić się ze mną, a ja z nią już nie. Nie życzę, by kiedykolwiek coś podobnego senhorę spotkało. Nikomu takiego nieszczęścia nie życzę. Kiedy tak siedziałyśmy na ławce, nie zważając na upływające godziny i słysząc tylko bicie własnych serc, pomyślałam, że prawdziwa przyjaźń polega też na mówieniu tego, co dla drugiej osoby bolesne. To był dla mnie sprawdzian, tak wtedy uważałam, choć teraz myślę, że kierowały mną także mniej szlachetne pobudki. Powiedziałam jej, że fado musi być prawdziwe. Że jeśli Rosa chce dalej śpiewać, to musi pozwolić odejść miłości, że musi wybrać, nawet mając świadomość, że żaden wybór nie będzie dobry. Widziałam, jak jej twarz się zmienia, jak niknie jej

cudowna aura, czułam, że temperatura wokół nas nagle spadła. Spytałam Rosę, czy spostrzegła, że nie ma już tylu fanów na jej koncertach, czy zauważyła, że traci tę niezwykłą siłę przekazu i że jej fado staje się zwyczajne, płaskie... że nie ma w nim melancholii, dramatyzmu... że jest za bardzo ułożone, spokojne... że to, co wszyscy uważali za najcenniejsze w jej śpiewie, ulatuje... Chciałam, aby wiedziała, że jeśli zatrzyma szczęście, to zagubi fado, a jeśli chce śpiewać fado, to musi dać odejść szczęściu. Te dwie rzeczy stoją w sprzeczności. Ona milczała, nie zaprotestowała, ale też nie przyznała mi racji. Myślę, że w głębi duszy wiedziała, że taka jest prawda. Może po prostu nie chciała tego powiedzieć na głos. To była nasza pierwsza taka rozmowa. Potem też rozmawiałyśmy, ale żadne późniejsze słowa nie miały takiego znaczenia jak tamte, wypowiedziane pod rozgwieżdżonym niebem Lizbony. Niech senhora nie myśli, że mi było łatwo. Przecież dla mnie Dominik... Do dzisiaj mam koszmary, w których Rosa wyrzuca mi, że wszystko skończyło się przeze mnie. Noszę w sobie winę prawie dwadzieścia lat i powiem szczerze, że nie robi się wcale lżejsza z upływem czasu. Nie mogę zapomnieć, choć tyle razy próbowałam. Tamtego wieczoru nie powiedziałam Rosie wszystkiego. Nie mogłam. Nie mogłam jej powiedzieć, że gdyby ktoś postawił mnie przed takim wyborem, nie wahałabym się ani chwili. Dla mnie istniało tylko fado, ale Dominik był ważniejszy niż fado. Dlatego byłabym gotowa zostawić wszystkie fado świata dla życia z Dominikiem... Kiedy patrzę wstecz, myślę, że tak naprawdę sama zmarnowałam sobie życie, że po tym, co zrobiłam, nie mogło ułożyć się inaczej. Gdybym mogła, przeżyłabym je w inny sposób, ale wiadomo, że tego, co było, nie można przeżyć ponownie. Było mi ciężko żyć ze świadomością, że Rosa odeszła przeze mnie, choć przecież nie wiem, czy tak było na pewno. Nie jestem zła, nie życzyłam nikomu

przegranej. To swoje życie przegrałam - ostatnie słowa wypowiedziała z bezgranicznym smutkiem, który chyba wypełniłby cały Tag.

Dopiero wtedy dostrzegłam jej dłonie - zniszczone, nerwowo kręcące rąbkiem serwety przykrywającej stół. Siedziała przygarbiona, opuszczona i całkowicie bezbronna.

Kiedy jej słowa wybrzmiały, pojawiła się cisza. Nie była ciężka ani męcząca, nie krępowała nas. Zamykała opowieść i w przedziwny sposób oczyszczała nas z nawału emocji, które przed chwilą przeżyliśmy. Świat zatopił się w tej ciszy, rozkoszował nią - ogarnęła pokój, mieszkanie, ulicę, park i skwerek przy klasztorze, aż wreszcie nie było już ani jednego odgłosu, ani jednego szmeru, który by ją zakłócał.

W powietrzu unosiło się wyłącznie saudade.

ROZDZIAŁ 67

Teresa i Rosa nie widziały się przez kilka dni po nocnej rozmowie, najdłuższych dni w życiu Teresy i może jeszcze dłuższych w życiu Rosy. Ale Teresa widziała, że Rosa wychodzi na koncerty, że często wraca z nich z Dominikiem i bukietami kwiatów, tak jak bywało wcześniej.

Coś się jednak zmieniło, bo kiedy Teresa przykładła ucho do ściany, nie słyszała już beztroskiego śmiechu, spontanicznie intonowanego fado ani ciszy, która otula zmęczonych kochanków. Przez warstwę cementu, cegieł i piasku czuła, niemal fizycznie, że w gęstym powietrzu wypełniającym mieszkanie Rosy wypowiedane są słowa, które ranią. I czuła, że ból rozchodzi się po całej kamienicy, dociera też do niej, do jej kości, mięśni i serca, i idzie dalej, do sąsiadki z parteru, do trzech siwych wdów wachlujących się na ławce przed kamienicą... Aż pewnego dnia, stojąc pod platanem, zobaczyła ostatni pocałunek Rosy i Dominika. Rozpaczliwy i czuły jednocześnie. Widziała Dominika powolnymi ruchami przyciągającego do siebie Rosę, jego cień za wykrochmaloną firanką. Uciekła, nie mogła znieść tego widoku.

Nie zobaczyła więcej Dominika. Jego postać, idąca sprężystym krokiem po połatanym starymi płytami chodniku, już nigdy nie wyłoniła się zza zakrętu. Razem z Dominikiem zniknęła z życia Teresy wszelka nadzieja. Nikt inny nie zajął w jej sercu miejsca tego mężczyzny.

Któregoś dnia Rosa pojawiła się w drzwiach mieszkania Teresy. Nie była sobą. Miała starą sukienkę, włosy w nieładzie. Powiedziała, że rozstała się z mężczyzną, którego kocha ponad życie. Który jest jej przyjacielem, który mógłby być ojcem jej dzieci. Nie zrobiła tego, bo Teresa jej tak radziła, o nie. Wiedziała już od dawna, że przed nią jest tylko jedna droga, z pierwszą fałszywie zaśpiewaną nutą zyskała

świadomość, że musi rozstać się z Dominikiem. Była stworzona do śpiewania fado, tylko to potrafiła robić dobrze i tylko w tym się spełniała. I nawet Dominik nie mógł tego zmienić. A jednak długo oddalała te myśli od siebie, jak oddala się niewygodną prawdę, ale ta nie znika tylko dlatego, że ktoś nie chce jej zauważyć. Rosa była wobec Teresy chłodna, ale wyznała, że dla niej ważna była też przyjaźń z Teresą, mimo że przez ostatnie miesiące zeszła na dalszy plan. Teraz Rosa chciała wrócić do tego, co było. Czy mówiła prawdę? Teresa nie była pewna. Dla niej i dla postronnych osób ta przyjaźń właściwie już nie istniała.

Rosa po okresie milczenia wróciła do śpiewania, wróciła na scenę. Zrobiła to w nadziei, że wszystko będzie tak jak przed pojawieniem się Dominika. Jakie złudne to były marzenia!

- Widziałam, jak się starała - wspominała Teresa. - Wróciła do dawnego trybu życia: nocnych koncertów, spania do późna, pisania tekstów piosenek i wyszukiwania melodyjnych wierszy... Próbowwała zbliżyć się do znajomych, których z powodu Dominika zaniedbała, bywała w tych lokalach, w których miała wiernych fanów. Wszystko na nic. Kochając Dominika, nie mogła śpiewać, ale nie mogła też śpiewać, kiedy odszedł. Dała kilkanaście koncertów, zanim zorientowała się, że naprawdę utraciła swój dar. Został jej tylko piękny głos. Nawet mnie było jej szkoda, choć przecież wszystko zdarzyło się przez nią. Dominik okazał się jej i moim przekleństwem. Rosa zapadła się w sobie.

Wybrała fado, a ono odwróciło się od niej. A przecież dla fado zrezygnowała z Dominika, zrezygnowała z miłości. Czy to nie okrutny żart losu?

Teresa zaplotła dłonie i złożyła je na kolanach. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

- Zrobiło się późno - zerknęła przez okno. Faktycznie, na zewnątrz panowała nieprzyjazna ciemność. - Czy możemy spotkać się jutro o dwunastej w kawiarni Brasileira?

ROZDZIAŁ 68

30 listopada 1935 roku

w szpitalu Sao Luis dos Franceses

zmarł nagle Fernando Pessoa, autor nagrodzonego poematu Przesłanie.

Pogrzeb odbędzie się 2 grudnia na cmentarzu Prazeres.

Poeta zostanie pochowany w grobie rodzinnym obok swojej babki Dionisii Seabry Pessoi.

Pokój jego duszy

ROZDZIAŁ 69

Przyszła punktualnie. Była opanowana, elegancka, łagodna. Nie mogłam jej poznać, tak bardzo zmieniła się od wczorajszego wieczoru.

- Nie byłam tu od dawna... - zaczęła, rozglądając się. - Tylu obcych ludzi.

Rzeczywiście, wszystkie stoliki były zajęte, w dużej mierze przez turystów. Tylko przy ladzie kilku starszych Portugalczyków popijało kawę.

- Nie byłam tu od dawna, tak jak nie byłam w wielu innych miejscach - westchnęła. - Nie ruszałam się z domu, chyba bojąc się, żeby ktoś nie odkrył tego, co noszę w sercu. Senhora to zmieniła - Teresa zwróciła swoją twarz ku mnie.

Nie miała już na ustach grymasu niezadowolenia, który widywałam u niej wcześniej, jej oczy błyszczały. Spokojnym głosem mówiła dalej:

- Nie wiem, czy to, co powiedziałam wczoraj, ma dla senhory jakieś znaczenie. Bo przecież i tak senhora nie wie, gdzie jest Rosa... - zawiesiła głos, pozwalając, bym pomyślała, że oto nadeszła chwila, w której wreszcie zdradzi mi tajemnicę. - Ale ja też nie wiem. Naprawdę - spojrzała mi prosto w oczy. - Któregoś dnia Rosa powiedziała mi „do widzenia”. Nie wiedziałam, co ma na myśli, nie dopytywałam się. Więcej się nie zobaczyłyśmy, nigdy nie napisała do mnie słowa, nigdy nie zadzwoniła. Może przeprowadziła się do innego miasta, nie byłyśmy w stanie już przecież obok siebie mieszkać, może wyjechała z kraju. Jej mieszkanie przez długi czas stało puste. Potem, za zgodą rodziny, wynajęła je nasza wspólna znajoma, ale ona też dawno temu się wyprowadziła. Od rodziny Rosy próbowałam wydobyć jakieś informacje, ale nie powiedzieli mi słowa. Z nimi Rosa też się nie kontaktowała. Z dnia na dzień zniknęła z naszego życia. Trudno uwierzyć, ale wyglądało to tak, jakby po prostu

zapadła się pod ziemię. Wspomnienie tamtych szczęśliwych i zarazem tragicznych dni jest jak kamień, który ciągnie mnie w stronę grobu. Dlatego nie chcę, żeby senhora mówiła cokolwiek Dominikowi. I ja o nim też nie chcę słyszeć. Proszę zapomnieć o naszej rozmowie.

Przerwała. Słyszeć było tylko szmer rozmów osób siedzących przy innych stolikach. Czekałam na kolejne słowa, na dalszy ciąg opowieści, ale ona sięgnęła po filiżankę i przez dłuższą chwilę popijała kawę, nieruchomym wzrokiem wpatrując się gdzieś w przestrzeń. A potem, bardziej do siebie niż do mnie, wyszeptała:

- Od lat chciałam komuś o nim opowiedzieć. Od lat nie było komu.

ROZDZIAŁ 70

Czułam, że zaraz rozboli mnie głowa. Co jakiś czas uciskałam sobie skronie, ale to niczego nie zmieniało. Za dużo myśli, za dużo emocji i przeżyć, bym teraz łatwo mogła sobie z nimi poradzić.

Rosa zostawiła Dominika, by móc śpiewać. Miłość przegrała z fado. Fado było dla Rosy najważniejsze, a jednak fado też przegrało.

Można z kimś przeżyć całe życie, nie znając go, pomyślałam o moim kuzynie Dominiku. Pojawiał się w moim życiu na krótko, przyjeżdżał i wyjeżdżał, pozostawiając za sobą aurę niezwykłości. Był w gruncie rzeczy jak ojciec, który obdarowuje dziecko prezentem, a potem znika na cały rok. Przez połowę życia pozostawałam pod jego urokiem, a nie wiedziałam, co naprawdę nosi w sercu.

Po tym, co usłyszałam od Teresy w jej wypełnionym ciszą i wspomnieniami mieszkaniu, Dominik stał się dla mnie bardziej realny, ludzki. On też kochał i tęsknił. Zawsze sądziłam, że pierwsze miejsce w jego życiu i sercu zajmowały podróże i niebezpieczne przygody, a miłość była drugorzędna, nieistotna. Tymczasem to dla miłości był gotów zostać w jednym miejscu, porzucić życie nomada.

Dlaczego miłość Rosy i Dominika tak mnie poruszyła? Było mi tak niewymownie żal ich straconych uczuć, tego, co mogliby przeżyć. Czy dobrze zrobili, rozstając się? Czy naprawdę nie było innego wyjścia? Może od zawsze szukali siebie i tylko ten jeden raz się odnaleźli, a jednak potem z siebie zrezygnowali...

Co we mnie zostało ze słów Teresy... a raczej co się narodziło? Czy sama do tej pory nie żyłam tak jak Dominik po rozstaniu z Rosą? Z nikim się nie wiążąc, nie dopuszczając do siebie uczuć, które zmieniają przeznaczenie, pozwalając odejść temu, co chciałoby się w życiu najbardziej zatrzymać...

Może ja też traciłam swoją szansę? Nigdy nie pozwoliłam być obok mnie komuś, kto mógłby wstrząsnąć moim życiem. Odsuwałam od siebie sytuacje mogące zburzyć mój perfekcyjnie funkcjonujący świat, zagłuszałam pragnienia serca i potrzeby duszy. A przecież nie chciałam popełnić takiego błędu jak Dominik. Nie chciałam potem żałować i szukać, nigdy nie znajdując. Nie chciałam udawać, że sobie radzę...

Przystanęłam na placyku przy Elevador da Bica, był zatłoczony. Dzieci biegały dookoła rozstawionych stołów, psy radośnie szczekały, czekając na kawałek mięsa rzucony z grilla. Zobaczyłam znajomą z piekarni, Joaną - rozmawiała ze sprzedawcą z kiosku w błękitnej bramie, co jakiś czas wybuchając śmiechem. Pomachała mi zapraszającym gestem. Naprawdę chciała, żebym podeszła?

- Ciesz się razem z nami - powiedziała, kiedy się do niej zbliżyłam. - Świętujemy chrzciny małej Larissy.

Podawała mi kubek z winem i bez zbędnych formalności wróciła do przerwanej rozmowy ze sprzedawcą. Przysiadłam na jednym ze schodków prowadzących w górę uliczki, skąd miałam dobry widok na cały placyk. Ci ludzie mieli w sobie tyle witalności, tyle pogody ducha. A przecież ich życie było w gruncie rzeczy proste. Cieszyli się, kochali, mieli dzieci i umierali, ale dzięki temu żyli naprawdę. Przyjmowali chwilę taką, jaka jest, nie zawsze analizując, jakie będzie miała konsekwencje w przyszłości. Angażowali się, chociaż czasem mogli potem żałować swoich decyzji. Ja żyłam spokojnie w Dublinie, nie przywiązując się do ludzi ani do idei, a tak naprawdę nieustannie myśląc o przeszłości i tęskniąc za tym, co mogłoby nadejść, gdybym tylko zrobiła pierwszy krok. Przyjechałam aż tutaj, by poznać historię Rosy i Dominika, a moją historię odsuwałam, by spełniła się kiedy indziej i gdzie

indziej. Ta bierność kłóciła się z prawdziwym pragnieniem mojego serca, pragnieniem bliskości.

Patrząc na tych roześmianych, szczęśliwych ludzi, spoglądających z miłością na małą dziewczynkę trzymaną przez mamę w chuście, zrozumiałam, że ja też chcę poczuć to, co czuli oni i co mieli w sercach Dominik, Rosa i Teresa.

A list, tak jak Dominik sobie życzył, postanowiłam wrzucić do skrzynki w Dublinie.

EPILOG

O tym wszystkim myślałam też po przyjęciu, idąc na Largo de Sao Carlos. Tutaj, w mieszkaniu na czwartym piętrze wysokiej kamienicy o kremowej fasadzie, urodził się Fernando Pessoa. Słowa mężczyzny w okularach, widniejącego na okładce niemal stuletniego przewodnika, kierowały mnie w nieznane miejsca, które - także dzięki utrwalonym w książce wrażeniom Pessoai - stawały mi się bliskie. Rosa śpiewała poezję Pessoai, Dominik jej słuchał. Słowa, czasem zwiewne i jasne, czasem naznaczone nostalgią i cierpieniem, połączyły nas wszystkich w kręgu jednej historii, rozciągniętej w czasie, lecz trwającej do dnia dzisiejszego.

Plac przed kamienicą był pusty, stoliki restauracji mieszczące się przy Teatro Nacional de Sao Carlos jeszcze nie zostały nakryte białymi obrusami. Nagle na pogrążony w ciszy plac wjechał samochód. Zatrzymał się w cieniu drzew, a z jego wnętrza wyskoczył młody chłopak w czarnej koszulce z białym nadrukiem. Obszedł Largo de Sao Carlos dookoła, jakby czegoś szukał, rzucił okiem na kamienicę i zawołał swojego towarzysza, który wysiadł z auta ze skrzynką do przechowywania narzędzi. Obaj uklękli na chodniku i dyskutując, odmierzali coś, po czym chłopak w czarnej koszulce zaczął robić notatki w grubym zeszycie. Nie minęło kilka minut, a obok nich zjawił się kolejny mężczyzna i demonstrując siłę swoich bicepsów, uruchomił młot pneumatyczny. Podeszłam bliżej.

- Tu stanie pomnik Pessoai - wyjaśnił chłopak z notatnikiem, kiedy zapytałam o powód tego zamieszania.

Chciałam wiedzieć, jak pomnik będzie wyglądał, ale nie zdążyłam zapytać, bo zawołał mnie ubrany w beżowy płaszcz mężczyzna. Siedział na ławce stojącej w pełnym słońcu, takiej, z której na pewno w tak upalny dzień bym nie

skorzystała. Widziałam tyle dziwnych rzeczy w Lizbonie, że jego niestosowny na upał ubiór nie zrobił na mnie większego wrażenia. Mężczyzna palił papierosa, zaciągał się powoli, jak rasowy palacz, odchylając co jakiś czas głowę, by dym nie drażnił mu oczu. Był nienaturalnie blady, wyglądał na zmęczonego, jakby życie odcisnęło na nim zbyt silne piętno.

- Proszę podejść - powiedział. - To ma być rzeźba. Podobno zamiast głowy postać będzie mieć otwartą księgę - wyjaśnił, jakby znał moje myśli. - Ciekawe, prawda? Widziałem wiele pomników, znam niemal wszystkie w Lizbonie, ale takiego jeszcze tu nie ma. Przepraszam, że tak zagadnałem, ale milczę już tyle lat, że poczułem potrzebę rozmowy. - Zbliżył papieros do ust i ponownie mocno się zaciągnął.

Spojrzałam na białe mankiety koszuli wystające z rękawów jego płaszcza. Były przetarte, ale czyste. To niemożliwe, żeby mężczyzna nie czuł żaru spływającego z nieba.

- Strasznie gorąco dzisiaj - zauważyłam.

- Być może. Ale mieszkam w tak zimnym miejscu, że upał jest dla mnie przyjemny. Stanowi odmianę - uśmiechnął się.

Spojrzałam na niego. Co miał na myśli?

- Pani wybaczy - zerwał się nagle i gasząc papierosa na krawędzi ławki, skłonił się z gracją - ale na mnie już czas. Być może jeszcze kiedyś się spotkamy.

Strzepnął drobinki popiołu ze swoich czarnych, lekko przykrótkich spodni, poprawił okulary i nie oglądając się za siebie, ruszył w dół ulicy.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję przewodnikom z Casa - Museu Amalia Rodrigues i Museu do Fado oraz pracownikom Cafe Martinho da Arcada i Cafe A Brasileira, a także Marii Joao Marcelino z Casa Fernando Pessoa za cierpliwość i dzielenie się swoją wiedzą.

Fredericowi i Vanessie z Albergo Odisseo Lisbon Hostel jestem wdzięczna za gościnność.

Dziękuję również wszystkim, których nie wymieniłam, a którzy przyczynili się do powstania tej książki.